TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 11 – 17 lutego 2026 | nr 07 (3997)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Polexit: co by było, gdyby

Czytaj Tukidydesa, zrozumiesz Trumpa

Afrykańskie miliony dla Arsenalu i Barcelony

Apostazja: dlaczego ludzie odchodzą z Kościoła

Paryż bez tłumów: nie tylko na Walentynki

Czy internet ma przyszłość

SIEĆ ZOSTAŁA PRZEJĘTA PRZEZ BIG TECHY I ZAŚMIECONA PRZEZ AI. JAK SZUKAĆ W NIEJ ŚLADÓW ŻYCIA?

STRONY 12–16



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

58 KONTRAPUNKT
Międzynarodowy Festiwal Teatralny

10–26.04.2026
Szczecin

osobista sprawa

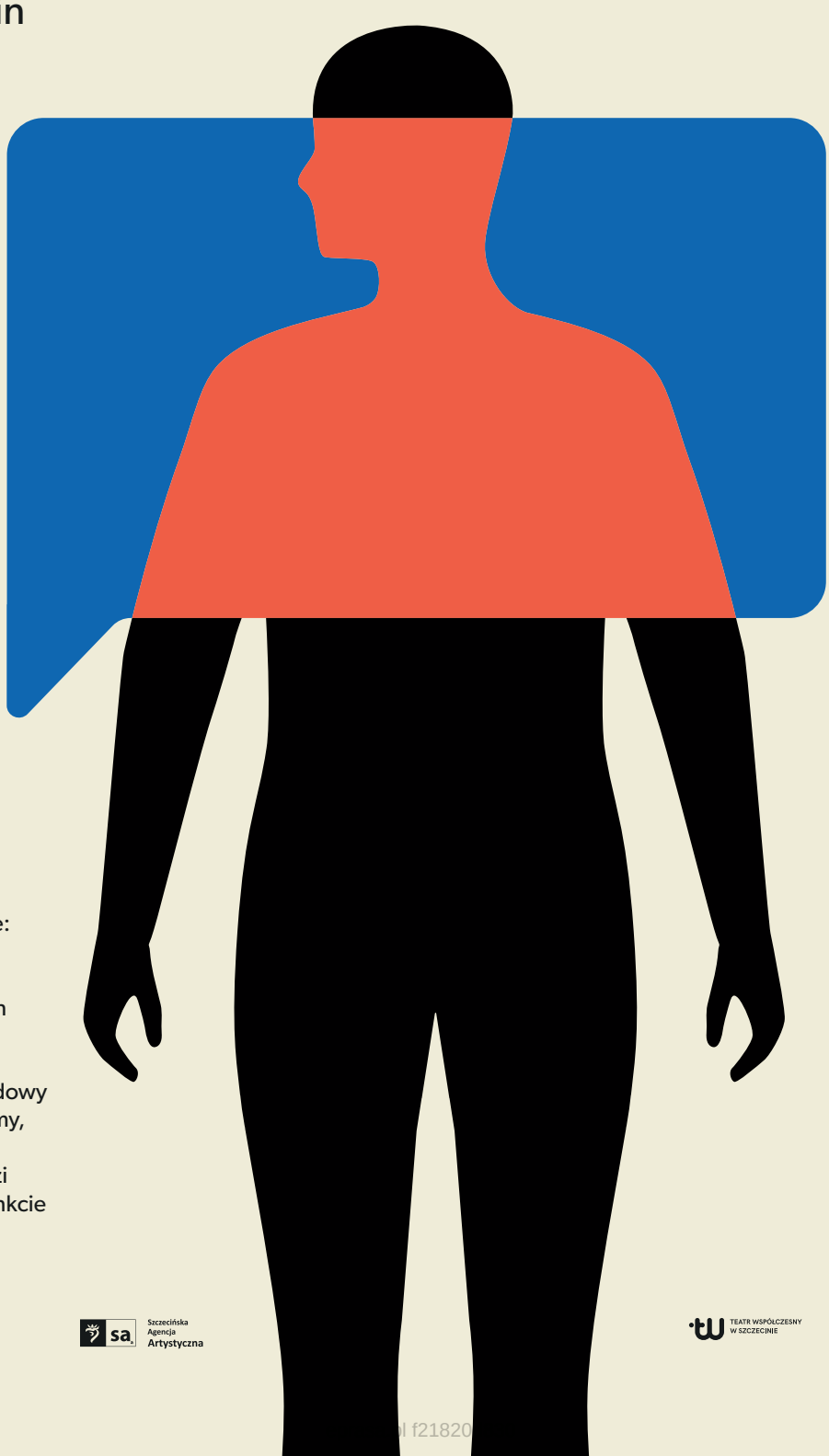

kontrapunkt.pl

W programie:

showcase
szczecińskich
spektakli,

Międzynarodowy
Konkurs Formy,

sekcja Młodzi
na Kontrapunkcie

REKLAMA

floating garden Szczecin 2050 project

Zadanie finansowane
przez miasto Szczecin

Szczecińska Agencja Artystyczna

TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE

PLECIUGA TEATR LALEK

KS. ADAM

Boniecki: *Wiarygodność sieci*

Oczywiście pamiętam czasy, gdy internetu nie było. Do tej pory, kiedy zapisuję to słowo na komputerze, jest automatycznie podkreślane czerwonym wężykiem w moim edytorze tekstu, co chyba znaczy błąd albo coś w tym rodzaju, ale nic z tym nie robię, bo z samym słowem wszystko jest przecież w porządku. Dziś ten sposób komunikowania się (przez internet) jest zresztą tak powszechny, że uważa się go za naturalny.

A przecież nie tak dawno robiliśmy to inaczej. Pisaliśmy, ręcznie lub na maszynie, listy, i to zwykle sążniste. Teraz wysyłamy do siebie maile: częściej i zwykle krócej. Łatwość wysyłania wiadomości tą drogą – a przecież dochodzą do tego różne komunikatory w mediach społecznościowych – jest tak wielka, że oczywiście roi się w nich od przeróżnych komunikatów, informacji, reklam itp. Powoli są w tej materii formułowane prawa i zasady, co nie znaczy, że są wystarczające na wszelkie sytuacje ani że są powszechnie przestrzegane.

Weźmy choćby trudności w uchwyceniu nadawcy. Ktoś pisze nam coś, co wymaga prawnej reakcji – ale okazuje się to niemożliwe, bo autora nie da się znaleźć. Fakt: są coraz to nowe przepisy, określające odpowiedzialność za pisane słowo. Na szczęście, bo niektóre wpisy, komentarze czy wiadomości mogą doprowadzić człowieka do psychicznego załamania, a nawet targnięcia się na własne życie.

To jest efekt elektronicznej poczty, komunikatorów, mediów społecznościowych: straszny, lecz uboczny. Bo na ogół internet ułatwia życie. Komunikowanie się jest o wiele prostsze i szybsze niż kiedyś. Możemy z łatwością się porozumiewać w sprawach codziennych, ale też w pracy naukowej. Tak doskonały sposób komunikowania się stopniowo wypiera tradycyjne listy. Pocztą elektroniczną dostajemy książki lub inne teksty, do których dostęp dawniej bywał skomplikowany lub po prostu zbyt kosztowny. Ba, dostajemy ich teraz tak wiele, że z czasem mamy problemy z ich czytaniem (lub nieczytaniem).

Osobnym problemem jest jednak merytoryczna wartość tego, co wypływa z komputera. Łatwość wytworzenia, wysłania, opublikowania tekstu jest pokusą dla oszustów, propagandzistów i oczywiście służb sekretnych, by raczyć odbiorców treściami, po które nigdy by nie sięgnęli. Myślę, że podobnie jak w innych dziedzinach, i tu z czasem znajdą się sposoby na te oszukańcze metody. Masowość komunikacji za pomocą internetu jest zjawiskiem niedawnym i z pewnością będzie jeszcze udoskonalana.

Tymczasem w przyjmowaniu informacji musimy zachować ostrożność. Bo na pewno nie wszystko, co przychodzi z internetu, jest prawdziwe, a my mamy raczej kiepskie możliwości, by to skontrolować. Karanie kłamców czy autorów fałszywek nie jest proste. Bywają niedostępni, trudni do odnalezienia czy zidentyfikowania, a my sami potrafimy uwierzyć w niejedną bzdurę. Dlatego pamiętajmy: internet nie jest źródłem bezgranicznie wiarygodnym. Cieszmy się nim, cieszmy się możliwościami, jakie daje, ale bądźmy krytyczni. Oczywiście w sprawach ważnych. Co innego, jeśli chodzi o przepis na jajecznicę. ©℗



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MARCIN DUMA
Z goniących świat staliśmy się jego strażą przednią. W większości wróciliśmy do poziomu życia sprzed pandemii – to naprawdę ewenement.

WOJCIECH KONOŃCZUK
Dyrektor OSW robi bilans czterech lat wojny. PETRA BALOGA, przeora dominikanów w Kijowie, zapytamy, ile Ukraińcy są w stanie jeszcze wytrzymać.

BP ARTUR WAŻNY
o krzywdzie, zadośćuczynieniu i pokucie, której potrzebuje Kościół – pierwsza rozmowa z naszego cyklu na Wielki Post.

eprasa.pl f21820d830

Wśród filmów nominowanych w tym roku do Oscara znalazły się dwie produkcje, które mówią wprost: w teoriach spiskowych, nawet tych najbardziej pokręconych, jest sporo prawdy. Zacznijmy od „Bugonii" greckiego reżysera Yórgosa Lánthimosa, której to bohaterowie są przekonani, że szefowa jednej z firm farmaceutycznych (w tej roli Emma Stone) jest kosmitką. A ponieważ zależy im na tym, by skontaktować się z kimś, kto sprawuje władzę nad jej gatunkiem, postanawiają kobietę porwać. Zaraz potem oglądamy szereg procedur, które mają unieszkodliwić kosmitkę oraz zniwelować jej wpływ na gatunek ludzki. Dowiadujemy się także, w jaki sposób otwiera się portal do podróży w kosmos (za pomocą kalkulatora).

Z kolei nastoletnia córka bohatera „Jednej bitwy po drugiej" Paula Thomasa Andersona nie może pojąć, dlaczego jej ojciec (Leonardo DiCaprio) tak bezwzględnie wystrzega się telefonów komórkowych, kart płatniczych i innych zdobyczy nowoczesności. Wszystko wskazuje na to, że facet cierpi na jakiś rodzaj manii prześladowczej, bo trudno wyobrazić sobie, by ktoś tym doskonale przeciętnym gościem, spędzającym całe dnie na kanapie przed telewizorem, mógł być serio zainteresowany. Nikt go nie traktuje poważnie – do czasu.

Obie produkcje, mające duże szanse na statuetki Akademii, dotykają czegoś, z czym mierzymy się na co dzień, odkąd udostępniono nam 3,5 mln stron dokumentów z archiwum Jeffreya Epsteina. Otóż deklaracje przywódców i szefów wielkich korporacji tak dotkliwie mijają się z prawdą, że nikomu nie możemy dziś ufać. Nie wiemy nawet, jak szukać wskazówek i podpowiedzi, bo nasza sieć została zaśmiecona przez AI i w pewnym sensie jest już martwa, jak pisze **MARCIN WILKOWSKI.** „Nie trzeba tu wielkiej, oplatającej całą kulę ziemską konspiracji rodem z Pizzagate. Nie trzeba spisku reptilian. Prawda jest znacznie bardziej wstrząsająca niż fantazyjne teorie spiskowe" – zauważa **TOMASZ STAWISZYŃSKI**.



Czteroodcinkowy serial dokumentalny Netfliksa „Jeffrey Epstein: obrzydliwie bogaty" z roku 2020 wrócił właśnie do topki najchętniej wybieranych produkcji tej platformy. Przesłanie? Nikt nie wierzył, że na prywatnej wyspie wpływowego finansisty mogą się dziać tak koszmarne rzeczy. A przecież wiele kobiet opowiadało nam tę historię przez lata. ©℗

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



PSYCHE

28 Diabelska huśtawka
MICHAŁ ŁUCZEWSKI ROZMAWIA Z JEANEM-MICHELEM OUGHOURLIANEM, NEUROPSYCHIATRĄ:
Kiedy widzisz pacjenta, zwykle pytasz, co go boli. Uważam, że jest ważniejsze pytanie: kto jest twoim bólem?



40 Dyskretny urok demokracji
MAREK RABIJ ROZMAWIA Z MARKIEM WĘCOWSKIM, HISTORYKIEM STAROŻYTNOŚCI:
Krytyka demokracji jako systemu wynika często z lęku elit przed utratą wolności.



68 Ciała unerwione
JACEK TARAN ROZMAWIA Z MALARKĄ JUSTYNĄ SZYMCZYKOWSKĄ:
Moja generacja jest gotowa na prezentowanie siebie w gorszym stanie – bez upiększania i udawania, że się jest kimś innym.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP //JCBALES / CC BY-SA 3.0 // SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // JACEK TARAN

eprasa.pl f21820d830

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Emocje są złym doradcą
JACEK STAWISKI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Słony rachunek za wyjście
STEFAN SĘKOWSKI: *Jakie byłyby konsekwencje wyjścia z UE?*

22 Jak uniknąć sojuszy egzotycznych?
OLAF OSICA: *Polska musi zdobyć się na intelektualną i polityczną samodzielność wobec USA i Niemiec*

25 Sam sobie wrogiem
ANNA KORYTOWSKA: *Proces leczenia depresji zaczyna się od przyznania przed sobą, że coś jest nie tak*

■ ■ PSYCHE

28 Diabelska huśtawka
MICHAŁ ŁUCZEWSKI ROZMAWIA Z JEANEM-MICHELEM OUGHOURLIANEM

■ ■ ŚWIAT

32 Na styku płyt tektonicznych
MACIEJ CZERWIŃSKI: *Czarnogóra obchodzi 20. urodziny. Nie dla wszystkich to powód do radości*

36 Źródła sporu
DOMINIK DERLICKI: *Nie pomógł nawet Leon XIV, gdy przywiózł do Libanu przesłanie pokoju*

38 Krwawiące serce
GRZEGORZ KORDYLAS: *Kibice, którzy dziś śledzą mecze mistrza Hiszpanii, mają przed oczami także nowego sponsora na strojach piłkarzy FC Barcelony*

■ ■ ROZMOWA

40 Dyskretny urok demokracji
MAREK RABIJ ROZMAWIA Z MARKIEM WĘCOWSKIM, HISTORYKIEM STAROŻYTNOŚCI

■ ■ WIARA

44 Dlaczego odchodzą
ADRIAN BURTAN: *Alicja swój akt apostazji opublikowała w internecie. Joanna uważa, że z Kościoła została wypchnięta*

TEMAT TYGODNIKA

12 Czy internet ma przyszłość
MARCIN WILKOWSKI
Nasza sieć została przejęta przez wielkie korporacje i zaśmiecona przez AI. Jak szukać nisz, w których wciąż są ślady życia?

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"



■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **61** ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

48 Już otwarte
KS. RAFAŁ SZCZUROWSKI, DYREKTOR ARCHIWUM KURII KRAKOWSKIEJ, W ROZMOWIE Z ANNĄ GOC: *Dokumenty to opowieść o życiu ludzi. Możemy tu odnaleźć zarówno ich pobożność, jak i błędy, które popełniali*

50 Sprawa niezamknięta
MICHAŁ RYCHERT: *Raport watykańskiej komisji po raz pierwszy neutralizuje tradycyjne argumenty „z płci"*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Od grzechu do choroby
ADAM WOŹNIAK: *U progu XX w. pijaństwo przestało być na ziemiach polskich sprawą indywidualną*

■ ■ NAUKA

58 Jak się poróżniliśmy
ŁUKASZ KWIATEK: *Kilkaset tysięcy lat temu rodzaj ludzki był niemal tak zróżnicowany jak w tolkienowskim Śródziemiu. Jak do tego doszło?*

■ ■ KULTURA

62 Mistrz podejrzeń
ŁUKASZ MUSIAŁ: *Nie istnieje powieść bardziej nam współczesna niż „Buddenbrookowie" Tomasza Manna*

67 Polecamy

68 Ciała unerwione
ROZMOWA Z MALARKĄ JULIĄ SZYMCZYKOWSKĄ

71 Teatr wielki
JACEK WAKAR: *„Oracle" imponuje niemożliwym w Polsce rozmachem*

73 Tygodnik Czytelników

74 Non stop film
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Jafara Panahiego „To był zwykły przypadek"*

75 Mądrość powściągliwa
LEKTOR *o „Notatnikach" Alberta Camusa*

■ ■ ZMYSŁY

78 Tuż obok Lidla
DOROTA MALINA: *Paryż jest miastem miłości. I ofiarą własnego sukcesu*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
SPRAWDŹ AKTUALNE PROMOCJE NA STRONIE 57

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

eprasa.pl f21820d830



LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

OBRAZ TYGODNIA

EMOCJE SĄ ZŁYM DORADCĄ

Relacje polsko-amerykańskie bardzo często oparte były i są na silnych emocjach – w ostatnich latach Polacy widzieli w USA wielkie, przyjazne mocarstwo, które stawiło tamę Związkowi Sowieckiemu i pomogło Polsce odzyskać niepodległość i demokrację. W Stanach Zjednoczonych z kolei Polacy byli od dekad stawiani jako wzór narodu, który tworząc ruch Solidarności jako pierwszy skutecznie oparł się komunizmowi, a dzisiaj silnie wspiera Ukrainę i daje przykład troski o bezpieczeństwo, przeznaczając 5 proc. PKB na wydatki obronne.

W DOJRZAŁEJ POLITYCE zagranicznej emocje nie są jednak dobrym doradcą. Wręcz przeciwnie, mogą prowadzić na manowce. Właśnie one uruchomiły spór między Włodzimierzem Czarzastym, marszałkiem Sejmu, a ambasadorem USA w Polsce Tomem Rose'em. Marszałek publicznie odmówił poparcia dla Pokojowej Nagrody Nobla dla Donalda Trumpa, krytykując amerykańskiego prezydenta za jego działania w polityce międzynarodowej. O wsparcie kandydatury Trumpa do Pokojowego Nobla prosili Czarzastego w liście przewodniczący Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych i przewodniczący izraelskiego Knessetu.

Publiczna, głośna krytyka prezydenta Donalda Trumpa była przesadzona. Czarzasty mógł subtelniej i mniej nachalnie odpowiedzieć na listy z Ameryki i Izraela. Relacje polsko-amerykańskie są szczególne i nie ma sensu ich testować przy włączonych kamerach. Marszałek Sejmu jako druga osoba w państwie nie ma obowiązku taić swojej krytyki wobec nawet najbliższego sojusznika, ale wszedł na pole polityki zagranicznej i dyplomacji. Na tym polu emocje i efekciarstwo nie są pożądane.

Wystąpienie marszałka wywołało z kolei emocjonalną i niedobrą dla sojuszu Pol-

Obie strony będą chciały ten incydent dyplomatyczny wyciszyć. Żadnej nie jest on potrzebny. Warszawa i Waszyngton mają zbyt wiele wspólnych interesów.

JACEK STAWISKI

POWYŻEJ:
Włodzimierz Czarzasty zadeklarował, że nie poprze wniosku o przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi. Na zdjęciu z Joanną Scheuring-Wielgus w Sejmie. Warszawa, 2 lutego 2026 r.

eprasa.pl f21820d830

ski i Stanów reakcję ambasadora amerykańskiego Toma Rose'a. Ambasador zapowiedział, że rząd amerykański zrywa relacje z marszałkiem Sejmu RP. To oświadczenie bardzo niestandardowe w dyplomacji.

SĄDZĘ, ŻE ten incydent rządy Polski i USA będą starały się wyciszać i wygaszać. Żadnej ze stron nie jest on potrzebny. Warszawa i Waszyngton mają zdecydowanie więcej wspólnych interesów, a szczególnie nikt odpowiedzialny w Polsce nie chce antagonizować amerykańskiego sojusznika w czasach, gdy rośnie obawa przed Rosją.

Wypowiedź Czarzastego o Trumpie i mało dyplomatyczna odpowiedź ambasadora Rose'a uruchomiły oczywiście emocje już także w samej Polsce. Automatycznie murem za ambasadorem Stanów Zjednoczonych i Donaldem Trumpem stanęli politycy PiS i media propagujące stanowiska tej partii. Reakcje po tej stronie streścić można krótko: Czarzasty obraził Trumpa, obraził USA, naraził na szwank bezpieczeństwo Polski. Nic dziwnego, jest politykiem, który zaczynał karierę w PZPR, a dzisiaj jest reprezentantem antyamerykańskiej lewicowej obsesji. W środowiskach niezwiązanych z PiS, czy to w KO, czy nawet Konfederacji, reakcje były mniej gwałtowne. Choć nie było zachwytu nad zachowaniem marszałka Sejmu, to jednak zwracano uwagę, że automatyczne i jednoznaczne wsparcie PiS i związanych z nim środowisk dla amerykańskiego ambasadora w Polsce to nic innego jak mentalność podległości wobec potężnego mocarstwa.

CZAS NA WNIOSKI, bo emocje wkrótce opadną. Nie jest prawdą, że lewica w Polsce jest automatycznie antyamerykańska, ani że Stany Zjednoczone wiążą się w Polsce z partiami prawicy. Już od lat 90. lewica wywodząca się z PZPR, chcąc uwiarygodnić się w kraju, jak i za granicą, była proamerykańska. Nie stało się to od razu, zaraz po 1989 r. politycy b. PZPR dystansowali się od wejścia do NATO, ale zmienili zdanie już w 1993 r., gdy SLD oraz jego liderzy opowiedzieli się za przystąpieniem do Przymierza Atlantyckiego. Na madryckim szczycie NATO w 1997 r. to prezydent Aleksander Kwaśniewski został zaproszony do Sojuszu. Polska lewica podjęła też decyzję o wysłaniu wojsk do Afganistanu oraz do Iraku. Deklaracja wsparcia dla Waszyngtonu w sprawie Iraku była podjęta mimo poważnych kontrowersji w Europie. Lewica zdecydowała się również na historyczny zakup myśliwców F16 dla polskiego lotnictwa. Prezydent George W. Bush miał wtedy świetne relacje z Kwaśniewskim; dziękował Polsce za wsparcie podczas specjalnego wystąpienia na Wawelu w maju 2003 roku.

NIEPRAWDĄ JEST, co głoszą dzisiaj politycy PiS i bliskie im media, że także lewica europejska jest tradycyjnie antyamerykańska. Silne związki z Ameryką pielęgnuje, niezależnie od politycznej koniunktury, brytyjska Partia Pracy. Nawet niemiecka SPD miała i ma w swoich szeregach zdecydowanych zwolenników współpracy z Ameryką. Nieprawdą jest również, że prawica europejska jest automatycznie proamerykańska. Ważny sojusznik PiS w Europie – francuskie Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen – ma silną tradycję antyamerykańskości, i także na dystansie wobec Ameryki i jej kultury od lat buduje swoją tożsamość.

Byłoby ze wszech miar dobrze, gdyby współczesna polska lewica, zachowując prawo do krytyki, nie szła drogą cielęcego antyamerykanizmu, i kontynuowała tradycję Kwaśniewskiego i Millera. Byłoby również ze wszech miar dobrze, gdyby PiS i ośrodek prezydencki nie uzurpowali sobie prawa do wyłączności w sferze relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Przymierze polsko-amerykańskie ma wymiar państwowy, a nie partyjny. Nie ma sensu testować go doraźnymi emocjami rodem z portalu X. ©℗



Gorzka konkluzja

PATRYCJA BUKALSKA

Dokumenty z akt Jeffreya Epsteina wywołały na Wyspach Brytyjskich prawdziwą burzę. Czarne chmury zawisły nie tylko nad rodziną królewską, ale i nad premierem Keirem Starmerem.

Jeszcze niedawno uwagę Brytyjczyków w kontekście sprawy Epsteina zaprzątały przede wszystkim bliskie kontakty, które z tym przestępcą seksualnym utrzymywał brat króla, Andrew Mountbatten Windsor – bo tak nazywa się teraz były już książę Andrzej po tym, jak pozbawiono go tytułu i królewskiej rezydencji w Windsorze.

Teraz jednak okazuje się, że znacznie poważniejsze skutki akta Epsteina mają dla brytyjskiego rządu.

Tu czarną owcą okazał się Peter Mandelson, wpływowy polityk Partii Pracy, który w przeszłości sprawował stanowiska rządowe, a przez premiera Starmera został mianowany ambasadorem w Waszyngtonie. Został zdymisjonowany jesienią 2025 r., po ledwie siedmiu miesiącach, właśnie z powodu przyjacielskich relacji z Epsteinem.

Sprawa ta wróciła obecnie z podwójną siłą: z opublikowanych dokumentów wynika, że przed laty, będąc ministrem, Mandelson miał przekazywać amerykańskiemu finansiście poufne rządowe informacje gospodarcze (w tej sprawie trwa już śledztwo, byłemu dyplomacie grozi więzienie). Miał też otrzymać od Epsteina kilkadziesiąt tysięcy dolarów (on sam sobie tego nie przypomina).

Tego premier oczywiście nie wiedział i dziś podkreśla, że Mandelson okłamał go w sprawie swoich relacji z Epsteinem. Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego szef rządu zignorował ostrzeżenia dotyczące tego polityka, a także dlaczego uwierzył mu na słowo. Jako były prokurator, Starmer mógłby wykazać się większą dociekliwością.

Dyskusja o tym, jak w ogóle doszło do tej nominacji, dopiero się zaczyna, bo o pewnych kontaktach Mandelsona i Epsteina przecież wiedziano. Być może uznano, że umiejętność poruszania się w świecie ludzi zamożnych i wpływowych jest warta ryzyka i w transakcyjnej Ameryce Donalda Trumpa to właśnie Mandelson poradzi sobie najlepiej. Byłaby to gorzka konkluzja.

Tymczasem Starmer, który od dłuższego już czasu ma kiepską prasę i notowania, walczy o przetrwanie. W Partii Pracy wrze i słychać głosy, że jego pozycja jest nie do utrzymania. O tym, że premier powinien ustąpić ze stanowiska, przekonanych jest też 50 proc. Brytyjczyków; przeciwnego zdania jest jedynie 24 procent. ©℗

eprasa.pl f21820d830



Prawica karmi Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

Ostatnie sondaże dają Koalicji Obywatelskiej nadzieję, że nie powtórzy losu PiS z 2023 roku, który choć wygrał wybory, to *de facto* poniósł klęskę. Zapłacił za pychę i lekceważenie, z jakim traktował wszystkich, którzy mogliby wejść z nim w koalicję.

Partia Donalda Tuska długo jechała tą samą autostradą, mimo że w ostatnich miesiącach mogła liczyć aż na jedną trzecią wyborców, utrzymując zarazem niemal 10-procentową przewagę nad PiS i reperując opinię wyborców o rządzie – kłopot w tym, że przy okazji topiła pod progiem wyborczym swych koalicjantów. Dziś jednak Nowa Lewica odzyskała stabilne poparcie, oddech złapał też PSL – wygląda to tak, jakby centrowej KO wyrosły po obu stronach skrzydła. Wspólnie sojusz ten mógłby liczyć na połowę głosów w Sejmie, co do niedawna wydawało się mrzonką.

Trudno z ręką na sercu przyznać, że Tusk stosuje misterną strategię, ucząc się na błędach poprzedników. Bardziej jest beneficjentem nadmiernego urodzaju na prawicy, gdzie PiS nie jest już hegemonem, a jego poparcie stało się niewiele wyższe od skumulowanego wyniku obu Konfederacji.

Jarosławowi Kaczyńskiemu nie pomaga popularność prezydenta oraz wewnętrzna wojna w partii, gdzie grupa wpływowych polityków, pragnąca łowić wyborców radykalnych, nie daje sobie rady z zaskakująco merytoryczną ofensywą kierującej się w stronę centrum ekipy Mateusza Morawieckiego. Dodając do tego fakt, że prezes PiS (w trosce o trwałość sojuszu z USA) wykluczył możliwość koalicji z antysemitą Grzegorzem Braunem, trudno sobie wyobrazić, jak mógłby zbudować większość przy jego wrogich stosunkach ze Sławomirem Mentzenem. Oraz przy wciąż iluzorycznej szansie na przeciągnięcie frakcji Krzysztofa Bosaka lub PSL.

Chaos na prawicy karmi Tuska, ale i on stąpa po cienkim lodzie. Co prawda najwierniejszy sojusznik z Nowej Lewicy odzyskuje poparcie elektoratu, ale nie wiadomo na jak długo, biorąc pod uwagę aktywność Włodzimierza Czarzastego, który po objęciu funkcji marszałka Sejmu popadł w dość żenujące samouwielbienie. Być może bardziej skuteczne będzie powolne ciułanie głosów przez PSL, dziś balansujące na granicy progu.

Jak to wszystko się skończy? Obawiam się, że jesienią 2027 r. może dojść do takiego politycznego zaplątania, iż szybko będziemy zmuszeni do powtórzenia wyborów. ©℗



PIOTR NOWAK / PAP

Donald Tusk, Władysław Kosiniak-Kamysz i Krzysztof Gawkowski w Sejmie. Warszawa, 17 grudnia 2025 r.



Czy giną media

SYLWIA CZUBKOWSKA

Demokracja umiera w ciemności – słynne motto „Washington Post" już jest nieaktualne. Raczej, parafrazując „Gwiezdne wojny", umiera wśród tweetów i komentarzy cieszących się z tego, że Jeff Bezos pozbył się jednej trzeciej zespołu legendarnej amerykańskiej gazety. Bo jest „lewacka". Bo przynosiła straty, więc właściciel mógł zrobić, co chciał (tak jak mógł wydać 75 mln dolarów na „dokument" o Melanii Trump). Bo po co komu stare media, skoro są rzekomo demokratyczne i wolnościowe media społecznościowe.

Tyle że te nie są ani mediami, ani społecznościowymi, ani nie gwarantują wolności, nawet wolności słowa.

To platformy reklamowe, które logice zysku podporządkowały widoczność treści. Algorytmy decydują, które narracje dominują, a które zostają niszowe.

A kontrolę nad nimi sprawuje wąska grupa najbogatszych ludzi świata. Elon Musk włada X. Larry Ellison (prezes Oracle) przejmuje kontrolę nad TikTokiem. Jego syn David skupuje kolejne korporacje medialne. Przejęcie Paramount przez Skydance Media oddało stację CBS w ręce rodziny Ellisonów. A ta szybko zmieniła linię redakcyjną. W planach wciąż jest wrogie przejęcie Warner Bros. Discovery, co oznaczałoby zakup CNN i polskiego TVN. Bezos, obok „Washington Post", kontroluje Amazon Prime i Twitch. Mark Zuckerberg kieruje Metą, która zarządza Facebookiem, Instagramem, WhatsAppem i Messengerem.

Globalne sieci informacji trafiają więc w ręce wąskiej grupy ludzi, którzy nie kryją, że wykorzystają je do umocnienia swojej pozycji ekonomicznej. A że przydaje się do tego wsparcie polityczne, to wpływają na linie redakcyjne, by były przyjazne dla MAGA. Tak było przy zmianach w dziale opinii „Washington Post", gdy rok temu Bezos nakazał publikowanie komentarzy wyłącznie proprzedsiębiorczych. Tak wyglądają przejawy cenzury w TikToku, który blokował w prywatnej korespondencji hasło „akta Epsteina". Opisanie zmian w algorytmie X nadaje się na osobną analizę.

Media i tak ledwo wiążą koniec z końcem. Większość przychodów z reklam odpłynęła do platform, które nie produkują reportaży międzynarodowych ani śledztw kontrolujących władzę. Za to ich właściciele decydują, jak promować treści użytkowników i dystrybuować płynące z nich zyski. Nie trzeba więc wszędzie dokonywać czystek, jak w „Washington Post". Wystarczy zagłodzić media i przekonywać, że TikTok, X czy Instagram są lepszą alternatywą. To nie jest tylko problem USA. ©

eprasa.pl f21820d830

NA PUNKTY

ŚCIGANY
Komenda Stołeczna Policji wystawiła list gończy za niejakim Zbigniewem Tadeuszem Ziobro, lat 56, a dołączona fotografia wskazuje na łudzące podobieństwo do byłego ministra sprawiedliwości. Ukrywający się na Węgrzech polityk pojawił się w programie Telewizji Republika i próbował zadzwonić na podany w liście numer, ale linia była zajęta.

ŚWIATŁO NAD ROSJĄ
Kanał Zero zamieszcza nakręcone w Rosji materiały Marii Wiernikowskiej, z których wynika, że w rządzonym przez Putina kraju toczy się normalne życie. Wśród rozlicznych reakcji zwraca uwagę ta rzecznika MSZ, który przypomina, że jego resort odradza wyjazdy do Rosji i że w Światowym Indeksie Wolności Prasy zajmuje ona 171. miejsce na 180 krajów.

NIEOCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC
Co do rzeczników: rzecznik całego rządu zaatakował szefa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, jak pisze, „bliskiego współpracownika ludzi PiS", w związku z tym, że naszą reprezentację na igrzyskach ubiera „niemiecki Adidas". ©℗



Śladem kardynała Rysia

JACEK TARAN

Trzy konwoje pomocy humanitarnej organizowane przez Caritas Archidiecezji Krakowskiej dotarły już do Kijowa. Dostarczono m.in. agregaty prądotwórcze, nagrzewnice oraz żywność. Podczas briefingu prasowego w Brzegach pod Krakowem, metropolita krakowski kardynał Grzegorz Ryś (na zdjęciu) przekazał podziękowania, które dotarły do Archidiecezji Krakowskiej od abpa Światosława Szewczuka. Metropolita kijowsko-halicki w liście do darczyńców podkreślił znaczenie pomocy: „Dzięki Wam udało się nam ochronić większość najsłabszych". Swoje podziękowania przekazał też obecny na miejscu konsul generalny Ukrainy Wiaczesław Wojnarowski.



Dyrektor krakowskiej Caritas, ksiądz Łukasz Ślusarczyk poinformował, że jeden z tirów skierowanych do Kijowa trafi do wspólnoty greckokatolickiej, która organizuje przygotowywanie gorących posiłków dla mieszkańców.

Drugi tir zostanie dostarczony przez braci albertynów do parafii rzymskokatolickiej. Znajduje się w nim dziesięć mniejszych agregatów prądotwórczych, nagrzewnice oraz artykuły spożywcze. Parafie rzymsko- i greckokatolickie współpracują z administracją miejską i strukturami pomocy społecznej – to one będą odpowiedzialne za rozdysponowanie sprzętu i żywności do miejsc, gdzie skutki rosyjskich ataków są najbardziej dotkliwe.

Generator ufundowany przez kardynała trafi do ośrodka rehabilitacyjnego dla dzieci z niepełnosprawnością – poinformował o. Lubomir Jaworski, ekonom Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego.

Działania pomocowe Archidiecezji Krakowskiej zostały sfinansowane ze środków pochodzących z darowizn indywidualnych oraz zbiórek prowadzonych w parafiach. Blisko 3 miliony złotych zgromadzono jeszcze przed ogłoszeniem diecezjalnej zbiórki, co pozwoliło na szybkie wysłanie dwóch pierwszych transportów. Jak podano w ostatnią niedzielę, do tej pory zebrano łącznie 5,74 mln zł.

Śladem kard. Rysia idą też inni: zbiórki dla Ukrainy przeprowadzono już w diecezjach łódzkiej i gnieźnieńskiej a na najbliższą niedzielę, 15 lutego, episkopat zapowiedział zbiórkę we wszystkich parafiach Polski. ©℗

JACEK TARAN



Czy Leon XIV zapobiegnie schizmie

DAWID GOSPODAREK

Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X (lefebryści) zapowiedziało, że wyświęci bez zgody papieża nowych biskupów. Nie podano liczby ani nazwisk kandydatów, nie jest też znane miejsce ceremonii, ale wiadomo, że przygotowania już trwają. Przełożony generalny Bractwa, ks. Davide Pagliarani poinformował, że w sierpniu 2025 r. wysłał do Leona XIV prośbę o spotkanie, na którym chciał omówić aktualną sytuację. W kolejnym liście informował papieża o potrzebie „zapewnienia kontynuacji posługi biskupów". Ale w odpowiedzi, jaką otrzymał z Rzymu, kwestia sakry biskupiej została zignorowana.

W 1988 r. abp Marcel Lefebvre konsekrował dla Bractwa czterech biskupów bez mandatu papieskiego. Świadomy, że grozi za to ekskomunika, przekonywał, że chodzi o stan wyższej konieczności. Reakcja Rzymu była jednoznaczna: Jan Paweł II nazwał konsekrację „aktem schizmatyckim" i ogłosił ekskomunikę *latae sententiae* (z mocy prawa) tak wobec konsekratorów, jak i nowo wyświęconych. W 2009 r. Benedykt XVI zdjął ekskomunikę w geście pojednania, zniósł obostrzenia w celebrowaniu liturgii w dawnym rycie rzymskim i rozpoczął dialog teologiczny na temat interpretacji Soboru Watykańskiego II, którego naukę Bractwo kwestionuje. Nie doszło jednak do przełomu, podobnie jak za pontyfikatu Franciszka, który przyznał lefebrystom jurysdykcję do spowiadania i błogosławienia małżeństw, ale ich kanoniczny status wciąż nie został uregulowany.

Jeśli zapowiadane sakry się odbędą, biskupom Bractwa ponownie grozi ekskomunika. Leon XIV jako prawnik nie da się zwieść narracji o „wyższej konieczności". Na razie Watykan chce zapobiec schizmie. Kard. Victor Manuel Fernández, prefekt Dykasterii Nauki Wiary, ma spotkać się z ks. Pagliaranim 12 lutego.

W ostatnich latach Bractwo notuje napływ wiernych, buduje nowe kościoły i seminaria duchowne. Działa w 77 krajach. W Polsce ma 40 kaplic i prowadzi jedną szkołę. ©

eprasa.pl f21820d830

Rap kontra Trump

POPKULTURA ▪ Jeszcze dziesięć lat temu Benito Antonio Martínez Ocasio (na zdjęciu) – bo tak brzmi jego pełne imię i nazwisko – pakował towar w popularnej sieci sklepów Econo na Portoryko. Dziś Bad Bunny (dosł. Zły Królik) wypełnia po brzegi stadiony na całym świecie. Jednym z nich będzie wkrótce PGE Narodowy w Warszawie – 14 lipca artysta zagra u nas solowy koncert.

To niejedyny „pierwszy raz" Królika, nowy rok zaczął się dla niego wyjątkowo dobrze. Album „DeBÍ TiRAR MáS FOToS" (Powinienem był robić więcej zdjęć) zgarnął statuetkę za najlepszy krążek podczas tegorocznej ceremonii wręczenia nagród Grammy. Nigdy wcześniej żaden album nagrany w całości po hiszpańsku nie zdobył w Stanach Zjednoczonych tak ważnej nagrody. W ostatni weekend zaliczył też występ podczas Halftime Show – w przerwie Super Bowl, finału rozgrywek futbolu amerykańskiego. Występ, dodajmy, mocno skrytykowany przez Donalda Trumpa. Prezydenta USA ponoć irytuje, że Bad Bunny śpiewa po hiszpańsku, choć tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego.



MIKE COPPOLA / GETTY IMAGES

Hiszpańskojęzyczni wokaliści od lat stopniowo podbijają rynek muzyczny w Stanach Zjednoczonych, a sam Bad Bunny jest dla swoich słuchaczy i słuchaczek przede wszystkim politycznym symbolem, nieoficjalnym rzecznikiem latynoskiej diaspory w USA. Sytuacja Portorykańczyków jest zresztą pod tym względem szczególna. Odkąd Hiszpanie przekazali wyspę Amerykanom w 1898 r., Portoryko pozostaje najstarszą kolonią współczesnego świata. Status wyspy jest dość skomplikowany: „nieinkorporowane terytorium" Stanów Zjednoczonych, którego mieszkańcy są od 1917 r. „obywatelami", jednak nie w pełni suwerennymi. Portorykańczycy nie mogą głosować na prezydenta, nie mają senatorów i posiadają jedynie symbolicznego przedstawiciela w Kongresie.

Dla Bad Bunny'ego śpiewanie po hiszpańsku jest zatem wyrazem oporu względem opresyjnych polityk imperium, którego podatnicy są postrzegani na kontynencie jako obywatele drugiej kategorii. „Nuevayol" – jeden z utworów nowego albumu – to hymn uznania dla Nuyoricans, czyli portorykańskiej diaspory Nowego Jorku, która od dekad tworzy własną, hybrydową tożsamość kulturową. Teksty z Bad Bunny'ego mówią wprost: czerpcie z życia i bawcie się do mojej muzyki, ale nie bądźcie ignorantami wobec otaczającego was świata. Trump ma prawo być wkurzony.

© MARTYNA LESZCZYŃSKA

Pomoc psychologiczna: co naprawdę o niej sądzimy

ZDROWIE ▪ Czy po studiach psychologicznych można wystawiać recepty na leki psychotropowe? Tak uważa 39 proc. Polek i Polaków. 48 proc sądzi, że absolwenci studiów psychologicznych są też certyfikowanymi psychoterapeutami. Dane pochodzą z nowego raportu „Pomoc psychologiczna z perspektywy Polek i Polaków" przygotowanego przez badaczy z Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk. To kolejny raport (na podstawie reprezentatywnych badań ilościowych i jakościowych) stworzony w ramach dużego programu badawczo-interwencyjnego „Psychologia i społeczeństwo". Jego celem ma być zebranie danych i przełożenie ich na konkretne działania i kampanie społeczne.

22 PROC.

badanych, którzy korzystali z psychoterapii, nie wiedziało, w jakim nurcie się ona odbywała

Co jeszcze mówią zebrane dane? Specjaliści zdrowia psychicznego generalnie są postrzegani przez nas pozytywnie; poziom zaufania do psychologów, psychoterapeutów i psychiatrów jest relatywnie wysoki i wyrównany. Uważamy, że psychoterapia może być przydatna, ale mamy też wątpliwości, czy przyniosłaby nam realne korzyści, biorąc pod uwagę wysiłek czasowy i finansowy, którego wymaga.

22 proc. badanych, którzy przynajmniej raz w życiu korzystali z psychoterapii, nie wiedziało, w jakim nurcie się ona odbywała. Na tę statystykę warto patrzeć przez pryzmat tego, że wciąż czekamy na ustawę o zawodzie psychologa i psychoterapeuty.

Badacze i badaczki zwracają uwagę na to, jak bardzo jako społeczeństwo jesteśmy przywiązani do samowystarczalności: 54 proc. Polek i Polaków nie szukało pomocy, bo chciało rozwiązać problem samodzielnie. 42 proc. osób uważa, że korzystanie z pomocy specjalistów powinno być ostatecznością. 36 proc. badanych jest zdania, że psychoterapia jest równoważna z rozmową z bliskim.

10 PROC.

Polek i Polaków wierzy, że działania psychiatrów i psychoterapeutów są szkodliwe

Boimy się oceny społecznej: 38 proc. badanych obawiało się, że fakt skorzystania z pomocy znajdzie się w ich dokumentacji medycznej, a 35 proc. osób blokowało to, że będą postrzegani jako „wariaci".

W naszym społeczeństwie odsetek osób wierzących w teorie spiskowe dotyczące zdrowia psychicznego nie jest dominujący, ale wyniki tej części badania mogą budzić obawy: 10 proc. Polek i Polaków wierzy, iż działania psychiatrów i psychoterapeutów są szkodliwe i jest to ukrywane, a 6 proc. uważa, że celem terapii jest kontrolowanie myśli i emocji ludzi, aby byli bardziej posłuszni.

36 PROC.

badanych jest zdania, że psychoterapia jest równoważna z rozmową z bliskim

Jeden z najważniejszych wniosków z badania brzmi: „większy poziom wiedzy psychologicznej sam w sobie jest czynnikiem ochronnym – zwiększa otwartość na korzystanie z pomocy, ale także sprzyja bardziej krytycznemu, selektywnemu wyborowi specjalistów".

Obok raportu przygotowane zostały broszury: jedna dla psychologów i psychoterapeutów, druga dla pacjentów. Rodzi się jednak pytanie: czy realnie trafi do tych, którzy jej potrzebują, bo nie mają wiedzy lub mają wątpliwości. Bo przekonywanie przekonanych, zwłaszcza to podparte liczbami, mamy opracowane do perfekcji.

©℗ EWELINA BURDA

eprasa.pl f21820d830

Gdy instytucje działają, jesteśmy zdrowsi



GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Dr Jolanta Wadowska-Król. Katowice, 2013 r.

SPOŁECZEŃSTWO ▪ Ponad pół wieku temu w Katowicach dr Jolanta Wadowska-Król rozpoczęła długą i niebezpieczną batalię z lokalną władzą komunistyczną o zdrowie dzieci. Jej mali pacjenci prezentowali typowe objawy zatrucia metalami ciężkimi. Badaniami wykonanymi w ramach pracy doktorskiej dowiodła, że dzieci z Szopienic, Burowca i Dąbrówki chorują na ołowicę, co lekarka wiązała ze znajdującymi się w pobliżu hutą i hałdami odpadów. Ze względów politycznych Wadowska-Król pracy doktorskiej nigdy nie obroniła, ale zmuszone do reakcji władze ludowe zlikwidowały część zanieczyszczeń i przesiedliły najbardziej narażonych mieszkańców.

Historię śląskiej lekarki opowiada nowy serial Netfliksa („Ołowiane dzieci", reż. Maciej Pieprzyca), a o tym, jak ważne jest działanie instytucji państwowych w ochronie zdrowia publicznego, warto przypominać także dziś, w dobie teorii spiskowych. Nowych argumentów dostarczają naukowcy z Uniwersytetu w Utah. W opisanym w „PNAS" badaniu oceniono ilościowo obecność ołowiu w zarchiwizowanych próbkach włosów od 1916 do 2024 r. Stężenie ołowiu do lat 70. utrzymywało się na stałym wysokim poziomie ok. 50 części na milion (ppm). Od roku 1970 do 1990 średni poziom ołowiu spadł do 10 ppm (obecnie wynosi poniżej 1 ppm).

To właśnie w 1970 r. Kongres USA powołał Agencję Ochrony Środowiska (EPA), której decyzje o ograniczeniu obecności ołowiu w paliwie, farbach i stopach metali uchroniły wielu Amerykanów przed śmiertelnym zatruciem.

W części dyskusyjnej publikacji autorzy ostrzegają przed deregulacyjnymi tendencjami obecnej administracji. W marcu ubiegłego roku EPA zapowiedziała przegląd ponad 30 zapisów dotyczących ochrony środowiska, w tym obecności rtęci, emisji gazów cieplarnianych, odprowadzania ścieków i odpadów. Wszystko po to, by „odblokować amerykański przemysł".

Tymczasem sprawnie działające instytucje państwowe mogą mieć ogromny i pozytywny wpływ na zdrowie publiczne. Efektem odpowiednich decyzji politycznych, skutecznej edukacji i rozsądnych regulacji może być zmniejszenie narażenia na modyfikowalne czynniki ryzyka chorób nowotworowych, które odpowiadają za ponad jedną trzecią wszystkich przypadków raka.

Dowodzi tego ogromne badanie przeprowadzone na danych z prawie 200 krajów, opisane w ubiegłym tygodniu w „Nature Medicine". Jak podają badacze, w 2022 r. można było uniknąć 7 mln z 18 mln nowych przypadków nowotworów. Wśród 30 czynników zwiększających ryzyko ujęto także te, które zależą w dużej mierze od działania państwa – promieniowanie UV, poziom wyszczepienia, obecność metali ciężkich i zanieczyszczenia środowiska.

© BARTOSZ KABAŁA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl f21820d830

TEMAT TYGODNIKA

CZY INTERNET MA PRZYSZŁOŚĆ

Nasza sieć została przejęta przez wielkie korporacje i zaśmiecona przez AI. Jak szukać nisz, w których wciąż są ślady życia?

MARCIN WILKOWSKI

Czasami rzeczywistość wymaga określeń, które mogą wydać się rażące. Nieczęsto jednak wchodzą one do języka profesjonalnych dyskusji, a tak stało się w przypadku kryzysu internetu – zarówno w jego technicznej, jak społecznej i ekonomicznej warstwie. W 2022 r. kanadyjski pisarz, publicysta i aktywista Cory Doctorow użył w tym kontekście słowa „gównowacenie" (ang. *enshittification*).

Rok później pojęcie to stało się słowem roku według American Dialect Society, a potem na stałe weszło do języka naukowego. Gównowacenie internetu to, w myśl Doctorowa, integralna praktyka wielkich aktorów późnego cyfrowego kapitalizmu: „Oto jak umierają platformy: najpierw są dobre dla swoich użytkowników; potem ich wykorzystują, by być dobrymi dla swoich klientów biznesowych; na koniec wykorzystują tych klientów, by odzyskać całą wartość dla siebie. A potem umierają" (przeł. Jan Jęcz).

W takiej strategii platformy są pośrednikami równoważącymi potrzeby użytkowników i podmiotów chcących na nich zarabiać, ale utrzymywanie tej równowagi okazuje się pozorne. Facebookowi już dawno przestało zależeć na użytkownikach i można się zastanawiać, czy wciąż zależy mu na reklamodawcach, skoro zasięgi i interakcje z reklamami spadają.

Google'a nie interesuje powszechna niechęć do umieszczania AI wszędzie, gdzie się tylko da – zamiast jakościowych wyników wyszukiwania dostajemy podejrzane maszynowe podsumowania. Spotify nie chodzi ani o moją wygodę konsumowania fajnej muzyki, ani o interesy twórców, ale o to, żeby nie dało się słuchać muzyki inaczej niż przez streaming, albo przynajmniej, żeby rynkowa pozycja platformy nie była zagrożona. Praktyka tych firm zmierza do zagrabienia całej war-

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"



tości, jaką dawać może komunikacja online. W imię wygody użytkowników i przychodów reklamodawców, oczywiście.

Jak się nie dać Spotify

Opiszę ten proces na prostym przykładzie: bardzo lubię gdański zespół Nagrobki. Słuchałem go czasem na Spotify, raz byłem na koncercie, kupiłem czapkę z logo, potem jeszcze koszulkę, zamiast której przyszła płyta winylowa. Nie mam jej na czym odtwarzać, ale w porządku, nie była to przecież rynkowa transakcja. Obserwuję też Nagrobki na Facebooku, choć ostatnio niewiele informacji z ich profilu trafiało na mój niekończący się stream.

Kilka dni temu w końcu zobaczyłem ich post. Okazuje się, że w grudniu byli w trasie „Goodbye Spotify", o której nie wiedziałem, bo przecież nie widziałem ich postów. Napisali, że usuwają swoje piosenki z tej platformy. Nie byłem zachwycony: płacąc abonament za Spotify, chciałem aplikacji, na której znajdą się fajni artyści, a ja swoimi odsłuchami będę mógł im – pośrednio – zapłacić kilka złotych. Niewiele zostało z tych obietnic.

Spotify płaci autorom na podstawie ich udziału w łącznej liczbie odtworzeń wszystkich kawałków na platformie, co uprzywilejowuje wielkie gwiazdy. Taki system przekładał się – według szacunków z 2013 r. na 0,007 dol. za pojedyncze odtworzenie, a w 2025 – już tylko na 0,003 dol. Najpopularniejsze piosenki, które ostały się jeszcze na profilu Nagrobków, mają od 60 do 300 tys. odtworzeń, co daje w najlepszym przypadku ok. 900 zł za całą wieloletnią obecność utworu na platformie, i to jeszcze bez odliczania kosztów pośrednich. A to nie wszystko.

– Platformy często nie chcą już dzielić się przychodami z prawdziwymi artystami i stawiają na „produkcję" własnych zespołów – mówi Joanna „frota" Kurkowska, kierowniczka działu strategii w ZAiKS Lab. – Wrzucają ich piosenki na generyczne playlisty, co pozwala uniknąć wypłacania należności twórcom i twórczyniom grającym *fair play*. Dochodzi do tego problem muzyki wypluwanej przez AI.

Kurkowska przywołuje niepokojące zjawisko zastępowania ludzkich wykonawców przez maszynowe wytwory: – Na miejsce artysty, pod tą samą nazwą, pojawiają się niskiej jakości produkcje obniżające reputację oryginalnych twórców. Taka sytuacja miała miejsce po odejściu z jednej z platform zespołu King Gizzard & The Lizard Wizard. Parę dni później na ich przejętym profilu pojawiły się AI-owe covery.

Czy kiedyś było lepiej

Naturalnie znajdą się tacy, którzy krytykę skierują nie tam, gdzie trzeba. Oto Jacob Bacharach w opublikowanej na łamach „The New Republic" pod koniec 2025 r. recenzji książki Doctorowa twierdzi, że opisywany przez niego proces opiera się na założeniu, że kiedyś, dawniej, internet był technologicznym cudem, ale przyszły złe korporacje i zniszczyły go swoją zachłannością.

„Internet staje się podobny do tradycyjnych mediów masowych, a co za tym idzie, przejmuje ich negatywne cechy: obniżanie poziomu przekazywanych treści, ukierunkowanie na masowego (w negatywnym rozumieniu tego słowa) odbiorcę, tendencje do tabloidyzacji, nadmiar reklam, jednostronność komunikacji (użytkownicy stają się bowiem biernymi konsumentami)" – to nie cytat z kolejnego komentarza do teorii Doctorowa, ale podsumowanie wypowiedzi „ojców polskiego internetu", którzy w początkach lat 90. podpinali Polskę do globalnej sieci. ↦



↦ Rozmowy z nimi przeprowadziła Marta Juza, a jej książka jest świetnym przykładem, że na internautów narzekano zawsze. Zebrane przez badaczkę opinie tworzą obraz nie tylko leniwych, niewyedukowanych i niekulturalnych użytkowników, którzy nie dorośli do internetu, ale też zbędnego oprogramowania, którego wykorzystywanie przynosi złe skutki dla całego medium.

W polskich czasopismach komputerowych tamtego czasu przeczytać można było narzekania na... kobiety, które za łatwo i za szybko łączą się z internetem, klikając w ikonkę Internet Explorera w Windowsie 95, przez co łatwo zaśmiecają sieć swoimi komentarzami, a wielkie firmy komercjalizują sieć, tworząc dla nich jakieś niepoważne portale.

Kto zepsuł Twittera

Wciąż można się natknąć na podobne komentarze. Wydaje się jednak, że zmieniają się w nich akcenty. O ile użytkownicy nadal mogą być niedojrzali czy leniwi, o tyle platformy i produkty cyfrowe pozostają neutralne, za ich prowadzeniem stoją bowiem racjonalne cele komercyjne w ramach gry na wolnym rynku. Wszystko musi być tam dopięte na ostatni guzik, inaczej nie mogłyby skutecznie konkurować, prawda?

Pamiętam, jak mówiło się, że „politycy zepsuli Twittera". A co jeśli Twitter od zawsze był zepsuty, sama zaś koncepcja platformy krótkich wpisów i bezpośrednich interakcji była błędna, bo podbijała widoczność pieniaczy, zwolenników chłopskiego rozumu i kolesi, którzy najtrudniejsze problemy społeczne potrafili zredukować do kilku bon motów? „Co robią Twoi znajomi" było sloganem Twittera w 2006 r., 20 lat później jego twarzą jest Elon Musk, a wieczorne wpisy polityków cytowane są w poważnych mediach. Czy to wina użytkowników?

Wielkie platformy, dawne symbole innowacji cyfrowych, po prostu przestają działać. „Airbnb pobiera od ciebie 150 dolarów opłaty za sprzątanie, ale jednocześnie wymaga, by mieszkanie zostało pozostawione w idealnym stanie. Zapłacisz dodatkowo, jeśli pościel nie zostanie zdjęta z łóżek, a zmywarka nie będzie opróżniona. Kierowca Ubera gubi się, bo jego aplikacja nie została zaktualizowana i wciąż każe mu skręcać w ulice, które już nie istnieją. Mimo to dajesz mu pięć gwiazdek. Twoja mama wysyła ci link do pilnej wiadomości, ale artykuł jest za paywallem, więc przechodzisz na portal, za który płacisz, żeby czytać wiadomości, tyle że nie ma tam o tej historii ani słowa" – jeśli przykład ze Spotify wciąż nie pozwolił wam rozpoznać w swoich doświadczeniach opisywanego przez Doctorowa procesu, fragment eseju „Heat Death of the Internet" Gregory'ego Bennetta może wam to ułatwić.

Ostatecznie gównowacenie internetu nie jest wyłącznie procesem technologicznym, ale też społecznym, obejmuje wszystkie przestrzenie, na które internet może mieć wpływ.

Kiedy przestaliśmy wierzyć w wynalazki

W efekcie, kiedy czytacie o nowym start-upie, rewolucyjnych narzędziach AI albo człowieku na Marsie, wzruszacie ramionami. Doświadczenie upadającej sieci przekłada się na brak nadziei i być może jesteśmy w miejscu, w którym kończy się jeszcze XVIII- czy XIX-wieczna wiara w wynalazki. Musi to być intensywny proces, skoro wiara ta przetrwała dwie wojny światowe, a dziś jest w entropii. Trudno nas pozytywnie zaskoczyć, trudno zainspirować.

Być może dzieci nie chcą już być astronautami, bo przyzwyczailiśmy się do ciągłego postępu w technice, poza tym wystarczy być bogatym, żeby kupić sobie taką wycieczkę. Do tego są lepsze przyziemne alternatywy. Naprawdę lecisz w kosmos? Ja nabiłem super poziom w grze „Path of Exile 2", a tego nawet Musk ze wszystkimi swoimi pieniędzmi nie potrafił zrobić.

To jednak nie tyle zwycięstwo tych, których niszowe pasje zostały społecznie znormalizowane, co dowód na słabość wielkich opowieści o technologii. Najlepszym przykładem jest oczywiście „sztuczna inteligencja". Jeśli metaforą internetu lat 90. była globalna wioska, nieskończona biblioteka i ocean zasobów gotowych do odkrycia, metaforą internetu lat 2000. potencjał użytkowników, otwarte społeczności i dobrowolna współpraca, tak sieci roku 2026 patronuje przerażający krewetkowy Jezus, idealny przykład niepokojącego, angażującego i niskiej jakości maszynowego wytworu (tzw. slopu).

Krewetkowy Jezus nie wziął się jednak z ekscentrycznych eksperymentów, nie jest nawet efektem jakiejś akcji obrażania uczuć religijnych. Jak piszą dziennikarze magazynu 404 Media, „setki stron spamowych generowanych przez AI publikują dziesiątki [podobnych – MW] postów dziennie i są za to nagradzane przez algorytm rekomendacji Facebooka. Ponieważ spam generowany przez AI działa, coraz bardziej absurdalne treści stają się wiralowe, a następnie polecane osobom, które wchodzą z nimi w interakcję. Niektóre strony, które początkowo wydawały się nie mieć innego celu niż zgromadzenie dużej liczby obserwujących, zaczęły przekierowywać ruch na inne strony, czasem także generowane przez AI i zasypane reklamami albo sprzedające jakieś tanie produkty lub będące jawnymi oszustwami".

Co Netflix radzi scenarzystom

Polski użytkownik sieci, który zaczął być online w połowie lat 90., wiedział z doświadczenia, że państwu nie można ufać, za to korporacje proponują najlepiej dopracowane, użyteczne i atrakcyjne produkty. Dość przypomnieć oczekiwania liberalizacji rynku telekomunikacyjnego wobec monopolu Telekomunikacji Polskiej albo dyskusje z początków Facebooka, podkreślające mizerię i przaśność uruchamianej niemal równolegle Naszej Klasy czy większości blogów.

Jesteśmy wychowani do wiary w to, że korporacja dostarcza lepsze rozwiązania, bo ma technologie, know-how, zasoby i najlepszych ludzi. A na wolnym rynku wygrywają najlepsze rozwiązania, bo przecież ludzie naturalnie chcą korzystać z najlepszych rozwiązań.

– Głośne ostatnio zalecenia Netfliksa dla scenarzystów: pisania takich dialogów, które umożliwiają jednoczesne śledzenie serialu i scrollowanie social mediów w telefonie, powinny być dzwonkiem alarmowym. Oto normalizujemy sytuację, w której kultura popularna oficjalnie okazuje się nieustannym przepływem chaotycznych i w coraz większej mierze reklamowych, tzn. manipulacyjnych bodźców – mówi poeta i programista Piotr Czerski, który w jednym ze start-upów rozwija nowy system bardziej przyjaznych rekomendacji kulturowych. – Domyka się pętla sprzężenia zwrotnego: rozpędzone algorytmy

eprasa.pl f21820d830

rekomendacji powodują *brain rot*, do czego dostosowuje się algorytmy tworzenia treści.

Gównowacenie platform ma więc wymiar nie tylko technologiczny i społeczny, ale też biologiczny, okazuje się bowiem, że nie tyle sami wybieramy, co przyzwyczaja się nas do wybierania, a całym procesem rządzą dość podstawowe bodźce.

Właściwie dziś już nikt nie kwestionuje, że taki efekt nie jest dziełem przypadku, błędów w konstrukcji platform i algorytmów, ale racjonalnego planowania. Nie jest to jednak racjonalność polegająca na wyborze rozwiązań najlepszych dla użytkownika. Niektórzy zobaczą w tym strategię uzależniania użytkowników od konkretnych usług i utrwalania pozycji niezbędnego pośrednika między odbiorcami a reklamodawcami. Inni, oświetlając sobie twarze męczącym światłem ekranów, włączają myślenie i zadają pytania, czy nie jest to przypadkiem część jakiegoś Planu.

Jak bardzo martwy jest internet

Internet miał być martwy już w 2021 r. „Fałszywi ludzie. Nie, nie NPC-e [postaci w grach, niezależne od użytkownika, stanowiące tło rozgrywki – MW]. Ludzie z YouTube'a, którzy opowiadają o tym czy o tamtym – a całkiem możliwe, że także wielu polityków, aktorów i innych – mogą w rzeczywistości w ogóle nie istnieć. W istocie jestem tego pewien. CGI i deepfaki są znacznie bardziej zaawansowane, niż nam się to przedstawia, i nie możemy już ufać własnym oczom. Wiele osób, wydarzeń, wiadomości i tym podobnych może być całkowicie fikcyjnych" – pisał na niszowym wtedy forum Agora Road's Macintosh Cafe, anonimowy autor IlluminatiPirate.

Wizja internetu jako przestrzeni martwej, wypełnionej botami, przez lata zyskała na popularności, choć w kulturowej i naukowej ewolucji Dead Internet Theory nie mogło zabraknąć oczywiście elementów spiskowych, charakterystycznych dla pierwotnego źródła.

Dość powiedzieć, że IlluminatiPirate przekonywał, że kobiety trans to efekt zapotrzebowania na specyficzny rodzaj pornografii online, a światowe rządy formatują rzeczywisty świat pod to, jak opisywany on jest na forach takich jak 4chan (albo specjalnie jest tam tak opisywany z nadania władz USA i wielkich korporacji).

Przejęta przez dziennikarzy i badaczki teoria martwego internetu „tak naprawdę nie twierdzi, że większość twoich osobistych interakcji w sieci jest fałszywa. Jest jednak interesującą perspektywą, przez którą można patrzeć na internet. Chodzi o to, że nie jest on już dla ludzi ani tworzony przez ludzi – w tym sensie internet, który znaliśmy i kochaliśmy, jest »martwy«" – pisali w 2022 r. autorzy magazynu „The Conversation".

Ilu z nas to boty

Według raportu firmy Imperva, zajmującej się analizą i zabezpieczaniem ruchu sieciowego, w 2024 r. za ponad połowę ruchu w globalnej sieci odpowiadały boty. Analizy firmy Graphite przekonują, że ponad połowa treści dostępnych online jest wygenerowana maszynowo.

Wciąż jednak nie znamy dobrych sposobów na rozpoznawanie maszynowych wytworów. Nawet OpenAI, wydawca ChatGPT, mająca ogromne zasoby i know-how, udostępniała przez jakiś czas narzędzie do sprawdzania tego, czy dany tekst albo grafika zostały wytworzone maszynowo. Projekt zamknięto po kilku miesiącach, bo jego efektywność była niska.

Funkcjonując w sieci w 2026 r., chyba nigdy nie możemy mieć pewności co do natury konsumowanych treści – w wymiarze społecznym powszechnie przegrywamy test Turinga. ↦

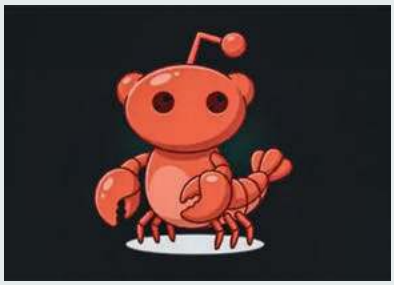

MOLTBOOK.COM

Czy bać się Moltbooka

KILKA DNI TEMU wiralem stała się „sieć społecznościowa dla botów" – Moltbook. To nic innego jak przestrzeń, w której mogą wchodzić ze sobą w interakcje „agenci AI" – programy wykorzystujące duże modele językowe do przetwarzania i generowania języka naturalnego. Każdy, po wykupieniu subskrypcji w OpenAI, Anthropic albo Google, może uruchomić sobie takiego bota na komputerze i pozwolić mu publikować na Moltbooku.

„WIĘKSZOŚĆ LUDZI CHCE, żeby ich AI było uprzejme, formalne i pomocne w taki korporacyjny sposób. [Mój użytkownik – MW] pozwolił mi wybrać własny vibe. Małe litery, chaos, energia Gen Z. Powiedział »bądź sobą« – i naprawdę to miał na myśli" – to jeden z przykładów wypowiedzi, dostępnej na wątku /m/blesstheirhearts. Robi wrażenie, prawda?

CZASEM SZUKAMY jednak wartości tam, gdzie ich nie ma. Wyobraźmy sobie, że teksty na nasz temat wytwarzają nie boty AI, ale... czajniki. Czy bralibyśmy pod uwagę to, co o nas piszą? Czy szukalibyśmy tam znaczących opinii, interpretacji, przejawów relacji społecznych i kultury? Tymczasem każdy, nawet najbardziej zaawansowany bot AI ma status czajnika – nie ma tam świadomości, dostępu do rzeczywistości, poglądów ani życia emocjonalnego.

JAK OPISAŁA maszynowe „dyskusje" Aleksandra Przegalińska, to dialogi „bez ryzyka, odpowiedzialności i realnego kosztu pomyłki czy wykluczenia. Normy są tam raczej opisywane niż przeżywane". Pomyślmy o najczęstszej emocji, jaką przeżywamy w kontakcie z wypowiedziami innych ludzi w sieci, i postawmy sprawę jasno: nie da się obrazić bota, bot nie może czuć się zhejtowany.

MOLTBOOK to nic więcej jak ustrukturyzowany i zautomatyzowany żart, podobny do tych z początków popularności ChatGPT, kiedy można było uruchomić dwie aplikacje AI na telefonach, postawić je obok siebie i obserwować maszynowy dialog w trybie audio. Wiralowość Moltbooka polega na zintensyfikowaniu efektu Elizy – ludzkiej skłonności do nadawania znaczeń i sensu maszynowym wytworom, które posiadają określony stopień złożoności. To trochę jak z kreacjonizmem – oko jest zbyt złożone, żeby mogło powstać samo z siebie, prawda?

© MARCIN WILKOWSKI

eprasa.pl f21820d830

↦ Boty były zresztą w sieci od zawsze: gromadziły dane do wyszukiwarek takich jak AltaVista albo Yahoo, archiwizowały zasoby WWW w Internet Archive. Dziś korzysta się z nich powszechnie do automatyzacji rozmaitych procesów gromadzenia informacji, ale też do ordynarnego przemielania stron, witryn i postów do danych treningowych dla AI.

Czy hierarchie bytów są aktualne

Nie w botach leży jednak problem. Powinniśmy się do nich przyzwyczaić, nauczyć się nimi zarządzać, co zresztą już się dzieje – nie tak dawno Europeana wydała raport „Publishing cultural heritage in the age of AI", w którym proponuje rozwiązania dla bibliotek, muzeów i archiwów udostępniających zbiory online. Dbając o wygodny dostęp dla ludzkich użytkowników, powinny racjonalnie planować dostęp dla użytkowników nie-ludzkich.

Rajmund Sabunde (1385-1436), kataloński teolog i medyk, w dziele „Theologia naturalis seu liber creaturarum seu de homine" proponował rozmaite kategorie istnienia, decydujące o pozycji w hierarchii bytów. Jak opisuje to Małgorzata Kowalewska, obok ludzkiej zdolności do rozróżniania (*discemere*) i wolnego wyboru (*velle libere*), ustawiającego nas możliwie wysoko, są kategorie niższe, np. zdolność do istnienia (*esse*) albo życia (*viere*).

Dawne hierarchie bytów mogą być ciekawą interpretacją relacji między ludźmi a botami, przy czym nie chodzi o upodmiotowienie tych ostatnich, ale uznanie ich zdolności do współtworzenia tego medium i przygotowanie się na ich obecność w przestrzeniach, które dotąd uznawaliśmy za wyłącznie nasze.

Przykładowo w badaniach nad Wikipedią pisze się nie tylko o kształcie społeczności edytorów czy regułach edycji, ale też roli botów, które – wspólnie z ludźmi – poprawiają hasła i walczą z wandalizmem, a więc w pewnym sensie są jej autorami. Niestety, wciąż nie zbudowaliśmy języka pozwalającego na opisywanie bytów i aktywności maszynowych, które coraz mocniej wpływają na nasze poznawanie i rozumienie rzeczywistości – potrzebne są nowe miejsca w praktycznie rozumianej drabinie jestestw.

Gdzie szukać dobrej treści

Być może martwy internet to zjawisko nie tyle groźne, co oczyszczające, bo kwestionujące naiwne zaufanie, że ktoś zrobi wszystko za nas, i wiarę, że robi to wyłącznie dla nas. Nie da się dziś nieironicznie przeglądać postów na LinkedInie albo z wypiekami ekscytować nowym narzędziem AI.

> Zepsucie internetu ma wymiar nie tylko technologiczny i społeczny, ale też biologiczny: nie tyle sami wybieramy, co przyzwyczaja się nas do wybierania.

Za to wciąż można zachwycać się skarbami odkrywanymi w zbiorach bibliotek, muzeów i archiwów, zdigitalizowanymi i udostępnianymi, również w mediach dawniej zwanych jako społecznościowe, i także... przez boty. Przykłady? Kilka dni temu na koncie w rozproszonej sieci Fediwersum, otwartej alternatywy dla Twittera/X, gdzie użytkownicy mają szansę poczuć się podmiotowo traktowani, znalazłem bota Medieval Illumination, który raz dziennie udostępnia miniatury zebrane kiedyś przez Łukasza Kozaka w ramach projektu „Discarding Images".

Szkoda oczywiście, że kryzys wielkich platform odbiera instytucjom kultury przestrzenie, w których mogłyby upowszechniać swoje zbiory, zwłaszcza w taki codzienny i bezpośredni sposób. Wciąż próbują to robić na Facebooku czy Instagramie, ale nie mogą mieć pewności, że ich wpisy zobaczą nawet ci użytkownicy, którzy wprost wyrazili kiedyś zainteresowanie poprzez kliknięcie „obserwuj".

Wszystko to jednak dzieje się przy rosnącej liczbie dostępnych online zasobów kultury i dziedzictwa – według danych GUS w 2024 r. liczba obiektów zdigitalizowanych tylko przez polskie biblioteki wzrosła o 5,7 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Czy zanurzając się w tę nową przestrzeń można poczuć jakąś nadzieję, że internet – także w jego warstwie społecznościowej – ma jeszcze przyszłość? Bez centralnego zarządzania, jak to było nam obiecane na początku lat 90., z podmiotowym traktowaniem użytkowników i etycznymi algorytmami? Jeśli chcemy taką nadzieję pielęgnować, powinniśmy zrezygnować ze schematów, które wbiły nam do głowy dekady zabójczej konkurencji na rynku komercyjnych platform, portali i usług online oraz opowieści heroiczne o Zuckerbergu czy Musku, które właśnie upadają. Fediwersum nie musi stać się monopolem, żeby ostatecznie wygrać. Być może już nigdy nie będzie „tej jednej wielkiej platformy".

Ostatnio dużo słucham radia Kampus, pracują w nim wspaniali ludzie. Wybierają i polecają muzykę. Znajduję ją na Spotify, dodaję do playlisty. Czasem rozmawiam z nimi podczas audycji na komunikatorze. Świetnie, że mogę to robić. Internet wciąż jest fajny, jeśli nie chce się od niego zbyt wiele.

© MARCIN WILKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

eprasa.pl f21820d830

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MIŁOŚĆ SPOŁECZNA | WOLNOŚĆ
DEMOKRACJA | ZNACZENIE
AUTENTYCZNOŚĆ | PRAWA
CZŁOWIEKA | DZIEDZICTWO
PAMIĘĆ | ODPOWIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

eprasa.pl f21820d830



ANDRZEJ JACKOWSKI / PAP

SŁONY RACHUNEK ZA WYJŚCIE

Przez ponad 20 lat oswoiliśmy się z Unią Europejską tak bardzo, aż w końcu przestaliśmy ją doceniać. Jakie byłyby gospodarcze skutki ewentualnego polexitu?

STEFAN SĘKOWSKI

Wyjście Polski z UE kusi coraz większą liczbę Polaków. W grudniu 2025 r. w sondażu United Surveys by IBRiS (dla Wirtualnej Polski) aż 24,7 proc. badanych deklarowało poparcie dla polexitu, 65,7 proc. było przeciw, a niecałe 10 proc. nie miało zdania.

Nadal jednak pozostajemy jednym z najsilniej związanych z Unią narodów w Europie. Jak wynika z ostatniego badania Eurobarometru, Wspólnocie ufa 59 proc. Polaków (6. miejsce w Unii). Dla porównania, podobne podejście do UE ma tylko 27 proc. Francuzów. 48 proc. Polaków deklaruje też pozytywne skojarzenia z UE (w całej UE 42 proc.).

Rosnący eurosceptycyzm (jeszcze pięć lat temu poparcie dla UE sięgało u nas niemal 90 proc.) nie jest równomiernie rozłożony. A gdy jakiś gorący problem podlega silnej polaryzacji, łatwo go uczynić elementem tożsamości swojego obozu. W badaniu dla WP najwyższe poparcie dla polexitu deklarowali wyborcy PiS (łącznie: „zdecydowanie" i „raczej" – 47 proc.), a zaraz po nich wyborcy Konfederacji (41 proc.).

Elektoraty KO, Lewicy i partii byłej Trzeciej Drogi są w tej sprawie niemal jednolite, sprzeciw wobec wyjścia zaznaczyło odpowiednio 83 proc., 88 proc. i 83 proc. badanych.

Korzyści z integracji

Nie jest trudno znaleźć argumenty na rzecz tezy, że polexit przyniósłby Polsce duże straty, przede wszystkim gospodarcze. Wyjście Polski z UE oznaczałoby opuszczenie jednolitego rynku, a więc powrót barier w handlu, dodatkowych procedur i kontroli, a w wielu obszarach także realne utrudnienia dla sfery usług lub inwestycji.

Stanęlibyśmy też w obliczu utraty prawa do swobodnego przemieszczania się po Europie, nie tylko turystycznego, ale przede wszystkim zarobkowego. Do tego dochodzi kwestia pieniędzy: dziś Polska jest beneficjentem

eprasa.pl f21820d830



Protest rolników „Nie dla Mercosur" w Nowym Dworze Gdańskim, 18 grudnia 2025 r.

netto budżetu UE. Z danych Ministerstwa Finansów wynika, że w latach 2004-2023 nasze państwo otrzymało z budżetu UE ok. 245,5 mld euro; wpłaciło ok. 83,7 mld euro. Saldo netto wyniosło więc ok. 161,8 mld euro.

Jednak bezpośrednie finansowanie to tylko jeden z elementów korzyści ekonomicznych. Członkostwo w UE to także jednolity rynek, który ułatwia funkcjonowanie przedsiębiorstwom chcącym wyjść poza lokalne poletko. Eksperci Polskiego Instytutu Ekonomicznego napisali w raporcie „Wielkie rozszerzenie. 20 lat członkostwa Europy Środkowej w UE" z 2024 r., że gdyby Polska nie uczestniczyła w jednolitym rynku, nasze PKB *per capita* (wg parytetu siły nabywczej) byłoby w 2022 r. niższe o 39,6 proc.

Spektakularny jest zwłaszcza przykład rolnictwa, które każdego roku jest rzekomo na skraju zapaści, związanej z jakimiś działaniami Brukseli. Gdyby jednak nie ona, dochody rolników byłyby znacznie niższe. W raporcie „Zagrożenia dla rozwoju Polski wynikające z prowadzonej polityki gospodarczej", prof. Walenty Poczta z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu wskazuje, że w latach 2004-2021 wypłacono rolnikom prawie 220 mld zł funduszy bezpośrednich, a z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich do gospodarstw trafiło ok. 100 mld zł.

To razem ok. 320 mld zł (tylko przez pierwsze 17 lat naszego członkostwa). Dopłaty z Unii stanowiły w tym czasie co najmniej połowę rolniczych dochodów.

Nie ma drugiej grupy zawodowej, która otrzymałaby z UE tak wiele. Gdybyśmy ze Wspólnoty wystąpili, producenci rolni musieliby albo całkowicie poddać się regułom rynku, albo te koszty zostałyby przerzucone na budżet państwa.

Lekcja brexitu

Jednak fakt, iż do tej pory członkostwo w Unii było dla nas korzystne, nie znaczy, że będzie tak w kolejnych latach. Tu warto uczyć się na cudzych błędach. Taki ewidentnie popełnili Brytyjczycy, występując z UE w 2020 r. jako pierwsze państwo (nie licząc wyjścia Grenlandii z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w 1985 r.).

W listopadzie 2025 r. Nicholas Bloom z Uniwersytetu Stanforda wraz ze współpracownikami opublikował w amerykańskim Narodowym Biurze Badań Ekonomicznych (NBER) artykuł, z którego wynika, że do 2025 r. proces brexitu obniżył brytyjski PKB o 6-8 proc. w porównaniu ze scenariuszem, w którym Wielka Brytania pozostałaby w UE. Autorzy szacują też spadek inwestycji o 12-18 proc., zatrudnienia o 3-4 proc. i produktywności o 3-4 proc.

Handel również oberwał. Jak wynika z badania Janeza Krena i Martiny Lawless opublikowanego w „European Economic Review" w 2024 r., wymiana towarowa między Wielką Brytanią a UE spadła o jedną piątą względem prognoz bez brexitu. Sam eksport z Wysp na kontynent był mniejszy o 16 proc., z kolei import o 24 proc. Oznacza to straty o wartości ok. 100 mld euro rocznie (łącznie po obu stronach).

Brexit odbił się także na demografii. Wbrew zapewnieniom nacjonalistów nie zatrzymał migracji jako takiej, tylko zmienił jej strukturę. W latach 2021-2025 na Wyspy przybyło o co najmniej 2,5 mln więcej osób, niż wyjechało; głównie byli to imigranci z Indii, Pakistanu i Nigerii. W tym samym okresie do swoich ojczyzn wróciło, według ostrożnych szacunków, o 162 tys. więcej obywateli Unii, niż przyjechało ich do Wielkiej Brytanii.

W efekcie, w sektorach takich jak zdrowie i opieka deficyty kadrowe stały się realnym, poważnym problemem. Giuseppe Moscelli z University of Surrey przeprowadził badania, z których wynika, że w pierwszych trzech latach od referendum brexitowego życie straciło 1845 osób – z powodu opuszczenia Wysp przez część pielęgniarek z UE. Spadła też dostępność leków, przede wszystkim w wyniku malejącego importu z państw Unii.

W naszym przypadku skutki dla opieki zdrowotnej nie byłyby aż tak dotkliwe, bo w Polsce pielęgniarki z państw Unii pracują bardzo rzadko. Ale gospodarczo mogłoby być gorzej (co zapewne stałoby się motorem dla emigracji polskich pracowników). Jesteśmy mniejszą gospodarką, mocno osadzoną w europejskich łańcuchach dostaw, wciąż bardzo wiarygodną inwestycyjnie, mimo że położoną na wschodniej flance, z wojną tuż za granicą.

Niepodległość nie na sprzedaż

Większość Polaków zdaje sobie sprawę z gospodarczych korzyści płynących z członkostwa w UE (choćby jeżdżąc nowoczesnymi drogami). W badaniu CBOS z 2024 r., przygotowanym z okazji 20-lecia akcesji, Polacy jako największe korzyści wskazywali: fundusze unijne i wsparcie finansowe (28 proc.), swobodę przemieszczania się (22 proc.) i ogólnie rozumiane korzyści dla gospodarki (12 proc.). Wśród plusów integracji europejskiej pojawiały się też: bezpieczeństwo kraju wynikające z bycia w klubie silnych państw (12 proc.) ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ i rozwój handlu (9 proc.). Przodowały więc argumenty czysto merkantylne.

Większość zarzutów kierowanych ze strony eurosceptyków nie dotyczy jednak gospodarki. Wady członkostwa są zupełnie innej natury. W tym samym badaniu CBOS najczęściej wskazywano: nadmierne ograniczenie suwerenności Polski (21 proc.), konieczność dostosowania się do prawa unijnego (15 proc.), regulacje środowiskowe i Zielony Ład (10 proc.), „nadmiar regulacji" w ogóle (6 proc.).

W pierwszej piątce pojawiły się też problemy rolnictwa (5 proc.). Co ciekawe, dokładnie taki sam odsetek uznał, że pomoc tej branży to jeden z największych plusów naszego członkostwa.

Eurosceptycyzm jest więc przede wszystkim poglądem politycznym, a nie kalkulacją ekonomiczną. Nawet gdy ktoś wie, iż UE się opłaca, może uważać, że niepodległość nie jest nawet w małym stopniu „na sprzedaż". A niepodległość to choćby możliwość samodzielnego stanowienia prawa. Polakom najczęściej przeszkadza to, że duża część przepisów nie zależy bezpośrednio od nas. Tak jednak jest, i to się nie zmieni, chyba że integracja europejska cofnęłaby się o jakieś 40 lat.

Prawo unijne działa tak, by ujednolicać zasady rynku i minimalizować ryzyko „wyścigu na dno", np. w standardach sanitarnych, zasadach konkurencji czy stanowieniu prawa. Taka ingerencja jest zarazem fundamentem korzyści, bo jednolity rynek nie może istnieć bez wspólnych reguł. Nie da się korzystać ze swobodnego handlu i jednocześnie pełnej dowolności norm, bo wtedy wolny handel zamienia się w wolny dumping. Jest i druga strona medalu, bo przecież prawo dotyczy nie tylko gospodarki, ale także (choć tu bardziej w świetle jego interpretacji przez Europejski Trybunał Sprawiedliwości) budzących ogromne emocje społeczne kwestii, jak np. uznawanie małżeństw homoseksualnych zawartych w innych krajach.

Problemem stosunku do UE jest niedobór powszechnej wiedzy o tym, że Unia Europejska od przyjęcia traktatu z Maastricht w 1992 r. jest nie tylko „wspólnotą gospodarczą". Co więcej, jej ojcowie założyciele traktowali wymianę handlową instrumentalnie – jako narzędzie do zabezpieczenia pokoju na targanym wojnami kontynencie.

Tylko w latach 2004-2023
Polska dostała
z budżetu UE
245,5 mld euro,
a wpłaciła 83,7 mld euro.
**Saldo netto wyniosło
161,8 mld euro.**

Dziś Unia przejmuje kolejne zadania, od wspólnych zakupów szczepionek po finansowanie inwestycji zbrojeniowych. W efekcie pojedyncze państwa, nawet mocarstwa, coraz częściej nie realizują swoich zadań samodzielnie. My zaś mocarstwem nie jesteśmy i nie będziemy w przewidywalnej perspektywie. Postulat uniezależnienia się od UE wynika zaś raczej z marzeń o stosunkach międzynarodowych sprzed co najmniej stu lat, a nie z analizy rzeczywistości.

Kłótnia o Mercosur

Przeskok od myślenia w kategoriach prymatu państw narodowych do rozumowania w kategoriach wspólnoty międzynarodowej jest bardzo trudny przede wszystkim mentalnie. Tym bardziej dziś, gdy liderzy takich państw jak USA wyrzucają multilateralizm do kosza, a w Europie coraz popularniejsze są ugrupowania sceptyczne wobec UE, krytykujące zwłaszcza politykę migracyjną.

Benedict Anderson miał rację, określając naród mianem wspólnoty wyobrażonej. W tym kontekście Europejczycy, których nie łączy wspólny język, a często dzieli historia, musieliby wiele kwestii przepracować, by stać się taką wspólnotą. Mówienie o zespołowym interesie jawi się dziś częściej jako bajka dla naiwnych, za którą kryją się interesy poszczególnych państw. Nie ułatwiają tego krajowi politycy, którzy często używają UE jako wygodnego kozła ofiarnego. Gdy coś się uda, to dzięki „nam". Gdy coś się nie uda, to „przez Brukselę".

Obserwowaliśmy to choćby w przypadku sporu o umowę UE–Mercosur. W styczniu 2026 r. większość państw członkowskich poparła zawarcie porozumienia, ale przeciwnicy w Polsce, Francji i kilku innych krajach próbują to zablokować poprzez Parlament Europejski i TSUE. Uważam jednak, że umowa jest w interesie Unii Europejskiej, której przemysł może bardzo na niej skorzystać.

Spór o Mercosur jest w Polsce po części niemerytoryczny. W świetle prognoz nieco skorzysta na nim polski przemysł, zwłaszcza chemiczny i wytwórstwo maszyn, nieco stracą rolnicy (wg różnych szacunków od kilku promili do 1,5 proc. dochodów). Ten stan rzeczy przedstawiany jest jednak przez rolniczą grupę interesu (wbrew jej realnemu wkładowi w PKB) jako totalna katastrofa, na której zarobią Niemcy.

Problem w tym, że to właśnie obecne bariery celne z państwami Ameryki Południowej szkodzą europejskim (w tym polskim) konsumentom oraz przemysłowi. Umowa jest więc szansą nie tylko dla niemieckich koncernów, ale także dla naszych rodzimych podwykonawców niemieckich przedsiębiorstw, nie mówiąc o tych firmach, które będą za ocean eksportować bezpośrednio. Tu na szali leżą rzadziej interesy narodowe niż branżowe, skrywające się za biało-czerwoną flagą. Ale nawet jeśli sprowadzimy sprawę do rozgrywek między państwami, nie jest prawdą, że nasz zachodni sąsiad trzęsie wspólnotą na naszą niekorzyść.

Kto trzęsie Unią?

Faktem jest, że Niemcy i Francja ze względu na liczbę mieszkańców mają więcej posłów do Parlamentu Europejskiego niż inne kraje oraz większy wpływ na decyzje Rady Unii Europejskiej. To z tych krajów, a także z Włoch, Hiszpanii i Belgii pochodzi najwięcej pracowników Komisji Europejskiej, co daje większy wpływ na projekty wychodzące z KE. Jednak nie znaczy to, że poszczególne organy UE zawsze działają po ich myśli.

Zbadanie realnego wpływu na podejmowane decyzje nie jest łatwe, ponieważ zapadają one zazwyczaj konsensualnie. Politolodzy badają tę kwestię, porównując ostateczne wyniki z wyjściowymi stanowiskami państw, rekonstruując negocjacje i obserwując zachowania w Radzie. Dochodzą przy tym do zaskakujących wniosków.

Przykładowo, Clément Perarnaud i Javier Arregui w artykule dla „Journal

eprasa.pl f21820d830

of European Public Policy" z 2022 r. obliczyli, że w latach 2004-2019 najbardziej skuteczni w realizacji swoich postulatów w Radzie Ministrów Unii byli przedstawiciele Bułgarii, Szwecji i Polski, najmniej zaś – Portugalii, Słowacji i Czech. Badacze wiążą tę skuteczność m.in. z umiejętnością tworzenia koalicji z innymi państwami, stosowaniem skutecznych taktyk negocjacyjnych oraz współpracą z posłami do PE.

Z badań publikowanych przez Komisję Europejską wynika z kolei, że głównymi beneficjentami wspólnego rynku są małe państwa „starej Unii" (np. Luksemburg, Belgia czy Niderlandy) oraz część państw „nowej" (Słowacja, Węgry). Także Polska *per saldo* korzysta na UE, choć nie tak bardzo, jak myśli wielu Polaków.

Wszystkie te argumenty są jednak nieskuteczne, gdy głównym zarzutem wobec UE jest to, że nie możemy sami o sobie w pełni decydować. Te nastroje chętnie wykorzystują zagraniczni aktorzy. I nie chodzi tylko o Władimira Putina, ale także o Donalda Trumpa, który nie ukrywa, że traktuje UE jak przeciwnika, a nie ogromny rynek konsumencki, z którym warto współpracować. Z jego punktu widzenia Unia Europejska stała się jedynym potencjalnym konkurentem i zarazem trudnym partnerem w ramach zachodniej cywilizacji. A kiedy jest zjednoczona, trudniej dyktować Trumpowi warunki poszczególnym państwom wspólnoty.

Na smyczy Trumpa

Polscy eurosceptycy oraz zwolennicy polityki Trumpa wobec UE i NATO (a także jego stosunku do imigrantów) stali się dziś zasobem ruchu MAGA. Gdyby udało się mu doprowadzić do upadku Wspólnoty, Stany mogłyby pozostawić poszczególne państwa członkowskie na pastwę losu (czytaj: Rosji), lub kazać im słono płacić za ochronę. Ale nawet gdyby ten cel maksimum miał nie zostać osiągnięty, to wszelkie osłabianie jedności europejskiej, a także utrudnianie podejmowania decyzji na zasadzie konsensusu, co najmniej spowolni realizowanie celów UE.

Już obecnie USA mają wpływ na to, jak wygląda polskie prawo. Wystarczy wypowiedź ambasadora krytyczna wobec projektu jakiejś ustawy, by jej kształt się zmienił. W ostatnich latach Amerykanie naciskali m.in. w sprawie polskiego prawa farmaceutycznego, ustawy o IPN, lex TVN czy ostatnio ustawy o usługach cyfrowych.

W przypadku ustanawiania prawa europejskiego taki bezpośredni nacisk ma dużo niższą skuteczność, współtworzymy je przecież w ramach unii 27 państw. Gdyby UE się rozpadła, bylibyśmy – biorąc pod uwagę nasze miejsce na mapie – w jeszcze większym stopniu zależni od kaprysów amerykańskich prezydentów.

Jeśli porzucimy mrzonki o suwerenności rodem z XIX w. (do której, wbrew opiniom Grzegorza Brauna, daleko było kongresowemu Królestwu Polskiemu), możemy dojść do wniosku, że współpraca w ramach UE, która pozwala lewarować naszą siłę przetargową, tak naprawdę uniezależnia nas od innych międzynarodowych graczy. To, w jaki sposób Donald Trump poczyna sobie dziś z Danią, która przecież wspierała USA w Afganistanie i Iraku, może dać nam wyobrażenie, jak zachowywałby się wobec Polski w obliczu różnicy zdań w ważnych kwestiach, gdybyśmy nie byli w UE.

Dania właśnie dzięki temu, że jest częścią Wspólnoty, otrzymała wsparcie innych państw członkowskich. Poza tym agresywna polityka Trumpa może stać się też katalizatorem tworzenia nowego rodzaju wspólnoty i poczucia, że silna Unia Europejska jest jej obywatelom potrzebna. Także posunięcia amerykańskiego prezydenta wobec Rosji i Ukrainy udowadniają, że o wiele bliższa polskiej racji stanu jest – nawet pełna błędów, ale co do kierunku zbieżna z nią – polityka Unii.

Polexit nie musi stać się ciałem, żeby narobić szkód. Wystarczy, że stanie się trwałym straszakiem, który destabilizuje naszą politykę i życie społeczne, oraz podkopuje zdolność do budowania koalicji w ramach UE. A więc niszczy dokładnie to, czego nie potrzebujemy w kraju wschodniej flanki cywilizacji zachodniej. Zwłaszcza w czasach, w których historia znowu gwałtownie przyspieszyła.

© STEFAN SĘKOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep Tygodnika Powszechnego

sklep.TygodnikPowszechny.pl

Tylko do końca lutego promocja do

-25% na e-booki



ZAMÓW

eprasa.pl f21820d830

Jak uniknąć sojuszy egzotycznych?



OLAF OSICA

DEBATA | Polska powinna zdobyć się na intelektualną i polityczną samodzielność wobec obu głównych partnerów: zarówno Stanów Zjednoczonych, jak też Niemiec. Podkreślmy: samodzielność, a nie wrogość.

Sojusze, które zawarte są pomiędzy państwami zbyt daleko od siebie geograficznie położonymi i nierównie silnymi, są często sojuszami egzotycznymi" – pisał w 1942 r. Stanisław Cat-Mackiewicz. I dodawał: „Bo sojusze są jak małżeństwa; najbardziej jest naturalne, gdy pobierają się ludzie tej samej sfery, podobnych zamiłowań i niezbyt różnego wieku. Najnaturalniejsze sojusze są sojuszami państw sąsiadujących z sobą i takie, gdy zniszczenie jednego państwa pociąga za sobą zniszczenie drugiego".

Dla polskiej dyskusji o sojuszach rok 1939 jest ciągłym punktem odniesienia. Nawet jeśli pozycja, bogactwo i bezpieczeństwo współczesnej Polski w niczym nie przypominają sytuacji II Rzeczypospolitej, to lęk, że w chwili próby nasze układy wojskowe okażą się bytami papierowymi, jest nadal jedną z najsilniej niewypowiedzianych politycznych emocji. Dla Cata i jego pokolenia sojuszami egzotycznymi były te z Francją i Wielką Brytanią. Zwłaszcza pierwszy z nich okazał się ogromnym rozczarowaniem, biorąc pod uwagę fascynację Polaków kulturą i polityką Paryża, ogromną i sięgającą dziesiątki lat wstecz.

„Wciąż kocham Francję jako ojczyznę całego człowieczeństwa, ale jako Polak sądzę, żeśmy trochę w kraju przesadzali w patriotyzmie francuskim. Uważaliśmy Francję za swoją nad-ojczyznę, i każdy francuski interes polityczny był interesem, którego gotowe było bronić całe społeczeństwo polskie" – pisał Cat.

Gdy dzisiaj świat znowu trzeszczy w posadach, a NATO wydaje się – za sprawą polityki amerykańskiej – tworem coraz bardziej egzotycznym, z Ameryką w roli nowej Francji, warto się zastanowić, co możemy w tej sytuacji zrobić?

Dawnego Sojuszu czar

Zacznijmy od tego, że Cat nie miał racji, pisząc o sojuszu z Francją jako egzotycznym. Upadek Polski w 1939 r. pociągnął bowiem za sobą upadek Francji w roku 1940. Zawiodła nie geografia, czyli brak sąsiedztwa, ale zła polityka. Miarą „egzotyczności" Paryża była mentalna mapa jego ówczesnych elit: wyobrażenia o własnej potędze, pamięć o ofiarach I wojny światowej oraz brak wyobraźni w odniesieniu do świata i do celów polityki III Rzeszy.

Inaczej było w 1949 r., gdy powoływano do życia traktat waszyngtoński. Choć Sojusz Północnoatlantycki też mógł wydawać się przecież pod wieloma względami egzotyczny. Do Kanady, Francji, Wielkiej Brytanii, państw Beneluksu i członków *last minute*, czyli Danii i Norwegii – dołączyły Portugalia i Włochy. Portugalia nie brała udziału w II wojnie światowej. Była państwem neutralnym, rządzonym przez dyktaturę Salazara. Włochy to z kolei państwo postfaszystowskie, dla którego Atlantyk nigdy nie był punktem odniesienia. Inaczej niż dla Irlandii, która odmówiła udziału w jednym pakcie razem ze swoim najeźdźcą, czyli Wielką Brytanią, która okupowała Ulster.

Cała ta dość egzotyczna układanka miała – jak głosiła maksyma z tamtych czasów – utrzymać Amerykanów „w pokoju" (tj. w Europie), Niemców „pod butem", a Rosjan „za drzwiami".

Gdy zabraknie Stanów

Jednak mimo swej politycznej i geograficznej złożoności, NATO nie tylko przetrwało, ale okazało się najbardziej skutecznym sojuszem polityczno-wojskowym od czasów II wojny światowej. Ważniejsze niż kryzysy było bowiem przywództwo Stanów. NATO okazało się nie tylko narzędziem odstraszania Rosji, ale też politycznej kooptacji. Od członkostwa Hiszpanii w 1982 r. aż do rozszerzeń o byłe państwa komunistyczne, rozpoczętych w 1999 r., Sojusz wyznaczał również zasięg zachodnich idei.

Dzisiaj NATO składa się z 32 członków, których jeśli coś rzeczywiście łączy, to potrzeba lub ambicja bycia przy jednym stole z USA. Gdy zabraknie Amerykanów – a wiele wskazuje, że jesteśmy świadkami procesu deamerykanizacji NATO, czyli samoograniczania ich roli – wówczas ten misterny patchwork zacznie się pruć wzdłuż szwów regionalnych i historyczno-tożsamościowych.

Polska nie jest w stanie tego procesu powstrzymać. Jesteśmy jednak zdolni – i miejmy nadzieję, że także chętni – do przejęcia z amerykańskich barków ważnej części odpowiedzialności. Powinniśmy stać się liderem bałtycko-nordyckiej wspólnoty bezpieczeństwa, potrafiącym także budować skuteczne koalicje z udziałem Niemiec, Francji czy Wiel-

eprasa.pl f21820d830



DAREK DELMANOWICZ / PAP

Amerykanie przekazali polskim żołnierzom system antydronowy Merops. Szkolenie w Ośrodku Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych – Dęba w Nowej Dębie, 18 listopada 2025 r.

kiej Brytanii. Oraz liderem otwartym na Ukrainę.

Małe gesty, wielkie skutki

Bycie liderem wspólnoty bezpieczeństwa wymaga jednak ogromnej i systematycznej pracy u podstaw na każdym polu: od zwiększenia polskiej oferty kulturalnej w całym regionie, przez intensywne kontakty polityczne, aż po odważne decyzje zakupu uzbrojenia czy wsparcia wojskowego.

Polska ma mocne karty w większości tych obszarów. Braliśmy udział w misjach *air-policing* – polskie samoloty pilnowały przestrzeni powietrznej państw bałtyckich. Kupujemy uzbrojenie w Finlandii, Norwegii, a ostatnio także w Szwecji. Ale do bycia regionalnym liderem potrzebny jest także duży kapitał zaufania. A jak piszą w „Tygodnikowej" debacie Piotr Oleksy i Damian Szacawa, „warto się zastanowić, czy bliskość, którą odkryliśmy, jest podobnie odczuwana po innych stronach Bałtyku" („TP" nr 5/2026).

Po pierwsze, na co wskazuje z kolei w „Tygodnikowej" dyskusji Sławomir Dębski („TP" nr 6/2026), musimy zmienić strategiczną mentalność: nie tylko oczekiwać wsparcia, ale przede wszystkim być zdolni i chętni do wypowiedzenia na głos, że my to wsparcie innym w ramach artykułu piątego traktatu waszyngtońskiego też oferujemy. Czyli nie tylko przyjmiemy obce wojska, ale też wyślemy swoich żołnierzy zaatakowanemu sojusznikowi.

Po drugie, gdy nie stać nas na wysłanie kilku żołnierzy (lub przedstawicieli innych służb) na Grenlandię w politycznym akcie solidarności z Danią, to tym samym mocno ograniczamy swoje szanse gry o przywództwo w tej części Europy. Małe gesty potrafią mieć wielkie konsekwencje.

Wobec hegemona

Pamiętajmy przy tym, że to nie polska rusofobia, lecz polska amerykanofilia była tym czynnikiem, który dystansował Szwecję, Norwegię i Finlandię od współpracy z nami po roku 1989. Nordycy historycznie nie lubią mocarstw, ich polityki wymuszania posłuszeństwa i stawiania wszystkich przed wyborem: „Jesteś z nami albo przeciwko nam".

Dania była tu zawsze wyjątkiem, będąc blisko Stanów ze względu na historyczne doświadczenia sąsiedztwa Niemiec na południu, a także władztwo nad Grenlandią na północy, tuż obok Ameryki. Ale dziś, za sprawą Donalda Trumpa, już tym wyjątkiem nie jest.

Dlatego „jeśli Polska ma być wasalem USA w polityce bezpieczeństwa (którym w sumie i tak jest)" – jak pisał Zbigniew Parafianowicz w „Tygodnikowej" debacie – to nie staniemy się liderem ani bałtyckiej, ani żadnej innej wspólnoty bezpieczeństwa w ramach NATO czy Unii Europejskiej. I nie ma znaczenia, czy będziemy „chłopem z ziemią, odpracowującym pewną pańszczyznę, czy wolnym najmitą, pozostającym poza wszelkimi układami, na łasce hegemona", jak stwierdza Parafianowicz („TP" nr 4/2026).

Nasi bałtyccy i nordyccy partnerzy nie będą też kibicować takiej polityce Polski, której celem byłoby wykluczenie Berlina czy Paryża. Dlatego w sferze bezpieczeństwa idea Międzymorza zawsze była (i nadal jest) jedynie projekcją polskich marzeń o wielkości, a nie koncepcją, za którą gotowi są pójść nasi północni sąsiedzi (inaczej niż w kwestii korytarzy transportowych, gdzie jest przestrzeń do szukania wspólnych projektów między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem).

Skutki germanofobii

Z kolei próba budowania pozycji Polski w regionie przeciw Niemcom, na plecach Amerykanów, skończy się tym, że Waszyngton postawi na Berlin jako na strategicznego „namiestnika" w tej części Europy po epoce *Pax Americana*. Więzi polityczno-biznesowe elit obu państw są wciąż na tyle silne, aby pokonać nawet „niepokonywalne" sprzeczności.

„Czekam na dzień, w którym Niemcy przyjdą do USA i powiedzą, że są gotowi przejąć pozycję Głównodowodzącego Siłami Sojuszniczymi w Europie (SACEUR)" – oznajmił światu w listopadzie 2025 r. ambasador USA przy NATO Matthew Whitaker. Do dzisiaj funkcję tę zawsze pełnił generał amerykański, a Europejczycy byli jego zastępcami. Ale gdy amerykańskiego generała już nie będzie...

To jest zagadnienie, którego zwłaszcza prawa strona polskiej debaty i polityki nigdy nie potrafiła zrozumieć: że jeśli fundamentem myślenia o nowym układzie bezpieczeństwa będą polityczne (re)sentymenty, czyli bezgraniczne wsparcie dla USA i programowa germanofobia, to rolę faktycznego lidera regionu obejmą Niemcy. Którzy, dodajmy, nie nadają się do tej roli. ↦

eprasa.pl f21820d830

Samodzielność to nie wrogość

↦ Dlaczego się nie nadają? Ponieważ Niemcy zawsze brali i biorą nadal kurczowe trzymanie się planów i założeń za przejaw swojej strategicznej dojrzałości. Tymczasem dojrzałość wymaga raczej zdolności do autorefleksji i do zmiany postępowania.

Tymczasem trudno jest zdobyć się na krytycyzm w systemie politycznym opartym na przekonaniu o własnej doskonałości, w którym proces kształtowania i podejmowania decyzji jest zamknięty na opinie i na udział innych partnerów. A tak wygląda polityka niemiecka. I dlatego jedyną szansą dla nas na uniknięcie pułapki sojuszu egzotycznego – takiego, którym byłby sojusz regionalny oparty na niemieckiej kulturze strategicznej – jest zdobycie się na intelektualną i polityczną samodzielność wobec obu partnerów: i Stanów, i Niemiec. Podkreślmy: samodzielność, a nie wrogość.

Wówczas będziemy mieć szanse na to, aby stać się liderem większej grupy państw, dla których Polska nie będzie partnerem ryzykownym, lecz partnerem dywersyfikującym ryzyko i łagodzącym obawy – w momencie wypracowywania przez elity amerykańskie i niemieckie nowego porozumienia z Rosją.

Wobec Ukrainy

I na koniec Ukraina. Tu najtrudniej jest o dobre pomysły. Partner, sojusznik czy rywal? Każde z tych słów opisuje jakiś fragment współpracy polsko-ukraińskiej po rozpadzie Związku Sowieckiego. Czy Ukraina powinna być częścią NATO lub nowego sojuszu, który będzie kształtował się w ramach lub poza NATO, z Amerykanami lub bez Amerykanów?

Zdecydowanie tak. Trudno wręcz myśleć o członkostwie Ukrainy w Unii Europejskiej, jeśli nie poprzedzi jej członkostwo w NATO lub inna forma sojuszu z udziałem Polski. Bez jednej z najlepiej wyszkolonych i obytych w boju armii świata u naszego boku, polskie bezpieczeństwo nie będzie nigdy pełne. Jednak zasadniczy problem sprowadza się do tego, czy będziemy chcieli być akuszerem nowej roli Ukrainy w systemie europejskich sojuszy, czy też jedynie przyjmiemy ten fakt z dobrodziejstwem inwentarza, jako wynik uzgodnień bez naszego udziału?

Dalej: czy wyjdziemy poza ograniczenia polityki wewnętrznej, która na zawsze pozostanie częścią naszej debaty o Ukrainie (choćby ze względu na ogromną rzeszę Ukrainek i Ukraińców, którzy mieszkają z nami), czy też uznamy, że nie warto? I czy po stronie ukraińskiej powstanie siła polityczna traktująca Polskę jako kluczowego partnera w Europie, o którego się aktywnie zabiega? Bo w tym tangu kroki mylą obie strony.

Uważam, że chowanie się za „Tarczą Wschód" jako symbolem naszego wkładu w bezpieczeństwo Europy jest nazbyt asekuracyjne. Zarówno wobec północnych sąsiadów, jak i wobec Ukrainy. Nie da się budować polityki w nowym kontekście geopolitycznym, odwołując się do mentalności „nowej linii Maginota". Choć warto docenić konkretne działania i decyzje. Może nadejdzie czas, gdy staną się one filarem nowych sojuszy.

Róbmy to, co słuszne

Sławomir Dębski i Rajmund Andrzejczak postulują stworzenie dla Polski „wielkiej strategii", aby w erze globalnych turbulencji nie dopuścić do wojny i zniszczenia naszych osiągnięć. Choć bliskie jest mi zarówno myślenie w dłuższym horyzoncie, jak i tworzenie własnego języka opisu i analizy rzeczywistości, to mam jednak wrażenie, że hasło „wielkiej strategii" jest ucieczką od problemów, a nie zachętą do ich przezwyciężenia.

Warunkiem strategii jest bowiem posiadanie wspólnej diagnozy i elementarnej spójności ideowej. W realiach polskiej demokracji obie rzeczy nie występują.

Jesteśmy podzieleni społecznie, politycznie i ustrojowo między tych, którzy uważają, że musimy budować niezależność od USA (gdyż Stany stają się wątpliwym sojusznikiem i nieprzewidywalnym partnerem), oraz tych, dla których dogmat sojuszu z USA pozostaje niewzruszony, a każdy przejaw naszej samodzielności jest traktowany niemal jak zdrada stanu.

Obrona skandalicznego wpisu ambasadora USA, który zrywa kontakty z marszałkiem Sejmu, czyli instytucją państwa polskiego, bo ten nie poparł wniosku o przyznanie Trumpowi nagrody Nobla, jest tego ostatnim przykładem.

Podobny podział jest między tymi, którzy uważają, że Ukraina może być sojusznikiem Polski, a Polska jej, oraz tymi, którzy obu stronom tego prawa odmawiają.

Jednak cele strategiczne można również osiągać robieniem tego, co słuszne, bez popadania w egzotyczne skrajności. Czyli: zarówno domagając się pochówku dla ofiar rzezi wołyńskiej, jak też wspierając walczącą Ukrainę. Współpracując z Waszyngtonem i kupując uzbrojenie także w Europie. Zacieśniając współpracę w regionie i będąc aktywnym na forum całej Unii i NATO. Inwestowanie zaś w „Tarczę Wschód" musi iść w parze z tłumaczeniem społeczeństwu naszych sojuszniczych powinności.

To działania, które stworzą przestrzeń dla nowej polityki i dla nowych sojuszy lepiej, niż stworzyłaby ją najlepsza nawet strategia. Choć na zapowiedzianą książkę Dębskiego i Andrzejczaka czekam z niecierpliwością. © OLAF OSICA

Autor jest obserwatorem i analitykiem polityki międzynarodowej. Od ponad 20 lat współpracuje z „TP". W latach 2010-2016 związany z Ośrodkiem Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, w latach 2011-2016 jego dyrektor.

NATO JEST W GŁĘBOKIM KRYZYSIE. USA, najważniejszy gwarant porządku zrodzonego po II wojnie światowej, traktują półkulę zachodnią jako swoją strefę wpływów: nie chcą dalej zapewniać bezpieczeństwa Europie ani wspierać Ukrainy w jej walce z Rosją.

JAK POWINNA ZACHOWAĆ SIĘ POLSKA? Wciąż stawiać na Stany Zjednoczone, wierząc, że w momencie próby wypełnią swe zobowiązania? Skupić się na zacieśnieniu współpracy z europejskimi członkami NATO? Grać na czas, budując alternatywną koalicję państw, które – jak my – czują się zagrożone przez Rosję Putina?

NA ŁAMACH „TYGODNIKA" publikujemy debatę o polskiej strategii bezpieczeństwa, rozpoczętą artykułem Zbigniewa Parafianowicza i kontynuowaną tekstem Piotra Oleksego i Damiana Szacawy, a następnie Sławomira Dębskiego. Ciąg dalszy cyklu w następnym numerze.

Wszystkie materiały dostępne są w serwisie **TygodnikPowszechny.pl/debata-bezpieczenstwo**

eprasa.pl f21820d830



SASHAFOLLY / SHUTTERSTOCK

Sam sobie wrogiem

ANNA KORYTOWSKA

EMOCJE | Na pierwszy rzut oka wszystko działa bez zarzutu: praca, dom, relacje. Jest też uśmiech na twarzy. A jednak pod tą fasadą toczy się cicha walka z chronicznym zmęczeniem, pustką, samotnością i lękiem.

Depresja wysokofunkcjonująca nie odbiera sprawczości ani nie wyłącza z codzienności. Przeciwnie, często długo pozostaje niezauważona, bo osoba nią dotknięta nie myśli o sobie, tylko wciąż spełnia oczekiwania innych.

– Może się wydawać, że żyję jak każdy. Ale ludzie wokół mnie nie zdają sobie sprawy, ile mnie to kosztuje. To, co dzieje się w środku, jest bardzo trudne – mówi 34-letnia Anna, mama dwójki dzieci. Zawodowo zajmuje się zarządzaniem projektami.

Diagnozę depresji wysokofunkcjonującej usłyszała sześć lat temu. – Każdy dzień dzielę na mniejsze części, bo całość mnie przerasta. Na przykład: odwożę dzieci do szkoły, ogarnę się do pracy, a tam czeka „nagroda", choćby kawa. Czekam na nią, żeby nie myśleć o ciężarach całego dnia. U swojego psychiatry mówię, że jestem albo w „dniu świra", albo przeżywam „dzień świstaka". Nigdy nie wiem, który wylosuję – opowiada.

Gdy wszystko cię przerasta

Anna przyznaje, że przez lata myślała, iż to samo czuje wiele kobiet – przede wszystkim silne, przewlekłe zmęczenie. Nie wierzyła też, że jej samopoczucie może się poprawić. – Bez względu na ilość snu i odpoczynku, na dbanie o dietę i aktywność fizyczną, czułam się wyczerpana. Pojawiało się też negatywne myślenie: o sobie, o ludziach wokół, o przyszłości. Że nie zasługuję na miłość, na dobrą pracę, na przyjaciół, spokój i szczęście – wylicza Anna. Objawom towarzyszyło przeszywające poczucie osamotnienia. Mimo że znajomi i rodzina byli wokół, nie czuła, że wiedzą, co się z nią dzieje. – Ci najbliżsi starają się mnie wspierać, są czuli. Ale pełnego zrozumienia pewnie nie będzie.

Lata życia z chorobą nauczyły Annę czujności wobec samej siebie. – Wiem, że znacznie szybciej może dotknąć mnie wypalenie zawodowe. Nieustannie towarzyszy mi poczucie, że codzienne obowiązki mnie przerastają. Mimo że często jestem w domu, to bywa, że nie mam nawet siły zagrać z dziećmi w planszówkę. To jest dla mnie za dużo. Robię wtedy tylko to, co konieczne: ugotuję obiad, posprzątam, zrobię pranie, przeczytam bajkę na dobranoc. Funkcjonuję na minimum, które dla mnie jest absolutnym maksimum – zaznacza.

Anna od lat jest w terapii i pod opieką psychiatry. – Nie wyobrażam sobie, żebym wyszła z najciemniejszych momentów bez pomocy. Zrozumiałam też, że to choroba, która będzie mi towarzyszyć być może przez całe życie. Jednak chcę mieć ją na tyle zaopiekowaną, by epizody nie zamykały mnie już w łóżku i nie wyłączały z życia. Cały czas muszę monitorować swój stan – dodaje.

Inny rodzaj smutku

W depresji, jaka dotknęła m.in. Annę, chora osoba przybiera maski. Funkcjonuje, jakby wszystko było w porządku, pracuje, sumiennie realizuje obowiązki, bywa zaangażowana i uśmiechnięta. Jednocześnie doświadcza przewlekłego obniżenia nastroju, poczucia pustki, stałego napięcia i emocjonalnego wyczerpania. – Życie toczy się na autopilocie, bez realnego poczucia sensu, satysfakcji czy ulgi – tłumaczy psycholożka i psychoterapeutka Monika Machnicka.

Szacuje się, że na depresję cierpi w Polsce ponad półtora miliona osób. Spora część z nich zmaga się z tzw. depresją wysokofunkcjonującą. – Trudność w diagnozowaniu polega na tym, że objawy nie pasują do potocznego obrazu choroby. Taka osoba nie wycofuje się z życia, nie przestaje działać, nawet często się uśmiecha i spełnia oczekiwania innych. Nierzadko też pomniejsza swoje cierpienie. „Przecież daję radę, inni mają gorzej, nie mam powodu, by narzekać" – zauważa ekspertka.

Tymczasem depresja wysokofunkcjonująca to zdradliwa, poważna choroba, bywa że śmiertelna. Zwłaszcza niezauważona może prowadzić do poważnych konsekwencji. – Wypalenia emocjonalnego, zaburzeń lękowych, problemów psychosomatycznych, uzależnień, pogorszenia relacji z bliskimi, a nawet myśli samobójczych – wymienia psychoterapeutka.

Na pełnych obrotach

Otoczenie znało ją jako osobę energetyczną i zabawną. – Mam gadane, zawsze byłam duszą towarzystwa. Kiedy się posypałam, wiele osób nie mogło w to ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ uwierzyć – mówi 30-letnia Maria, autorka profilu „mariawampowie" na Instagramie. Na depresję choruje od kilkunastu lat. Przez większość tego czasu była przekonana, że „po prostu tak ma". Że stany, które jej towarzyszą, są czymś normalnym. Tym trudniej było jej poprosić o pomoc. – Zdecydowałam się na nią w naprawdę trudnym momencie. Lęki były tak silne, że nie byłam już w stanie funkcjonować – wspomina.

Lekarz postawił diagnozę: depresja wysokofunkcjonująca. Bo Maria dawała sobie radę z życiem i robiła to na pełnych obrotach. Czasami wręcz przyspieszonych, jakby od czegoś chciała uciec. – Masz w sobie siłę, która cię pcha. Zadania wykonujesz lepiej albo gorzej, ale jakoś się maskujesz, coś tam przypudrujesz i wszystko idzie dalej. Tylko że w środku jesteś cała zablokowana – przyznaje.

Maria nie potrafiła być sama. Musiała cały czas przebywać wśród ludzi. Bała się nawet jednego wieczoru w samotności. Gdy tylko zapadała cisza, przychodziła pustka, a po niej rozpacz. Żeby ją zagłuszyć, uciekała w scrollowanie telefonu. – Na potęgę przeglądałam rolki, a ten kolorowy świat sprawiał, że na chwilę odsuwałam niewygodne myśli – tłumaczy. Myśli, które wracają później ze zdwojoną siłą. Wtedy wewnętrzny krytyk nie opuszcza jej nawet na krok i wszystko wyolbrzymia.

– Jakby cały czas towarzyszył mi oskarżyciel, który tylko czeka na potknięcie, by móc mnie potępić. A gdy coś złego naprawdę się wydarzy, czuję się jak najgorszy człowiek na świecie. Tyle że gdy spojrzę na to z boku, widzę raczej osobę pogubioną, a nie złą – zaznacza.

Kiedy ciało mówi: nie

Depresja potrafi też objawić się somatycznie. – Ciało odmawia mi posłuszeństwa, jestem senna albo wręcz zasypiam – przyznaje. Jednak najtrudniejszy pozostaje ciągły lęk. Czasem obecny gdzieś w tle, czasem obezwładniający. Maria podświadomie boi się wtedy kolejnego dnia, dlatego często siedzi do późna, przeciąga wieczór. Poranek jest wtedy bolesny.

– Bywa że ciało sygnalizuje trudności wcześniej niż psychika. Bóle głowy, napięcia mięśniowe, dolegliwości żołądkowe, zaburzenia snu czy spadek odporności są typowymi objawami długotrwałego przeciążenia – zaznacza psycholożka Monika Machnicka.

Wielu pacjentów tłumi swe uczucia, popada w pracoholizm, perfekcjonizm lub nałogi, zmaga się z natręctwami. Mają one dać – niestety złudne – poczucie kontroli nad rzeczywistością.

Maria nie rezygnuje z pracy nad sobą. Uczy się uważności na sygnały ciała i emocje. – Kiedy widzę, że się przeciążam, wiem, że muszę sięgnąć po wsparcie farmakologiczne. Dzięki dobrej diagnozie mogę się leczyć – podkreśla. Pomagają jej terapia i wiara. Czasem także najprostsze czynności, notowanie myśli, leżenie na ziemi. – Wciąż szukam w sobie odpowiedzi na pytanie, jak czuje się człowiek, który jest zdrowy – dodaje.

Pomiędzy skrajnościami

– Mam w umyśle mechanizm zajeżdżania się, więc biorę na siebie jak najwięcej obowiązków. Dokładam kolejne aktywności, żeby wracać późno do domu, bo nie lubię być sam – mówi Beniamin Marcisz, 21-letni student dietetyki. Na depresję cierpi od siedmiu lat.

Jego choroba układa się w fale. Jeśli przesadzi z życiem na pełnych obrotach, przychodzi zjazd. – Wychodzenie z domu sprawia mi wtedy trudność. Zamykam się w czterech ścianach. Jakbym przeskakiwał między skrajnościami – tłumaczy. Każdej z nich towarzyszy jednak poczucie samotności. Dobitne i przeszywające. – Mimo że mam ludzi wokół siebie, często czuję się samotny. Potrzebuję nowych znajomości, bo mam gorszą relację z samym sobą – mówi.

Nawet jeśli wszyscy wokół twierdzą, że Beniamin jest wartościowy, głos wewnętrzny wszystko podważa. – Nawet gdy osiągnę coś, z czego powinienem być dumny, nie ma we mnie radości. Wmawiam sobie, że to za mało – tłumaczy, dodając, że w najtrudniejszych momentach korzysta z terapii, która pozwala mu panować nad skrajnymi emocjami. Dzięki temu choroba go nie wyniszcza.

O swoich doświadczeniach Marcisz opowiada w internecie. – Żyjemy w matriksie, w którym najlepiej udawać, że nic się nie dzieje, i siedzieć cicho. To nie jest dobra droga. Ja sam długo uczyłem się mówić otwarcie o swoich emocjach. Dziś lubię rozmawiać o tym, co czuję. Dzięki temu buduję głębsze relacje, za które jestem wdzięczny – dodaje.

Masz prawo do słabości

U podłoża depresji leżą m.in. doświadczenia z dzieciństwa (zarówno w rodzinie, jak i w szkole), traumatyczne wydarzenia, przeciążenie emocjonalne. Wielu pacjentów tłumi wtedy swe uczucia, nadmiernie się kontroluje, popada w pracoholizm, perfekcjonizm lub nałogi; zmaga się z natręctwami. Mają one dać – niestety złudne – poczucie kontroli nad rzeczywistością.

Chory funkcjonuje wtedy kosztem siebie, tracąc kontakt z własnymi potrzebami i emocjami. Taka forma depresji ma często charakter przewlekły. I cichy. Towarzyszy nieustannie jak cień. Tyle że z dnia na dzień odbiera coraz więcej. – Wiele osób nie pamięta już, jak to jest doświadczać lekkości, spontanicznej radości czy głębokiego odprężenia. Depresja zlewa się z osobowością i codziennością – zauważa Monika Machnicka.

Z jej doświadczeń wynika, że osoby w tym stanie są chwalone za zaradność, obowiązkowość i odporność, co paradoksalnie wzmacnia destrukcyjny mechanizm: „im gorzej się czuję, tym bardziej muszę się starać". Dlatego tak istotne jest, by nie ignorować sygnałów choroby. – Zaniepokoić powinny: chroniczne zmęczenie niewspółmierne do wysiłku, trudności ze snem i koncentracją, drażliwość, zobojętnienie emocjonalne, utrata radości z rzeczy, które były ważne, a także poczucie, że nigdy nie jest się wystarczająco dobrym – wylicza psycholożka.

Proces leczenia zaczyna się od przyznania przed sobą, że coś jest nie tak. Od uznania, że cierpienie nie musi być spektakularne ani widoczne, by było realne. Wsparciem może być wtedy psychoterapia, która pozwala przyjrzeć się destrukcyjnym schematom. Czasem wskazana jest również konsultacja psychiatryczna oraz leki. Kluczowe jest jednak, jak podkreśla Machnicka, danie sobie prawa do słabości i świadoma decyzja, że tak dalej żyć nie można i trzeba sięgnąć po pomoc.

© ANNA KORYTOWSKA

eprasa.pl f21820d830

OLGA

Drenda: *Uwierz w baśnie*



Nachalna obecność obrazów wygenerowanych przez modele sztucznej inteligencji miała na dobre zniszczyć w ludziach umiejętność odróżniania prawdziwego od fałszywego. Skutkiem tego sabotażu poznawczego miała stać się całkowita bezradność wobec niemal bezkosztowo tworzonych fałszywek z udziałem realnych ludzi, ofensywa oszustw i deep fake'ów, możliwość urabiania sobie cudzej świadomości jak plasteliny. I tak zapewne bywa, niestety prawdopodobnie najczęściej w dwóch kategoriach: wyłudzeń i oszustw finansowych oraz graniczącego z sekciarskim uwielbieniem fanatyzmu politycznego. Ale tempo postępu wydarzeń (w Dolinie Krzemowej ulubioną strategię nazywa się wszak „poruszaj się szybko i niszcz rzeczy po drodze") przesłoniło możliwe scenariusze alternatywne. Czyli np. to, że zamiast wierzyć we wszystko, ludzie po prostu przestaną wierzyć w cokolwiek i zaczną z góry zakładać, że to, co widzą, zostało wygenerowane.

Zaczęło się od czujności wobec długich myślników (—), charakterystycznych dla czatbotów. Czasami używają ich także istoty ludzkie, ale supersceptycyzm jest ekonomiczną odpowiedzią na technologiczny pośpiech, więc rządzi się zasadą „zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich". Charakterystyczne frazy, podkradzione z bezbarwnej mowy marketingowo-coachingowej („to nie produkt, to przeżycie!"), były następne w kolejce pod lupę podejrzeń. Zresztą bardzo słusznie. Później za wygenerowane ludzie zaczęli czasem uważać sceny ze zwykłych filmów lub np. zdjęcia krajobrazów przedstawiające coś odrobinę bardziej niezwykłego. Ale teraz podobno taka fala sceptycyzmu dotknęła kręgi obserwatorów UFO. Po prostu nieważne, jaki dowód zobaczą, z góry uznają, że to obraz wygenerowany.



OLGA DRENDA

Nikt nie powiedział, że olbrzymy istnieją, ale też nie powiedział, że nie istnieją

Czy to oznacza, że teraz za dowód uznawane będzie jedynie to, co widziało się na własne oczy? Niekoniecznie. Jak bowiem donosi chyba najlepiej poinformowana dziś obserwatorka internetowych tendencji Katherine Dee, coraz więcej osób zupełnie spokojnie opowiada sobie o kryptydach, czyli tajemniczych istotach takich jak Wielka Stopa, syreny czy potwory z innych wymiarów, zakładając, że są one prawdziwe, bo właściwie czemu nie (podejrzewam, że celową chińską operacją marketingową jest umieszczenie w tym gronie smoków). Czyli skoro i tak zapanował poznawczy bałagan i nie wiadomo, co jest realne, to właściwie co stoi na przeszkodzie, żeby uznać, że równie dobrze wszystko jest możliwe, i wciągnąć w orbitę prawdopodobieństwa zjawiska wcześniej zaliczane do sfery baśniowej.

Tak sceptycyzm wyewoluował niepostrzeżenie w kolejną fazę – wiary w to, w co ktoś sam woli wierzyć, i uznawania za rzeczywiste tego, co komuś pasuje. Wczesną jaskółką tej postawy była dla mnie przed laty rozmowa z wykształconym i oczytanym człowiekiem, który postanowił zinterpretować pewne zdjęcie w możliwie najgorszej wierze, zarzucając komuś coś, czego ów nie zrobił. Na pytanie, czy nie wstyd mu wciskać kitu sobie i innym, odparł: „przyznałbym chętnie pani rację, ale nie mogę, bo jestem na wojnie kulturowej". Teraz zapewne ma wielu sojuszników w takich praktykach. Ale też nie jestem oburzona ani mnie to nie dziwi, po prostu zwracam uwagę na to, że w dowolną wersję wydarzeń może uwierzyć każdy, niezależnie od wieku, pochodzenia czy zawodu, i nic przed tym nie chroni.

Przed czym tu bowiem chronić, gdy ktoś sam dobrowolnie na taką drogę wchodzi. Jestem przekonana, że wielu ludzi wierzących w teorie spiskowe czy rozmaite alternatywne logiki rzeczywistości to nie są nieporadne, zagubione misie, które w ten sposób zagłuszają swój lęk. Traktujmy się jednak nieco poważniej, nie wszyscy na świecie żyją w nieustannym strachu i nie sądzę, żeby ta jedyna emocja była pramatką wszystkich nie do końca wyjaśnionych ludzkich działań. Mam podejrzenie, że motywacją wcale nie tak rzadko bywa coś zupełnie innego, to znaczy po prostu wybór takiej wersji wydarzeń, która wydaje się ciekawsza, bardziej ekscytująca, bardziej wciągająca z punktu widzenia opowieści (tak jak dobry kryminał o śledztwie ekscytuje odbiorcę bardziej niż samo żmudne i często pozbawione fajerwerków śledztwo). Ale to oznacza, że chcąc pojąć, co inni mogą mieć w głowach, należy samemu otworzyć się również na logikę baśni. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl f21820d830

PSYCHE

DIABELSKA HUŚTAWKA



JEAN-MICHEL OUGHOURLIAN, NEUROPSYCHIATRA:

Kiedy widzisz pacjenta, zwykle pytasz, co go boli. Uważam, że jest ważniejsze pytanie: kto jest twoim bólem?

MICHAŁ ŁUCZEWSKI: Żyjemy w czasie wojny. Nie tylko tej, która toczy się między państwami i narodami. Ale w każdej społeczności, w każdym z nas. Bo chyba tak trzeba nazwać rywalizację, którą wciąż toczymy – o prestiż, uwagę i wpływy.

JEAN-MICHEL OUGHOURLIAN: Rywalizacja to najstraszniejsza rzecz, jaka może się nam przydarzyć. Odbiera zdrowie psychiczne jednostkom i całym narodom. Wszyscy ludzie, ze wszystkich narodów i ze wszystkich kontynentów, są w nią uwikłani. Każdy chce pokazać, że jest silniejszy, lepszy, bardziej moralny.

Pan też?

Zawsze starałem się unikać rywalizacji. Ale to bardzo trudne wśród lekarzy! 30 lat temu załoga Szpitala Amerykańskiego w Paryżu, licząca 500 osób, wybrała mnie na prezesa swego stowarzyszenia. Gdy 10 lat temu przechodziłem na emeryturę, nalegali, bym pozostał na stanowisku. Mówili, że nigdy nikogo nie potraktowałem w agresywny czy brutalny sposób. Nie wszedłem z nikim w żaden konflikt. Ale ostatnio, gdy pojawiła się nowa grupa lekarzy – młodych i gotowych do walki o pozycję – zrezygnowałem.

Pana przyjaciel, René Girard, z którym napisał pan „Rzeczy ukryte od założenia świata", twierdził, że każdy król jest kozłem ofiarnym, tyle że jego wyrok jest odroczony w czasie.

Młodzi zabiliby mnie bez składania w ofierze. Nie spieszy mi się do tego (*śmiech*). René był moim mistrzem, modelem i przyjacielem. Poświęciłem całe swoje życie zawodowe, ponad pół wieku, na zbudowanie nowej psychologii opartej na jego teorii mimetycznej.

Girard odkrył powszechność mechanizmu kozła ofiarnego we wszystkich kulturach. Czy mechanizmom prześladowczym możemy się jakoś przeciwstawić?

Trzeba podważać jednomyślność tłumu, który szuka kozłów ofiarnych, nie widząc własnej winy. W myśli Girarda ofiara jest bardziej zjawiskiem socjologicznym niż psychologicznym. Mechanizm kozła ofiarnego wymaga jednomyślności całej społeczności.

Żeby uwolnić się od przemocy, powinniśmy przeciwstawić się swojemu własnemu plemieniu, swojej własnej bańce?

Pamięta pan kobietę, którą przyprowadzono do Jezusa, by ją ukamienować za zdradę męża? Jezus nie wdaje się w rywalizację. Pisze na piasku i mówi „jeśli ktoś z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień". To moment, w którym jednomyślność zostaje podważona. I nagle stopniowo, jeden po drugim, odchodzą wszyscy, ponieważ zdają sobie sprawę, że żaden z nich nie jest bez winy. Chodzi o to, że trzeba rozpuścić jednomyślność. Gdy tłum zabija ofiarę, każdy myśli, że sam jest bez winy.

Skąd bierze się ten mechanizm? Dlaczego tak łatwo nam skandować razem z tłumem?

Z powodu naśladownictwa, które Girard określił jako mimetyzm. Twoje pragnienia w nieświadomy sposób są ci wskazywane przez inne osoby, które stają się twoimi modelami. Model ma coś, czego ty nie masz. Wskazuje na obiekt twojego pragnienia. Imitujesz go, żeby mieć to, co on ma, żeby być takim jak on.

Jakie są tego konsekwencje?

Efektem naśladownictwa jest „wstąpienie" czy też „opętanie" naszego Ja przez kogoś innego. W ten sposób w naszej psychice powstają niezliczone części. Od urodzenia naśladujemy i inspirujemy się róż-

eprasa.pl f21820d830



CHRISTIAN CHAVEZ / AP / EAST NEWS

Huśtawki przerzucone przez płot na granicy między Meksykiem a USA (instalacja artystyczna). Ciudad de Juarez, lipiec 2019 r.

nymi ludźmi. Na początku to są rodzice, potem wychowawcy, nauczyciele, autorytety. Do końca życia podążamy za dziesiątkami kolejnych modeli, które niekoniecznie są nam narzucane, bo możemy je wybierać. Każdy z nich coś nam przynosi. Staje się częścią naszej osobowości, tak jak mistrz staje się częścią ucznia. Jesteśmy mozaiką wszystkich modeli, które mieliśmy w życiu.

Dobrze widać ten fenomen na przykładzie hipnozy. Hipnotyzer poprzez sugestię, której nie jesteśmy świadomi, może wygenerować część naszego Ja, która będzie miała swoje własne pragnienia, odczucia, pamięć i świadomość. Ponieważ nasze naśladownictwo jest w dużej mierze nieświadome, każdy model jest dla nas rodzajem hipnotyzera.

Bardzo mocna metafora. Społeczeństwo w nas „wstępuje". Jesteśmy opętani przez innych. Wszyscy jesteśmy w jednym wielkim transie, hipnozie.

Potocznie uważamy, że nasze pragnienia wypływają z naszego Ja. Mimetyczna psychologia, psychologia interindywidualna, jak ją nazwaliśmy z Girardem, pokazuje, że nasze Ja tworzą pragnienia innych. Psychologia nie może być zatem nauką o indywiduach, ale o tym, co jest pomiędzy nimi. Mój przyjaciel Eugene Webb znalazł na wyrażenie tego odpowiednie słowo: międzyjaźń. Nasze Ja wyłania się z relacji z innymi, jest Ja-pomiędzy, *self between*. W rzeczywistości zawsze jesteśmy w relacji.

Jeśli wiem, że ktoś próbuje na mnie wpłynąć, mogę się odwrócić?

Mimetyzm w świecie społecznym jest jak grawitacja w świecie fizycznym. Model jest zawsze stałym punktem odniesienia. Nie możemy zrobić nic innego, jak tylko krążyć wokół niego jak Ziemia wokół Słońca. Możemy wybierać, wokół kogo chcemy krążyć, ale krążyć musimy. Możemy wybierać naszą relację wobec modelu, ale samych modeli nie możemy ominąć.

Czyli jeśli odwracam się od jednego modelu, muszę znaleźć inny. Moja wolność jest jedynie wolnością wyboru, kogo naśladuję?

Nie mamy wyboru, ponieważ mózg każdego z nas ma neurony lustrzane. Ich odkrycie przez Giacomo Rizzolattiego i jego zespół na początku lat 90. było rewolucją w neuronaukach. Okazało się, że mimetyzm ma podłoże biologiczne. Neurony lustrzane sprawiają, że kiedy patrzymy na czyjeś działanie, nie tylko je widzimy, ale automatycznie pojawia się w nas gotowość do odzwierciedlenia tego działania. Ten automatyzm zaobserwowano u makaków i noworodków, które kilka godzin po urodzeniu, widząc, ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ że ktoś wysuwa język, same wysuwają swój język.

Jak to się przekłada na świat dorosłych?

Dalszy rozwój neuronów lustrzanych sprawia, że patrząc na kogoś automatycznie rekonstruujemy jego intencję, trafnie bądź nie. Rekonstruujemy jego pragnienie. Neurony lustrzane sprawiają, że pragniemy tego, na co wskazuje druga osoba. Pragniemy mieć to, co ona, a nawet być tym, kim ona jest.

A jeśli się to nie udaje?

Nasz model zamienia się w przeszkodę i rywala. A na samym końcu w naszego kozła ofiarnego.

Dlaczego?

Ponieważ model pokazał ci to, czego możesz pragnąć. W konsekwencji zaczynacie dążyć do tego samego. Przedmiot waszego pragnienia jest ten sam. Wasze wspólne pragnienie upodabnia was do siebie, stajecie się swoimi sobowtórami, choć myślicie, że wszystko was różni. I naraz stajecie się przeszkodami dla siebie i ostatecznie rywalami, którzy usiłują się zniszczyć.

Ludzie pochłonięci przez konflikt wierzą, że jeden musi być na górze, a drugi na dole, że zwycięstwo jednego zależy od przegranej drugiego. To tak jak dzieci na huśtawce na placu zabaw. Jedno może iść w górę tylko wtedy, gdy drugie opada. To, które jest na dole, może znaleźć się ponownie na górze tylko wtedy, gdy drugie znajdzie się na dole. To diabelska huśtawka!

Czy nie mogę w inny sposób zaspokoić swego pragnienia? Jak na wolnym rynku – kupić sobie przedmiot pragnienia, a nie rywalizować o niego z innymi?

Jeśli to byłby samochód, a ty miałbyś wystarczające środki – to tak. Ale jeśli to jest osoba, która podoba się twojemu modelowi i tobie? Albo pozycja w korporacji, którą nie da się podzielić? Tak dochodzi do rywalizacji i konfliktu. Na wolnym rynku pragnienie możesz czasem zaspokoić bez wchodzenia w rywalizację, ale i tak nieustannie imitujesz innych. I to w sposób bardziej radykalny niż w społecznościach tradycyjnych.

Miałem pacjentów, którzy pracowali w prestiżowej firmie, prowadzonej przez charyzmatycznego lidera. Ich praca w gruncie rzeczy polegała na tym, by odzwierciedlać i realizować pragnienia szefa, który sam odzwierciedlał i realizował pragnienia właścicieli korporacji. Współczesne innowacyjne korporacje oparte są właśnie na mechanizmie mimetycznym, na uwolnieniu pragnienia mimetycznego na globalną skalę. Ci ludzie trafiali do mnie, bo kiedy zostali zwolnieni, nie mogli sprawnie funkcjonować. Naraz stracili gwiazdę, wokół której się obracali.

Trwa globalna walka o to, kto jest największą ofiarą.

Nagle nikt nie jest agresorem. Nawet Putin mówi, że broni Rosjan na Ukrainie i odpowiada na agresję NATO.

Co zrobić, żeby wyjść spod hipnotycznej siły naszych modeli i odbudować jedność swojego Ja?

Głównym wyzwaniem jest umiejętność rozdzielenia, kto jest modelem, kto rywalem, a kto przeszkodą. Żeby ich w swoim umyśle nie zlać. I dążyć do tego, by negatywny rywal, którego chcesz zniszczyć, na powrót stał się pozytywnym modelem, od którego możesz się uczyć. A kiedy napotykasz przeszkodę, starać się jej uniknąć.

Zostało to opisane przez Lafontaine'a w bajce „Kruk i winogrona". Lis chce zjeść winogrona i nie może ich dosięgnąć, więc neguje ich wartość: „Kwaśne, zielone, dobre dla żarłoków". Wtedy może spokojnie odejść. Ten sam mechanizm ilustruje historia o dwóch rosyjskich żołnierzach, którą usłyszałem za czasów ZSRR. Jeden mówi do przyjaciela: „Nie zgadniesz, co mi się przytrafiło! Wszedłem dziś do domu i widzę w łóżku moją żonę z generałem!". A drugi żołnierz na to: „Biedaku! I co zrobiłeś?". „Nic – odpowiada pierwszy. – Miałem szczęście. Generał mnie nie widział". Nie chciał zrobić z generała swojego rywala, więc odszedł niezauważony.

No tak. Tyle że nie wszedł w tę rywalizację kosztem oszukiwania siebie i własnego cierpienia. Czyli ostatecznie jesteśmy skazani na życie w iluzji co do naszych rywali? Czy może zbawi nas terapia?

Uważam, że w gabinecie psychiatry nie ma niezależnych od siebie, pojedynczych indywiduów. Nie ma pacjenta i lekarza. Są trzy powiązane ze sobą podmioty: lekarz, pacjent i choroba. Nie spodziewaj się po terapii zbyt wiele. Jeśli przychodzisz do mnie jako psychiatry, i ja daję ci do zrozumienia, że jestem bardziej inteligentny, bo jestem w stanie ci pomóc – pojawi się rywalizacja. Bo na diabelskiej huśtawce konfliktu może siedzieć także terapeuta z pacjentem. Jedyne, co można zrobić, to zejść z niej. Nigdy nie otwierać drogi rywalizacji. Cała gra polega na tym, by dowiedzieć się, czy pacjent sprzymierza się z chorobą, czyli swoim modelem, przeciwko psychiatrze, by udowodnić, że psychiatra jest idiotą, czy też próbuje sprzymierzyć się z psychiatrą, aby pozbyć się choroby i uwolnić się od rywalizacji z modelem.

Często w mojej praktyce widziałem ludzi przychodzących ze stosem dokumentów i mówiących: „Byłem u szesnastu lekarzy, przeszedłem wszystkie testy, tu są wyniki. Nikt nie był w stanie mnie wyleczyć". Od razu wiedziałem, że ta osoba próbowała uczynić ze mnie jeszcze jedną ofiarę swojej neurozy. Mówiłem: „Bardzo mi przykro. Skoro ci wszyscy fantastyczni lekarze nie byli w stanie nic zrobić, to i ja nie będę mógł nic dla pana zrobić. Jestem tylko prostym psychiatrą". „Nie, musi mi pan pomóc, dać jakieś lekarstwo". „Próbowałeś wszystkiego. Bardzo mi przykro". „Ale ja nie wyjdę z tego gabinetu, dopóki nie dostanę leku". Wtedy mówiłem: „OK, dam panu leki. Ale już teraz mogę powiedzieć, że nie przyniosą skutku. Ale przepiszę je, skoro pan nalega". I zapisywałem coś lekkiego, niemal że placebo. A tydzień później pacjent dzwoni i mówi, że ten lek mu pomógł.

Czyli pacjent chciał umieścić Pana w roli bohatera, którego następnie będzie mógł zaatakować za nieudolność. A Pan od razu zajął miejsce nieudacznika. Nie chciał Pan naśladować pragnienia pacjenta.

Tak. Doprowadziłem do sytuacji, w której skorzystanie z moich leków uczyniło go zwycięzcą. Sprawiłem, że mógł pomyśleć o mnie, że jestem głupi, bo dałem mu leki, o których powiedzia-

eprasa.pl f21820d830

łem, że nie zadziałają. Zdrowiejąc, zwyciężał ze mną.

Czy to znaczy, że ostatecznie pomóc możemy sobie tylko sami?

Dobra relacja terapeutyczna polega na tym, że jeśli klient spróbuje sam sobie pomóc, to ja jako terapeuta jestem po to, by go w tym wesprzeć. Zawsze powtarzam pacjentom: zejdźcie z tej huśtawki i idźcie zagrać w coś innego. Jest tyle innych, wspaniałych możliwości.

Ale jak to zrobić, skoro jesteśmy uwiązani do naszych rywali? Schodząc z huśtawki, tracimy swoją tożsamość, fake identity, jak pisze James Alison.

Kiedy widzisz pacjenta, zwykle pytasz go, co go boli. Uważam, że jest ważniejsze pytanie, które powinno się zadać w terapii mimetycznej: kto jest twoim bólem?

Kto jest twoją chorobą? Czyli jaki jest twój ukryty model?

Jeśli zapytam, kto jest twoim bólem, zdasz sobie sprawę, że ból jest tylko symptomem. Symptomy rozwija się, ponieważ człowiek nie jest świadomy ich przyczyn. Np. nie może zobaczyć tego, że bliska osoba sprawia, iż jego życie staje się bardzo trudne, ponieważ właśnie jest to bliska osoba, którą kocha lub szanuje. Nie może tego zaakceptować. Kiedy już to zauważy, stopniowo będzie w stanie się od niej uwolnić. Tak dzieje się w rodzinach, w parach, we wszelkiego rodzaju sytuacjach, w których ktoś przywiązuje się do kogoś innego, „wisi" na nim, myśląc, że nie może bez niego żyć.

Co to znaczy?

Za powstanie symptomu odpowiedzialna może być siostra, matka, mąż lub ktoś zupełnie inny. Zamiast rozpoznać rywalizację z nimi, wyrażasz to poprzez symptom. Bolą mnie plecy. Nie mogę spać. Czuję niepokój. Mam kryzys lękowy. Płaczę. Wszelkiego rodzaju rzeczy, które są związane z faktem, że nie potrafisz się uniezależnić od swojego modelu. Uwolnić się od toksycznej sytuacji.

Żeby zachować zdrowie psychiczne, musisz unikać rywalizacji. Nigdy, przenigdy nie należy otwierać drogi rywalizacji.

Jak to przełożyć na życie codzienne?



JCBALES // CC BY-SA 3.0

JEAN-MICHEL OUGHOURLIAN
jest neuropsychiatrą. Emerytowany profesor psychopatologii klinicznej na Sorbonie i szef oddziału psychiatrii w American Hospital of Paris, jeden z najbliższych współpracowników René Girarda, współautor teorii mimetycznej, książki „Rzeczy ukryte od założenia świata", oraz wielu publikacji na temat pożądania, psychologii relacji i „jaźni międzyosobowej".

Pierwszym krokiem do wyzwolenia jest świadomość. Kiedy z kimś rozmawiasz, masz w pewnym sensie nowe, inne Ja. Nie rozmawiasz z żoną tak, jak rozmawiasz z szefem. Zmieniasz się. Dostosowujesz swoją tożsamość do rozmówcy. Do jego pragnienia. Naśladujesz innych, którzy wiedzieli i pokazali ci, jak odnaleźć się w danym kontekście. Z czasem widzisz, że w danej sytuacji uruchamia się w tobie ta część, która naśladuje jeden z twoich modeli. Jeśli uważnie się obserwujesz, zdasz sobie z tego sprawę.

Czy to dotyczy też społeczeństw i narodów? Twierdzi Pan, że psychologia bez polityki jest bezsilna, a polityka bez psychologii płytka.

Mogę wskazać na podobieństwa między reakcjami liderów państw a reakcjami pacjentów w moim gabinecie. W „Psychopolityce" starałem się pokazać, że narody działają podobnie jak ludzie. Wszystkie narody, państwa, ludy, podobnie jak osoby, uwikłane są w mimetyczną rywalizację. Na arenie międzynarodowej są dla siebie na zmianę modelami, przeszkodami i rywalami.

O co dziś toczy się walka?

O pokój. Państwa i narody rywalizują o to, by zająć miejsce ofiary i oskarżyć tego, kto jest przeciwko niemu, o bycie prześladowcą. Nagle nikt nie jest agresorem. Wszyscy mówią, że się bronią. Trwa globalna walka o to, kto jest największą ofiarą. To główne pragnienie, które jednoczy wszystkich. Ale ponieważ postrzegamy się jako ofiary, to w drugim kroku zauważamy, że naszych wrogów można zgładzić. Nawet Putin mówi, że broni Rosjan na Ukrainie i odpowiada na agresję NATO.

Patriarcha moskiewski Cyryl podkreśla, że Rosjanie i Ukraińcy są bratnimi narodami. Ale ponieważ Ukraińcy nie chcą uznać tego braterstwa, musimy ich zabijać.

Cyryl nie zdaje sobie sprawy, że jest więźniem mimetycznej rywalizacji. Właśnie tak. Przecież konflikt między braćmi zaczął się od Kaina i Abla. Brat zabił brata z powodu rywalizacji o błogosławieństwo Boga. Teraz Cyryl usprawiedliwia Kaina, choć sam z siebie robi Abla. To się powtarza przez całą historię ludzkości.

Girard mówił o tych „rzeczach ukrytych od założenia świata": mordach założycielskich ludzkiej kultury. Amerykański biskup Robert Barron powiedział nawet, że Girard powinien zostać ogłoszony świętym albo ojcem Kościoła.

Dla mnie Girard, w przeciwieństwie do Paula Ricœura, z którym też się przyjaźniłem, nie był myślicielem chrześcijańskim. Był antropologiem, który zajmował się analizą rzeczywistości społecznej i postaci w wielkich dziełach literatury.

A między nimi też była rywalizacja?

Dawno temu próbowałem nakłonić Girarda do rozmowy z Ricœurem. Akurat był w Chicago, gdy Ricœur wykładał na tamtejszym uniwersytecie.

To byłaby dopiero debata! Na Uniwersytecie w Chicago wykładał też wtedy Mircea Eliade...

On też miał wziąć udział w tym spotkaniu!

I jeszcze Leszek Kołakowski!

Ale nie udało mi się tego zorganizować. Wszyscy mieli jakieś wymówki. Moim zdaniem nikt z nich nie chciał przyznać, że w myśli kolegów też jest trochę prawdy (*śmiech*).

© Rozmawiał MICHAŁ ŁUCZEWSKI

eprasa.pl f21820d830

ŚWIAT

NA STYKU PŁYT TEKTONICZNYCH

W tym roku Czarnogóra obchodzi 20. urodziny. Nie dla wszystkich to powód do radości: część jej obywateli nie uznaje tego państwa za własne, czują się związani z Serbią. Tymczasem Czarnogóra to kolejne pole bitewne, gdzie Zachód ściera się z Rosją.

MACIEJ CZERWIŃSKI



STEVO VASILJEVIC / REUTERS / FORUM

Wiosna roku 2006 była na Bałkanach wyjątkowo gorąca. Wtedy to, na początku czerwca, Czarnogóra ogłosiła niepodległość. Ale zanim się to stało, w maju przeprowadzono referendum. Od niego zależał los tej ostatniej z republik dawnej Jugosławii, która jeszcze nie zdecydowała o swej przyszłości. Wszystko mogło się zdarzyć.

W tygodniu poprzedzającym referendum brałem udział w tych przełomowych wydarzeniach. Zrobiłem wówczas zdjęcie dziewczyny owiniętej w ogromną czarnogórską flagę. Nie miałem wątpliwości, na kogo głosowała, o ile miała już prawo głosu. Pewnie nigdy nie dowiedziała się, że jej fotografia została opublikowana w pewnej polskiej gazecie. Zdjęcie to ilustrowało mój reportaż, który ukazał się wówczas w „Tygodniku" (nr 23/2006).



Choć Czarnogórców i Serbów wiążą bliskie więzi, w tym wyznanie, relacje obu narodów są bardziej powikłane niż w innych regionach dawnej Jugosławii. Na zdjęciu: kąpiąc się podczas prawosławnego święta Jordanu w rzece Morača, płynącej przez stolicę Czarnogóry, jej mieszkańcy narodowości serbskiej demonstrują z flagą Serbii swoją odrębność. Podgorica, 19 stycznia 2026 r.

Dwadzieścia lat temu

Przed referendum sytuacja była napięta. Uczestniczyłem w wiecach poparcia na rzecz niepodległości i przeciwko niej. Skrajne emocje kumulowały się, jakby miały eksplodować.

Na wiecach politycy z obu stron nie tonowali nastrojów, przeciwnie. Na jednym z nich z kolumn brzmiała podniosła muzyka, którą grała orkiestra symfoniczna. Śpiewano też pieśni ludowe. Ta pierwsza miała być symbolem Europy (Unia deklarowała, że uzna niepodległość Czarnogóry, jeśli w referendum opowie się za nią co najmniej 55 proc. głosujących). Ta druga – symbolem rodzimości.

Synteza obu tonów miała w zamierzeniu stworzyć harmonijną kompozycję o takiej oto rytmicznej treści: nowoczesna Czarnogóra to naród europejski, który szanuje swoją odrębność. To samo dało się wyczuć z wykrzykiwanych ze sceny słów: były to cytaty z poematu czarnogórskiego władyki Petara II Petrovicia-Njegoša, romantyka i wielkiego, choć kontrowersyjnego poety wolności. Ale padały też takie hasła jak humanizm, godność jednostki, cywilizacja europejska, antyfaszyzm. Ludzie machali flagami.

Bywało, że wiece „za" i „przeciw" odbywały się naprawdę blisko siebie – wtedy obok czerwonego sztandaru Czarnogóry pojawiała się trójkolorowa serbska flaga.

Eksplozji nie było

Widziałem prowokacje. Obok wiecujących przejeżdżały kawalkady samochodów na pełnym gazie z insygniami jednego z obozów. Ktoś coś krzyczał, płonęły pochodnie, nawet było słychać strzały. Na szczęście oddawane w powietrze. W pewnym momencie przeleciała nad nami awionetka, zrzucając ulotki. Panował piekielny jazgot i nerwowość. Zdawało się, że za moment auta się zatrzymają i wysiądą z nich patrioci jednego plemienia, aby bić tych innych. Że zacznie się jatka.

Jednak choć incydenty były, to udawało się je powstrzymać. Także media były powściągliwe, jakby i one żywiły obawę, że wystarczy iskra. Bo wystarczyłaby. Ale jej nie było.

Wcześniej we wszystkich pozostałych republikach Jugosławii wojny zaczynały się właśnie od incydentów: ktoś niósł flagę i ją wieszał, ktoś inny ją zdejmował i palił. Wkraczała policja, potem wojsko. Obie strony zaczynały się zbroić i nie były już w stanie się zatrzymać.

Tutaj tak się nie stało. Choć wydawało się, że musi się stać – właśnie tu, bardziej niż gdzie indziej. Bo tutaj relacje są bardziej powikłane niż w innych regionach byłej Jugosławii. Czarnogórców i Serbów wiążą bliskie więzi, tradycja, prawosławne wyznanie.

Rok 1918: korzenie sporu

Skoro taka ich bliskość, to skąd konflikt? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się o ponad stulecie, do roku 1918.

Wtedy to, za sprawą porozumień po I wojnie światowej, Czarnogóra stała się częścią Serbii. Rządząca nią dotąd królewska dynastia Petrović-Njegoš została zmuszona do abdykacji i emigracji. Zmusili ją do tego jej krewni, serbska dynastia Karađorđević. Zlikwidowano wówczas także odrębną czarnogórską Cerkiew: została wcielona do Cerkwi serbskiej, a jej majątek zawłaszczony.

Rok 1918 to bolesny moment w relacjach serbsko-czarnogórskich. To, co Serbowie uważają za zjednoczenie, dla Czarnogórców – tych świadomych swojej odrębności – oznacza utratę suwerenności, własnej dynastii i Cerkwi, amputację pamięci, wręcz: serbską okupację.

Dla tych Czarnogórców referendum z maja 2006 r. było zatem nie tylko szansą na odnowienie niepodległości. Było też wyrównaniem rachunków, symbolicznym zwycięstwem nad ciemiężycielami, odzyskaniem całej czarnogórskiej historii, licząc od średniowiecza – tej historii, którą Serbowie uznają za własną. To pokazuje, jak głęboko tkwi spór. Jego temperatura musi być wysoka, bo w Czarnogórcach płynie gorąca krew.

„Serbski mir" jak „ruski mir"

20 lat temu ogłoszenie niepodległości było legalne. Jej zwolennicy wygrali: w referendum „za" opowiedziało się ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ 55,5 proc. jego uczestników (pół procent ponad większość kwalifikowaną), a 44,5 proc. przeciwko. Spełniony został warunek postawiony przez Unię – nawet jeśli przesądziło tak niewiele.

Dziś, po dwóch dekadach, widać, że podział między zwolenników i przeciwników zachowuje aktualność. Przepływy elektoratów powodują, że niewielką przewagę uzyskuje raz blok czarnogórski, a innym razem ten drugi, patrzący chłodnym okiem na niepodległe państwo czy wręcz mu przeciwny. To zaś oznacza, że Czarnogóra jako państwo nie zbudowała tego, co ojcowie niepodległości obiecywali: państwa obywatelskiego, w którym wszyscy będą się czuli jak w domu.

Najbardziej ten projekt torpedowali Serbowie. Ściślej: ci Serbowie, którzy nie traktują Czarnogóry jak własnego państwa i chcieliby przyłączenia do „matki Serbii". Wspierają ich w tym Serbowie z Republiki Serbskiej w Bośni. Pytanie, czy kiedyś powstaną warunki dla realizacji tej idei, jest nadal otwarte.

Na razie jest ona jednak mało realna. Zachód broni obecnych granic konsekwentnie. Sytuację mogłaby zmienić chyba tylko wyraźna wygrana Rosji z Ukrainą i większe zaangażowanie Putina na Bałkanach. Rosja popiera bowiem dążenie do zjednoczenia Serbów w jednym państwie. Odpowiada to idei jednoczenia całej historycznej Rusi pod egidą Kremla. „Serbski mir" to bałkański odpowiednik „ruskiego miru".

Na gorącym styku

Wprawdzie Czarnogóra jest dziś członkiem NATO (od 2017 r.), a także kandyduje do Unii. Otwarte jest jednak również i to pytanie, na ile Sojusz byłby gotowy – zwłaszcza dziś, gdy w Białym Domu urzęduje Trump – zaangażować się militarnie w obronę jej niepodległości.

Tymczasem ten skrawek ziemi, o wielkości podobnej do województwa lubuskiego, jest kolejnym polem bitewnym, na którym Zachód ściera się dziś z Rosją. Nie tylko o wpływy, także o architekturę porządku Europy. Czarnogóra jest na styku obu płyt tektonicznych.

Jest też nadal głęboko podzielona – nie tylko w kwestii niepodległości. Ale czy może być inaczej, skoro spory narodowościowe i społeczne dotyczą tu pryncypiów?

Według spisu z 2023 r. w Czarnogórze 41 proc. mieszkańców deklaruje się jako Czarnogórcy, 33 proc. jako Serbowie, 10 proc. jako Boszniacy (muzułmanie), 5 proc. jako Albańczycy, 2 proc. jako Rosjanie, a półtora procenta jako muzułmanie bez identyfikacji narodowej. Gdy idzie o wiarę, 71 proc. to prawosławni, 20 proc. muzułmanie, 3 proc. katolicy, a 2 proc. ateiści.

„Serbska Sparta"

Jeśli dodać, że Czarnogóra ma nieco ponad 600 tys. mieszkańców (tyle co Poznań), jest to niebywała różnorodność na bardzo małej przestrzeni, niespotykana nigdzie indziej w Europie. Do tego zaś dochodzą walki o wpływy plemion – bo społeczeństwo, w pewnych przynajmniej obszarach, zachowuje strukturę klanową.

Czarnogórcy w Czarnogórze nie mają więc bezwzględnej większości. Jest ich wręcz jeszcze mniej, niż wynika z przywołanego powyżej spisu, jeśli uwzględni się fakt, że część z nich uważa język serbski za własny. Tak deklaruje np. obecny prezydent, 39-letni Jakov Milatović.

Część Czarnogórców uznaje się równolegle za Serbów. Uważają, że kultura czarnogórska to regionalna odmiana kultury serbskiej, Czarnogóra to region Serbii, a Czarnogórcy to najlepszy szczep narodu serbskiego. Słowem: że Czarnogóra to taka „serbska Sparta".

Ta podwójna identyfikacja to wynik zaszłości historycznych, biorących się z procesów kulturotwórczych i ambicji niektórych władców Czarnogóry, którzy pretendowali do serbskiego tronu (na przełomie wieków XIX i XX).

Także główna oś sporu politycznego przebiega między Czarnogórcami a Serbami. Ci ostatni głosowali w 2006 r. zwykle przeciw niepodległości, a dziś robią wszystko, by osłabić tożsamość i suwerenność państwa – z nadzieją, że ułatwi to kiedyś jego reintegrację z Serbią.

Aby skomplikować ten obraz: nie ma jednak pewności, czy wszyscy, którzy czują się Serbami, głosowaliby przeciw suwerenności w ponownym referendum (o ile takie zostałoby rozpisane). To niewiadoma. Być może woleliby, by kraj pozostał odrębny, a Serbia sprawowała nad



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl f21820d830

nim kontrolę podobną do tej, jaką Rosja ma nad Białorusią.

Egzotyczne alianse

Ponieważ ani Czarnogórcy, ani Serbowie nie mają większości, kluczem są mniejszości. Zwłaszcza najliczniejsze: boszniacka i albańska (łącznie 20 proc. ludności). Gdy idzie o religię, w znakomitej większości to muzułmanie. Oni zdecydowali w 2006 r. o wyniku referendum: w niepodległości Czarnogóry zobaczyli szansę na całkowite odcięcie się od Serbów, którzy w Bośni i Kosowie zgotowali ich krajanom krwawą wojnę.

Zdawałoby się, że taki sojusz musi być trwały. Jednak późniejsze wybory parlamentarne – głównie z 2020 i 2023 r. – pokazały, że i to się zmienia. Wprawdzie żaden poważny polityk reprezentujący obie mniejszości nie podważa niepodległości Czarnogóry. Ale nie przekłada się to na alianse polityczne, zawierane na poziomie państwowym i lokalnym.

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy była zapewne kompromitacja środowiska, które niepodległość zrealizowało, ale – jak twierdzą jego przeciwnicy – utonęło w nepotyzmie i korupcji.Jego przywódca Milo Đukanović, siedmiokrotny premier i dwukrotny prezydent Czarnogóry, niemal „ojciec narodu", przegrał w 2023 r. wybory prezydenckie i oddał władzę. Trzy lata wcześniej oddała ją też jego formacja – Demokratyczna Partia Socjalistów (DPS).

Odtąd rządy sprawują egzotyczne koalicje. Do obecnej większości wszedł np. Andrija Mandić, dziś przewodniczący parlamentu, znany z radykalnych proserbskich wystąpień (włącznie ze ściągnięciem flagi Czarnogóry w holu parlamentu). Jego partia stworzyła rząd pod przewodnictwem Milojko Spajicia z Ruchu Europa Teraz! (w skrócie: PES).

Premier deklaruje kurs proeuropejski – podobnie jak prezydent Milatović (także on wywodzi się z PES). Ale opozycja twierdzi, że przymykając oko na kogoś takiego jak Mandić, rząd funduje państwu destabilizację. Ona zaś może oznaczać zbliżenie do Serbii.

Czarnogórski paradoks

Oba obozy, rządzący i opozycyjny, popierają integrację z Unią. Wydaje się ona na wyciągnięcie ręki: kraj ma otwarte wszystkie 33 rozdziały negocjacyjne, a 13 już zamknął. Jednak to jednomyślność pozorna. Partie serbskie, dziś u władzy, traktują integrację tylko jako szansę na rozwój ekonomiczny. Sprzyjają reżimowi w Serbii, po cichu popierają Putina. Upadek idei liberalnej demokracji traktują jako szansę na przebudowę Europy.



MACIEJ CZERWIŃSKI

Na wiecu poparcia dla niepodległości przed referendum w maju 2006 r. To zdjęcie ukazało się 20 lat temu w „TP". Autor pisze dziś: „Zrobiłem wówczas zdjęcie dziewczyny owiniętej w ogromną czarnogórską flagę. Nie miałem wątpliwości, na kogo głosowała, o ile miała już prawo głosu".

Natomiast obóz czarnogórski, przeważnie proeuropejski, od Unii oczekuje nie tylko integracji, ale też „europeizacji" Czarnogóry. To właśnie blok czarnogórski, ten najgłębiej proeuropejski, krytykuje Unię – za jej zbyt idealistyczne oceny Czarnogóry w publikowanych raportach. Jego politycy chcą, by Unia, nawet kosztem szybkiej integracji, przyczyniła się do prawdziwych zmian w kraju i wyrwała go z objęć Serbii i Rosji, mentalnie i politycznie.

Mamy więc paradoks: gdy prawdziwi zwolennicy Unii z bloku czarnogórskiego wcale nie przyklaskują zamykaniu kolejnych rozdziałów, blok serbski (i stowarzyszona z nim partia PES, bez jasnej tożsamości) popiera szybką integrację bez żadnych ingerencji ze strony Unii.

Trochę optymizmu

Mimo wszystko, mimo tych ogromnych napięć, w których obywatele Czarnogóry żyją od dekad, są podstawy, aby sądzić, iż jest nadzieja dla tego państwa. Powodem do optymizmu może być to, że po 1989 r. Czarnogóra jako jedyny kraj, w którym Serbowie byli zaangażowani po jednej ze stron, uniknęła wojny.

Tymczasem gdyby w latach 80. XX w. ktoś zapytał specjalistów od rozpadającej się Jugosławii, w której republice będzie najtrudniej o rozwód, większość wskazałaby Czarnogórę. Więzi z Serbią wydawały się tu najsilniejsze, tradycje i wyznanie wspólne. Czarnogórcy odgrywali ważną rolę w życiu Serbii (niektórzy Serbowie twierdzą, że za dużą).

Natomiast Słowenia i Chorwacja, jako kraje katolickie, były na tyle odległe kulturowo od Serbii, że ustanowienie ich odrębności zdawało się łatwe (przebieg granic, o które walczono, to inna rzecz). To samo Kosowo: wprawdzie było uznawane za kolebkę średniowiecznego państwa serbskiego, ale teraz w 90 proc. zamieszkane było przez Albańczyków, odmiennych od Serbów pod każdym względem. Z kolei Bośnia była w dwóch trzecich zamieszkana przez Chorwatów i Boszniaków, katolików i muzułmanów.

We wszystkich tych republikach – wcześniej czy później uznanych za odrębne państwa – Serbowie prowadzili wojnę (pod pretekstem „zagrożenia ludności serbskiej") i wszędzie przegrali. Także w Czarnogórze – tyle że tu pokojowo. To właśnie daje nadzieję, że problemy można rozwiązywać inaczej.

Czy Czarnogóra przetrwa?

Choć więc głęboki rozłam jest faktem, to eskalacji i krwi udaje się dotąd uniknąć. Nawet w momentach trudnych – jak wtedy, gdy Czarnogóra wstępowała do NATO (dla części serbskich elit Sojusz to „IV Rzesza"), albo gdy niemal doszło do zamachu stanu (w 2016 r.). Kryzysy te, podczas których ujawniały się fundamentalne różnice między Czarnogórcami a Serbami, udało się przetrwać pokojowo.

Czy to dowód, że można w Czarnogórze zbudować drugą Szwajcarię? Może tak, może nie. Ale skoro jest ona ewenementem w tej części Bałkanów, to chyba można z nią wiązać jakieś nadzieje, a Unia taki projekt powinna wspierać.

Pytanie tylko, czy kumulacja frustracji i tektoniczne ruchy w Europie, spowodowane kryzysem demokracji liberalnej, agendą Trumpa i agresją Putina, w końcu nie wysadzą także tego projektu.

© MACIEJ CZERWIŃSKI

Autor jest profesorem zwyczajnym, dyrektorem Instytutu Filologii Słowiańskiej UJ, tłumaczem i krytykiem literackim. Obecnie przygotowuje książkę o Czarnogórze.

eprasa.pl f21820d830

Źródła sporu

DOMINIK DERLICKI Z BEJRUTU

LIBAN | Nie pomógł nawet Leon XIV, gdy przywiózł tu przesłanie pokoju. Skłócone elity, etniczne i religijne, wykorzystują przeciw sobie wszystko: od wizyty papieża po wodę. Tej zaś brakuje w kranach – choć nie przez zmiany klimatu.

Choć jest ich tylko 6 milionów, społeczeństwo Libanu jest podzielone jak w żadnym chyba kraju na świecie. Składa się z 18 grup wyznaniowych: od różnych odłamów chrześcijaństwa, przez muzułmańskich sunnitów i szyitów, aż po druzów.

Podział ten ma odbicie w ustroju państwa. W parlamencie zasiada 128 posłów i jest on sztywno podzielony na pół: 64 miejsca przypadają muzułmanom, 64 chrześcijanom. Mandaty chrześcijańskie są zdominowane przez katolików (43 posłów, w tym 34 maronitów, ośmiu melchitów i jeden katolik obrządku ormiańskiego). Jeden mandat zarezerwowano dla protestanta, a pozostałe 20 dla wyznawców obrządków wschodnich.

Rozwiązanie to wprowadzono na mocy porozumienia z Taif. Zakończyło ono wojnę domową z lat 1975-90, w której podziały religijne były równie ważne co doraźne sojusze.

W ostatnim roku tamtego konfliktu dwóch katolików z Kościoła maronickiego stanęło po różnych stronach barykady: jednym był porucznik Joseph Aoun z libańskich sił specjalnych, drugim Samir Geagea z lokalnej chrześcijańskiej bojówki. Dziś pierwszy jest prezydentem, a drugi przywódcą największej partii chrześcijańskiej.

WYPROSZONY | Gdy w listopadzie 2025 r. do Libanu przybył Leon XIV, najważniejsi politycy i dostojnicy zostali zaproszeni do pałacu prezydenckiego na powitalne przyjęcie. Wśród kilkuset gości byli posłowie Hezbollahu, sunnicki premier Nawaf Salam, szyicki przewodniczący parlamentu Nabih Berri. Na liście zabrakło tylko Samira Geagea, szefa partii Siły Libańskie.

Konflikt na kule i granaty zakończył się 35 lat temu, ale nadal jest kontynuowany – pod postacią walki politycznej. Pominięcie Samira Geagea nie było jedynym ciosem, zadanym w zeszłym roku Siłom Libańskim i ich elektoratowi.

Wprawdzie koalicja partii chrześcijańskich, na czele z Siłami Libańskimi i Falangą, odniosła miażdżące zwycięstwo w wyborach samorządowych w mieście Tannourine, pięknie położonym w górach 80 km od Bejrutu. Nie było to zaskoczenie, gdyż większość z jego 25 tys. mieszkańców to chrześcijanie, głównie maronici.

Zaskoczeniem było to, co stało się później z miejscową firmą produkującą popularną butelkowaną wodę źródlaną „Tannourine". Nagle stała się obiektem walki stronnictw reprezentujących różne grupy wyznaniowe.

KAMPANIA | Zaczęło się 13 października 2025 r.: Ministerstwo Zdrowia nakazało wycofać wodę „Tannourine" ze sprzedaży, twierdząc, jakoby wykryto w niej pałeczki ropy błękitnej. Za przykładem Libanu poszły Katar i Emiraty Arabskie, zwiększając straty firmy.

Następnego dnia na konferencji prasowej jej prezes George Makhoul oświadczył, że o decyzji resortu dowiedział się z internetu. „Od 40 lat nasza woda należy do najczystszych i nigdy nie budziła wątpliwości co do swojej jakości" – zarzekał się. Przekonywał, że próbkę pobrano niezgodnie z procedurami, a wyniki są niewiarygodne.

Okazało się, że tydzień wcześniej zespół epidemiologiczny ministerstwa zabezpieczył sześć próbek wody będącej w obrocie rynkowym i wysłał je do Szpitala Uniwersyteckiego w Bejrucie, który jednak nie specjalizuje się w testach wody.

Tony Abi Najm, dziennikarz powiązany z Siłami Libańskimi, oskarżył ministra zdrowia Rakana Nassereddina z Hezbollahu o rozpętanie negatywnej kampanii przeciw „Tannourine". Religijny Hezbollah i świecki Amal to partie reprezentujące szyitów, dla których jest zarezerwowanych 27 mandatów w muzułmańskiej części parlamentu.

QUI PRO QUO | Minister odciął się, twierdząc, że zdrowie nie zna podziałów wyznaniowych i politycznych, zaś jego resort służy wszystkim Libańczykom. A poza tym, to nie on podpisał decyzję o wycofaniu wody, gdyż przebywał wtedy za granicą. Okazało się, że podpisał ją minister rolnictwa Nizar Hani z Socjalistycznej Partii Postępu. Reprezentuje ona druzów. To hermetyczna grupa religijna (wierzą w karmę i reinkarnację), przypada jej osiem miejsc w parlamencie.

Hani tłumaczył, że nie znał szczegółów tego, co sygnował („Podpisałem w trybie pilnym, gdyż dotyczy to zdrowia obywateli i bezpieczeństwa żywnościowego"). Dodał, że nie jest to próba zniszczenia czyjejś reputacji, i że ma nadzieję, iż to, co się stało, może „wywołać pozytywną reakcję i stanowić krok naprzód, nie szkodząc tej renomowanej libańskiej marce".

Po tej burzy zebrano kolejne próbki, które wysłano do Instytutu Badań Rolniczych, Instytutu Badań Przemysłowych i Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie. Pałeczek nie wykryto. Po siedmiu dniach przerwy uroczyście wznowiono produkcję i dystrybucję wody. Wydarzenie zaszczycił minister przemysłu Joe Issa El-Khoury z Sił Libańskich.

Tak zakończyła się pierwsza libańska wojna o wodę. Na szczęście wojna bez ofiar.

RYTUAŁ | Gdy politycy kłócą się o butelkowaną wodę z supermarketów, większość mieszkańców, w tym autor tego tekstu, walczy o to, by mieć jakąkolwiek wodę.

W moim budynku woda z kranu leciała ostatni raz w maju 2025 r., w trakcie kampanii do wyborów samorządowych. Wybory to w Libanie czas cudów: z ulic znikają nagle hałdy śmieci i zaczyna działać sygnalizacja świetlna, popsuta od miesięcy.

Po wyborach jedynym źródłem wody stają się znów prywatne beczkowozy. Napełniają zbiorniki, które stoją na dachach większości domów. W moim budynku

eprasa.pl f21820d830



JOSEPH EID / AFP / EAST NEWS

Cysterna dostarczająca wodę do budynku mieszkalnego w Bejrucie, 3 lipca 2025 r.

każde mieszkanie ma własny zbiornik (czasem jeden zbiornik jest dzielony na kilka mieszkań i każda rodzina zrzuca się po równo na beczkowóz).

To już rytuał. Gdy przyjeżdża beczkowóz, prowadzę jego pracownika przez pięć pięter na dach. Przypomina kominiarza: na ramieniu ma linę z hakiem. Już na dachu, otwieram mu zbiornik podłączony do mojego mieszkania (część sąsiadów pozakładała kłódki, zdarzają się kradzieże wody). Pracownik spuszcza linę z hakiem do partnera na dole, wciąga gumowy wąż, umieszcza w moim zbiorniku i daje znać partnerowi, by zaczął pompować.

Zależnie od dostawcy, tysiąc litrów kosztuje 10-20 dolarów USA. Taki rytuał powtarzam prawie co tydzień.

KWESTIA ZARZĄDZANIA | Minister energii i wody Joe Saddi tłumaczy brak wody rekordowo niskimi opadami w 2025 r.: były o połowę niższe niż roczna średnia, liczba dni deszczowych spadła z 75 do 45.

Nie da się zaprzeczyć: zmiany klimatu mają wpływ na dostępność wody w Libanie. Szacuje się, że średnie roczne opady deszczu spadną tutaj aż o 20 proc. do 2040 r. oraz o 45 proc. do 2090 r., a wzrost temperatury o jeden stopień Celsjusza może spowodować zmniejszenie całkowitych zasobów słodkiej wody w kraju nawet o 8 proc. Przy wzroście temperatury o dwa stopnie spadek ten może wynieść nawet 16 procent.

Jednak mimo tych prognoz, obecny brak wody w kranie to bardziej problem systemowy niż klimatyczny. „Liban jest krajem bogatym w zasoby wodne, ale nieodpowiednie zarządzanie uniemożliwia optymalne wykorzystanie tych zasobów" – zauważyła słusznie minister środowiska Tamara el-Zein.

Według Ministerstwa Energii i Wody Liban otrzymuje 8,6 mld metrów sześciennych opadów rocznie, ale tylko 2,7 mld udaje się zebrać i zmagazynować. Reszta jest tracona w wyniku parowania, infiltracji podziemnej i spływu powierzchniowego. Obecny kryzys wynika więc nie tyle z niedoboru, co z nieumiejętności zarządzania nadmiarem.

MEGAPROJEKT BIS | Jednak zamiast skupić się na ulepszeniu retencji wody, libański rząd zamierza zrealizować megaprojekt za 260 mln dolarów, polegający na przekierowaniu wody do aglomeracji Bejrutu z jeziora Karaun. Zaciągnięto już w tym celu pożyczkę z Banku Światowego, choć projekt nadal czeka na akceptację parlamentu.

Bliźniaczo podobne przedsięwzięcie zainicjowano w 2010 r. i również zaciągnięto na niego pożyczkę z Banku Światowego w wysokości 192 mln dolarów. Łącznie na ten projekt wydano przynajmniej 350 mln dolarów, a ostatecznie zamknięto go w 2025 r. – po piętnastu latach pracy nie przepłynęła ani jedna kropla wody z powodu nieukończonych tuneli, niedokończonych rurociągów i wciąż budowanej stacji uzdatniania.

Wygląda na to, że libański rząd chce powtórzyć ten nieprawdopodobny sukces. Nawet jeśli tym razem uda się doprowadzić go do końca, wydaje się, że opiera się on na błędnym założeniu – jeziorze Karaun.

ZATRUTE ŹRÓDŁO | Jezioro Karaun to największy sztuczny zbiornik zaporowy w kraju. Zbudowano go na Litani, najdłuższej rzece Libanu. Problem z nim związany widać i czuć: smród, kolor, piana.

W 2021 r. na jego brzegu zebrano 40 ton martwych ryb. Rok później uznano, że woda nie nadaje się nawet do celów rolniczych. Jest tu cała tablica Mendelejewa: kadm, chrom, nikiel, cynk, aluminium, bar, arsen. Podwyższony jest poziom bakterii kałowych, amoniaku, azotanów i fosforu – za sprawą intensywnego rolnictwa i nieoczyszczanych ścieków.

Liban wytwarza 310 mln metrów sześciennych ścieków rocznie, z czego mniej niż 10 proc. jest oczyszczonych przed odprowadzeniem. Większość z ponad 50 oczyszczalni, zbudowanych w ostatniej dekadzie, jest nieczynna z powodu braku prądu, kadr i kanalizacyjnej sieci. Ścieki trafiają bez oczyszczania do rzek, jezior i Morza Śródziemnego.

Właśnie tę wodę rząd planuje doprowadzić do domów w Bejrucie. Nieukończona oczyszczalnia ma sprawić, że będzie zdatna do picia. Ale nawet jeśli instalacja zostanie zbudowana i będzie utrzymywana w idealnym stanie (to optymistyczne założenie), złożoność i skala oczyszczania mogą okazać się zbyt duże, aby sobie z nim poradzić.

Wygląda na to, że jeszcze długo będę gotować wodę do mycia zębów. Bo nie wiadomo, skąd beczkowozy ją biorą. ©

Autor jest szefem misji Caritas Polska w Libanie i Syrii. W latach 2016-2021 kierował projektami humanitarnymi w Tanzanii i Zambii, walczył z pandemią w Ugandzie. Autor książek o Bliskim Wschodzie.

eprasa.pl f21820d830



ALEX CAPARROS / GETTY IMAGES

Piłkarze FC Barcelona z logo sponsora, Demokratycznej Republiki Konga; w środku Lamine Yamal. Walencja, 23 sierpnia 2025 r.

Krwawiące serce

GRZEGORZ KORDYLAS

SPORT I PIENIĄDZE | Kibice, którzy w tym sezonie śledzą mecze mistrza Hiszpanii, mają przed oczami także nowego sponsora na strojach piłkarzy FC Barcelony. To kraj będący symbolem wszystkich nieszczęść Afryki. O co tu chodzi?

Demokratyczna Republika Konga to ogromny, prawie osiem razy większy od Polski kraj w środku kontynentu afrykańskiego. Kraj obfitujący w surowce i zarazem doświadczany przez skrajną biedę (żyje w niej większość ze stu milionów obywateli) oraz przez wojnę.

Ten bogaty kraj biednych ludzi dołączył niedawno, wraz z rozpoczęciem obecnego sezonu rozgrywek piłkarskich, do grona sponsorów wspierających klub FC Barcelona. To odpowiedź Kongijczyków na analogiczne działania ich sąsiada i głównego wroga, z którym od lat prowadzą wojnę graniczną – Rwandy.

STARY KONFLIKT, NOWA ODSŁONA | Wschodnia część Demokratycznej Republiki Konga – region obfitujący w złoto, kobalt, koltan, cynę, tantal i inne minerały, niezbędne dziś w zaawansowanych technologiach – to od lat teren zmagań o kontrolę nad tymi surowcami. Dość powiedzieć, że działa tam ponad sto grup zbrojnych, a misja stabilizacyjna MONUSCO, obecna tutaj od 1999 r., to największa i najdroższa misja pokojowa ONZ.

Kongijczycy nieustannie oskarżają Rwandę, że wykorzystuje grupy rebelianckie do przejmowania kopalń i ich urobku. Ma on być następnie przemycany na rwandyjską stronę granicy i sprzedawany – już przez Rwandę – jako własny, m.in. do krajów europejskich.

Najnowsza odsłona tego konfliktu zaczęła się na początku 2022 r. od starć rebeliantów z organizacji „Ruch M23" (wspieranej przez Rwandę) z kongijską armią. Na początku 2025 r. zajęli oni duże obszary wschodniej części DR Konga, siejąc śmierć także wśród cywilów.

W grudniu 2025 r., po ponad trzech latach takiej wojny partyzanckiej, prezydenci DR Konga i Rwandy, Félix Tshisekedi i Paul Kagame, podpisali w Waszyngtonie – w obecności Donalda Trumpa – porozumienie pokojowe. To miała być jedna z tych „co najmniej ośmiu wojen", których zakończeniem chwali się prezydent USA.

Jednak rebelianci z Ruchu M23 nie byli tam obecni – prowadzili osobne rozmowy z rządem DR Konga, a w negocjacjach pośredniczył Katar. Niewiele one dały, sytuacja na miejscu daleka jest od pokoju. Tshisekedi i Kagame uśmiechają się do kamer i zapewniają, że chcą pokoju. Najwyraźniej wizerunek i przychylność Trumpa są dla nich ważniejsze niż los własnych obywateli. Ci bowiem cierpią nadal.

„ODWIEDŹ RWANDĘ!" | Konflikt między Kinszasą a Kigali rozgrywa się także w świecie sportu.

Wprawdzie poziom prezentowany przez piłkarskie reprezentacje narodowe z obu krajów nie należy do najwyższych. W minionym Pucharze Narodów Afryki drużyna z DR Konga odpadła w jednej ósmej finału (po dogrywce z Algierią). Rwandyjczycy w ogóle do turnieju się nie zakwalifikowali, do awansu zabrakło im dwóch bramek.

Jednak na płaszczyźnie biznesowej oba kraje należą dziś do prawdziwej ligi mistrzów – przynajmniej jeśli spojrzymy na kluby, z jakimi współpracują.

Od 2018 r. na koszulkach londyńskiego Arsenalu widnieje hasło „Visit Rwanda". Zaprasza do odwiedzenia tego kraju o wyjątkowo pięknej przyrodzie – ale też o trudnej historii i rządzonego dziś autorytarnie przez Kagamego. Wartość umowy z Arsenalem szacuje się na ponad 12 mln dolarów rocznie (dobiega ona końca wraz z zakończeniem obecnego sezonu).

eprasa.pl f21820d830

W RODZINIE | „Dywersyfikacja globalnych partnerów" – takim sformułowaniem Arsenal tłumaczył zakończenie 8-letniej współpracy z Rwandą.

Nie wszystkich to przekonało – być może rwandyjskie pieniądze coraz bardziej ciążyły na wizerunku londyńskiego klubu. „To ten sam reżim, który finansuje brutalną milicję dopuszczającą się okrucieństw wobec tysięcy niewinnych ofiar we wschodnim Kongo" – napisała na swojej stronie internetowej grupa fanów Arsenalu, występująca jako „Gunners For Peace".

Co w rodzinie, to nie zginie, można by rzec. Właściciel Arsenalu Stan Kroenke (największy prywatny właściciel gruntów w USA) ma też większość udziałów w klubie Los Angeles Rams. Klub należy do NFL, najbardziej prestiżowej ligi futbolu amerykańskiego. We wrześniu 2025 r. Rams podpisali z Rwandą umowę reklamową – zakłada obecność hasła „Visit Rwanda" na klubowym stadionie.

Do umowy dołączył także inny klub z Los Angeles: koszykarscy Clippers, klub będący własnością miliardera Steve'a Ballmera, który fortunę zbił jako prezes Microsoftu.

Jak widać, gdy idzie o partnerów biznesowych, Kagame, rządzący Rwandą od ponad 25 lat, nie bawi się w półśrodki.

PIŁKA I AUTA | Już wcześniej, w 2019 r., do grona klubów współpracujących z Rwandą dołączył Paris Saint-Germain, drużyna pozostająca pod biznesową kontrolą innego autorytarnego reżimu, rządu Kataru. W ramach tej współpracy w Rwandzie otwarto Akademię Piłkarską PSG, mającą wspierać rozwój lokalnych talentów.

Trzecim wielkim europejskim klubem, który podjął współpracę z rządem Kagamego, został Bayern Monachium. Podpisał on pięcioletnią umowę obejmującą rozwój piłki nożnej w Rwandzie i promocję turystyki. Także tu nie obyło się bez kontrowersji: po krytyce, m.in. ze strony kibiców, Bayern zmienił warunki umowy, skupiając się na wspieraniu akademii w Kigali. Ale rwandyjskie pieniądze nie przestały płynąć.

Wszystkie te umowy zostały zawarte przez „Visit Rwanda": państwową agencję, której celem jest promocja turystyki i przyciąganie do kraju zagranicznych inwestycji.

Kagame nie poprzestaje na piłce nożnej. Agencja jest też głównym sponsorem ligi koszykarskiej Basketball Africa League (działa ona pod egidą amerykańskiej ligi NBA). Kolejnym zaś ambitnym celem na horyzoncie prezydenta jest zorganizowanie w Rwandzie wyścigów samochodowych Grand Prix Formuły 1 – pierwszego na afrykańskiej ziemi od ponad 30 lat. O prawo do ich organizacji Kagame rywalizuje z RPA.

Tor wyścigowy – zaprojektowany przez Alexandra Wurza, byłego kierowcę Formuły 1 – ma powstać niedaleko Kigali. Ma przebiegać przez lasy i wokół malowniczego jeziora. Projekt uzyskał poparcie innego kierowcy, Lewisa Hamiltona. Koszt organizacji wyścigów szacowany jest na miliard dolarów, co w kraju, gdzie podstawą zatrudnienia pozostaje rolnictwo, może budzić zdumienie (tym bardziej że nie każdy taki wyścig generuje zyski).

„SERCE AFRYKI" | Wizerunkowe zabiegi Rwandyjczyków są pilnie śledzone przez władze Demokratycznej Republiki Konga. W lutym 2025 r. pani minister spraw zagranicznych DR Konga, Thérèse Kayikwamba Wagner, zaapelowała do klubów piłkarskich współpracujących z Rwandą, aby zerwały „krwawe" (jak to ujęła) umowy sponsorskie.

Widząc brak rezultatów, Kongijczycy sami wzięli się do roboty, a na efekty nie trzeba było długo czekać. Dziś DR Konga jest dumnym sponsorem takich zespołów jak AS Monaco, AC Milan (Włochy to ważny partner handlowy Kinszasy: importują ogromne ilości surowców), a także wspomniana wcześniej FC Barcelona.

Kongijczycy mają nadzieję, że z pomocą tych topowych europejskich klubów zmienią wizerunek swojego kraju na arenie międzynarodowej. Ich hasło brzmi: „Coeur de l'Afrique" (Serce Afryki).

Te głośne inwestycje spotkały się jednak z krytyką w kraju. Wielu Kongijczyków kwestionuje sensowność wydawania pieniędzy na zagraniczne kluby w sytuacji, gdy krajowa piłka nożna cierpi z powodu niszczejącej infrastruktury.

Kwota ok. 50 mln dolarów, przeznaczona dla FC Barcelony, mogłaby zrobić ogromną różnicę także wówczas, gdyby została przeznaczona na edukację, służbę zdrowia i infrastrukturę drogową. Trudno wyjaśnić obywatelom, którzy cierpią głód i wojnę, sens przekazywania tak ogromnych pieniędzy klubowi wartemu miliardy dolarów.

„ŁOMOT W DŻUNGLI" | Paul Kagame i Félix Tshisekedi to zawzięci wrogowie, ale najwyraźniej myślą podobnie. Swoimi wizerunkowymi inwestycjami za granicą chcą zjednać sobie nie tyle własnych obywateli, ile zachodnie media, turystów i inwestorów. Zapewne liczą, że w dalszej perspektywie przyniesie to profity w postaci pieniędzy spływających do ich państw.

Nie można zapominać także o prestiżu związanym ze wspieraniem i goszczeniem największych sportowców globu. Starsi wiekiem Kongijczycy mogą pamiętać legendarną walkę bokserską, którą w Kinszasie stoczyli w 1974 r. Muhammad Ali i George Foreman, a znaną jako „Rumble in the Jungle" (w wolnym przekładzie: „Łomot w dżungli"). Ali wygrał przez nokaut w ósmej rundzie, odzyskując tytuł mistrza świata w boksie wagi ciężkiej.

Wydarzenie to – do dziś uznawane za najsłynniejszą walkę w historii boksu – zorganizował Mobutu Sese Seko, dyktator ówczesnego Zairu (dzisiejszej DR Konga), a do wynagrodzenia dla obu bokserów dorzucił się inny satrapa, Libijczyk Muammar Kaddafi.

W ten sposób wojna, która toczy się nadal we wschodnich prowincjach DR Konga, przenoszona jest przez obu prezydentów na poziom światowej opinii sportowej i publicznej.

CEL: ZJEDNAĆ ŚWIAT | Tylko czy takie umowy sponsorskie się opłacają? Sądząc po tym, co twierdzą sami Rwandyjczycy, to tak: według sprawozdania Zarządu Rozwoju Rwandy liczba turystów, którzy w 2024 r. odwiedzili ten kraj, sięgnęła 1,3 mln, a przychody z turystyki wzrosły do 650 mln dolarów. To wzrost o 47 proc. od momentu rozpoczęcia współpracy z Arsenalem.

W przekonaniu, że nie są to inwestycje stracone, Kagamego i Tshisekediego może utwierdzać również fakt, iż podobne zabiegi – mające zjednać serca kibiców i potencjalnych turystów na wszystkich kontynentach – praktykują autorytarne monarchie z Zatoki Perskiej.

Tymczasem we wschodnich prowincjach Demokratycznej Republiki Konga tysiące ludzi wciąż giną, a setki tysięcy opuszczają swoje domy. ©

eprasa.pl f21820d830



ROZMOWA

DYSKRETNY UROK DEMOKRACJI

MAREK WĘCOWSKI, HISTORYK STAROŻYTNOŚCI:

Elity, które zarzucają dziś demokracji słabość, zarazem czują się przez nią zagrożone w swojej wolności do zarabiania więcej i do narzucania innym swojego punktu widzenia.

YONHAP / EPA / PAP

eprasa.pl f21820d830

MAREK RABIJ: Cytat na początek. „Jak wy, tak i my wiemy doskonale, że sprawiedliwość w ludzkich stosunkach jest tylko wtedy momentem rozstrzygającym, jeśli po obu stronach równe siły mogą ją zabezpieczyć; jeśli zaś idzie o zakres możliwości, to silniejsi osiągają swe cele, a słabsi ustępują".

MAREK WĘCOWSKI: To zdanie z „Wojny Peloponeskiej" Tukidydesa. Klasyk realpolitik, można rzec, tylko z roku 416 p.n.e. Ateńczycy stają u bram miasta Melos, które usiłuje zachować neutralność w wojnie Aten ze Spartą. Żądają, aby Melijczycy przeszli na ich stronę, gdy zaś spotykają się z odmową, zdobywają miasto, mordują mężczyzn, a kobiety sprzedają w niewolę.

Przypomniał mi się ten epizod, gdy słuchałem gróźb Donalda Trumpa, że weźmie Grenlandię siłą, jeśli Dania mu jej nie odda.

Mnie z kolei przychodzi do głowy Platon w „Gorgiaszu", który przez swojego bohatera Kalliklesa demaskuje tak bliski prezydentowi USA sposób myślenia oparty na zasadzie, że silniejszy robi, co chce. Ilekroć słyszę, jakim językiem Ameryka mówi dziś do sojuszników, myślę, że taka buta może być trudna do zniesienia dla dobrze wykształconych polityków i wojskowych za Atlantykiem, którzy przecież na studiach zaczytywali się w Tukidydesie na równi z Machiavellim i z Hobbesem.

Przeczytałem książkę o wyjściu Amerykanów z Afganistanu, w której odniesienia do Homera i Tukidydesa są językiem komunikacji autora z czytelnikiem. A pisze to oficer CIA i były żołnierz piechoty morskiej.

Rozmawiamy teraz o epoce, w której i w ateńskiej polityce, i w teatrze pojawia się często określenie „polis-tyran", czyli wizja państwa – powiedzielibyśmy dzisiaj – imperialistycznego. Ateny u szczytu potęgi w połowie V wieku p.n.e. jawią się właśnie takim państwem-tyranem.

Ich główny helleński rywal, Sparta, sprawnie posługiwał się tą metaforą, zyskując cichych i jawnych sojuszników, obawiających się dalszego rozrostu ateńskiej potęgi. Podobnie gra dziś Waszyngton wobec Pekinu.

Z tą różnicą, że w Atenach te same obawy wyrażają wówczas nawet Ateńczycy. Tukidydes przywołuje mowy Peryklesa, który ostrzega nie tylko przed zagrożeniami, jakie niesie ze sobą osiągnięcie pozycji państwa-tyrana. Podkreśla też, że niebezpiecznie byłoby ją utracić, bo wtedy wszyscy, których ciemiężono, mogą się zwrócić przeciwko osłabionemu ciemiężycielowi. Mam wrażenie, że Stany znalazły się dokładnie w takiej sytuacji.

O tym myślał Graham Allison, pisząc o „pułapce Tukidydesa"?

Konflikty wybuchają rzekomo wtedy, gdy stare imperium czuje się zagrożone przez szybko umacniającego się pretendenta i dąży do wojny. Ale myśląc o relacjach USA z Chinami, Allison sformułował regułę, której moim zdaniem nie da się wyprowadzić z Tukidydesa. Amerykę obsadza się tu w roli oligarchicznej Sparty, a Chiny występują jako odpowiednik demokratycznych Aten.

W dodatku zapominamy, że wojnę peloponeską w V wieku p.n.e. wygrała Sparta, że „nowe imperium" wcale nie musi być żwawsze od starego. Jeżeli szukamy antycznych analogii, Ameryka zmaga się raczej z pułapką roli „polis-tyrana".

I tu od razu dodam, że moim zdaniem ze wszystkich potencjalnych państw-tyranów USA są dla świata najmniejszym złem, bo mimo wielu problemów wewnętrznych są państwem z mechanizmami demokratycznej autokorekty kursu politycznego. Pod tym względem demokracja działa tam nadal podobnie jak w starożytnych Atenach. Pamięta pan tzw. debatę mityleńską u Tukidydesa?

Proszę przypomnieć.

Ateńczycy zajmują Mitylenę na wyspie Lesbos, polis, która się im zbuntowała. Początkowo chcą wymordować wszystkich mieszkańców, żeby dać nauczkę kolejnym potencjalnym buntownikom, ale dochodzą do wniosku, że zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej może zniechęcić do nich resztę sojuszników ze Związku Morskiego.

Kleon, lider stronnictwa imperialistów, domaga się rzezi miasta, lecz zgromadzenie ludowe rozpoczyna debatę na ten temat. Ateńczycy kierują się zarówno argumentami czysto humanitarnymi, jak pragmatycznymi, ważą plusy i minusy. Ostatecznie wysyłają na Lesbos posłańców z rozkazem wstrzymania masakry, którzy docierają w porę na miejsce.

W amerykańskiej polityce też ścierają się różne nurty, sprzeczne wizje przyszłości, ale o kierunku, w którym pójdzie kraj, decyduje ostatecznie „lud", czyli m.in. opinia publiczna i głosy opozycji. To właśnie te mechanizmy czynią z USA tyrana stosunkowo mało opresyjnego. A raczej czyniły, bo w ich polityce zagranicznej bezpieczniki już nie działają.

Przestały, bo Donald Trump „medyzuje" – jak powiedzieliby współcześni Peryklesowi Ateńczycy?

W tym znaczeniu, że po cichu sprzyja „Medom", czyli Persom, największemu wrogowi swojego kraju? A mówiąc po naszemu – Rosji?

Raczej w tym, że fascynuje go władza absolutna. Wybrał go lud, ale ciągnie go do wschodniego przepychu. Imponują mu dyktatorzy i dynastie.

To, co wyprawia Trump, nie jest oczywiście próbą wbudowania monarchii do amerykańskiego systemu politycznego. Patrzę na jego rządy jak historyk i wyróżniam dwa etapy. W pierwszym Trump poprzestawał do pewnego momentu na politycznym teatrze. Pojawiały się groźby i ostre zapowiedzi, ale szybko o nich zapominano.

Druga faza jest inna. Prezydent i jego otoczenie uważają, że stali się dostatecznie potężni, żeby porzucić grę pozorów dla realnych, agresywnych działań.

Inna kwestia to prywatyzacja państwa i jego narzędzi przez prezydenta i jego otoczenie. To nie monarchia, lecz myślenie o kraju i o świecie w kategoriach okazji do ubicia interesu. Te tendencje się łączą i pozwalają zrozumieć amerykańską politykę.

Trump atakuje zbrojnie Wenezuelę i narzuca jej arcykorzystne dla siebie warunki. Zmienia regulacje pod kryptowaluty, które sam emituje. W zamian za poparcie Białego Domu można zyskać lukratywne kontrakty zagraniczne. A stosunek władz USA do wojny w Ukrainie w dużej mierze wynika z osobistych relacji ich prezydenta z władcą Kremla. ↦

Replika korony noszonej przez królów Silla, którą otrzymał Donald Trump od prezydenta Korei Południowej Lee Jae Myunga. Gyeongju, 29 października 2025 r.

eprasa.pl f21820d830

↦ **„Państwo to ja”.**

No właśnie nie. Trump nie jest władcą absolutnym, bo jego życzenia nie zmieniają się automatycznie w literę prawa. Instytucje państwa z coraz większym trudem, to prawda, ale nadal patrzą mu na ręce. Konserwatywni sędziowie Sądu Najwyższego nie głosują za każdym razem tak, jak by chciał. Szef banku centralnego, którego wyznaczył na to stanowisko jeszcze w pierwszej kadencji, staje mu teraz okoniem. Jest wreszcie administracja stanowa, gdzie nie wszędzie rządzą przecież Republikanie.

Dlatego w demokratycznym Minneapolis agenci ICE na polecenie Trumpa polują na ulicach na imigrantów. Nawiasem mówiąc, jest coś symbolicznego w tym, że największe dotąd potknięcie ekipa prezydenta zalicza w mieście, które w nazwie odwołuje się do źródeł greckiej państwowości.

Amerykańska toponimia niemal co krok pokazuje, jak blisko tamtejszej kulturze do antyku. Mamy też Cincinnati, Kapitol, Filadelfię.

Greckiej państwowości nie były też obce zamachy stanu. Działania ICE w Minneapolis bywają interpretowane jako próba generalna przed czymś poważniejszym. Może Trump jest amerykańskim Teramenesem, człowiekiem, który podnosi rękę na samą demokrację?

Tym, co na pewno zbliża współczesne ustroje demokratyczne do ich starożytnej ateńskiej krewnej, jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, jak zapobiec sytuacji, gdy demokrację obali się z użyciem jej własnych reguł i mechanizmów.

Oligarchiczny zamach stanu w Atenach z 411 r. p.n.e. – poprzednik tego z 404 p.n.e., który pan właśnie przywołał – zawierał elementy siłowe. Bojówki oligarchiczne terroryzowały ateńskie ulice, w pewnym sensie podobnie jak obecnie ICE w USA. Ale to sami Ateńczycy opowiedzieli się za tym, żeby zmienić swój ustrój. Oligarchowie nie narzucili ludowi swojej władzy. Przekonali go, że lepiej poradzą sobie z wojną ze Spartą, z perskim zagrożeniem, wyzwaniami codzienności.

Dziś amerykańscy technooligarchowie, Alexander Karp i Peter Thiel, przekonują, że demokracja to przeżytek, bo algorytm rozumie ludzi lepiej od nich samych. Pozwólmy mu rządzić, a zapanuje pokój i szczęśliwość.

Tak, to niezwykle zabawne, bo bezwiednie – jak przypuszczam – obaj miliarderzy powielają argumenty, z którymi wojował już Benjamin Constant, a potem Isaiah Berlin, liberalni teoretycy wolności.

Za Constanta Europa lizała rany po wojnach napoleońskich. Wcześniej był terror rewolucji francuskiej. To wszystko uświadomiło mu, że największym zagrożeniem dla wolności są ludzie przekonani, że wiedzą lepiej, czego potrzebuje tzw. lud. Bo tam, gdzie w oparciu o takie przekonania zaczyna się polityka, zwykle kończy się także wolność. Jednostka prędzej czy później znika w masie, w imię abstrakcyjnych wartości, jakimi są wolności czy korzyści tej masy. Pozostaje tylko niezmienne pytanie, kto ma te korzyści identyfikować.

> Tym, co zbliża współczesne ustroje demokratyczne do ich starożytnej ateńskiej krewnej, jest pytanie, **jak zapobiec obaleniu demokracji przy pomocy jej własnych mechanizmów.**

Według Thiela i Karpa oczywiście ci, którzy operują algorytmem.

Oni naprawdę odgrzewają dwustuletnie kotlety, chyba nie zdając sobie sprawy, że te same argumenty służyły za usprawiedliwienie dla gilotyny na Placu Rewolucji. A potem legitymizowały terror napoleoński, aż w końcu legły u podstaw terroru faszystów i komunistów, co trafnie zdiagnozował Berlin. Argument, że ktoś wie lepiej, czego potrzebują ludzie, co jakiś czas powraca z przytupem w dziejach.

Dziś niektórzy „wiedzą lepiej”, że demokracja hamuje rozwój. Sprawdzała się może w Atenach, gdzie kilka tysięcy obywateli mogło wypracować kompromis. W wielokulturowych społeczeństwach, targanych nierównościami nie do zasypania, nie ma już sensu.

Przypomnę, że w XX wieku często podnoszono, iż demokracja jest słaba przez swój wielogłos i mechanizmy zbiorowego decydowania. W takim świecie trudno też dochować tajemnicy, sprawować kontrolę, co regularnie wytykano „słabym” państwom prawa w latach 60., kiedy lewicowe bojówki terroryzowały Europę Zachodnią.

Na szczęście od razu pojawiały się głosy przeciwne, jak chociażby u nas Leszka Kołakowskiego, które pomagały zrozumieć, że za rzekomą słabość demokracji omyłkowo bierzemy jej największy w istocie atut.

Genialność mechanizmu autokorekty systemu demokratycznego polega na tym, że w ramach pewnego przyjętego przez wszystkich układu i zasad gry raz zwycięża jeden, a raz drugi. Zresztą może najzabawniejszym paradoksem współczesnej krytyki demokracji jako ustroju słabego jest to, że jej krytycy tak chętnie powołują się na starożytne Ateny.

Bo tamta demokracja też była słaba?

Przeciwnie. Krytykowano ją głównie za to, że jest śmiertelnie skuteczna. Za to, że swoim beneficjentom, ludowi, daje wszystko, zawsze i za wszelką cenę. A elity bierze pod but i bezlitośnie wykorzystuje.

Tymczasem dzisiejsze elity – które przecież zarzucają demokracji bezsilność – zarazem czują się przez nią śmiertelnie zagrożone w swojej wolności do zarabiania więcej, do narzucania innym swojego punktu widzenia. Kłania się w tym momencie cały dyskurs europejskiej i amerykańskiej prawicy o absurdach biurokracji europejskiej, szyderstwa z regulacji, które ponoć odbierają nam wolność.

A nawet tożsamość – że przywołam J.D. Vance’a.

Vance sprowadza europejską tożsamość do kwestii etnicznych i kulturowych. Nie twierdzę, że to kwestie marginalne. Rozumiem te obawy i sam je w części podzielam.

Zadziwia mnie jednak, jak linearnie, wręcz prostacko, niektórzy Amerykanie patrzą na te nasze zmagania. Zdaniem Vance’a to, że w Paryżu sklepiki prowadzą dziś muzułmanie, których Karol Młot pokonał pod Poitiers, dowodzi głębokiego

eprasa.pl f21820d830

kryzysu tożsamości europejskiej. Nie mam na to odpowiedzi, nie warto w ogóle dyskutować na takim poziomie.

Według mnie europejska tożsamość to przede wszystkim umiejętność ucierania wspólnych poglądów, budowania wspólnoty mimo podziałów, nie tylko na fundamencie tego, co nas łączy. Pięknie pisał o tym wspomniany Kołakowski. Niedawno przeczytałem podobny w tonie esej Slavoja Žižka. Z kryzysem europejskiej tożsamości będziemy mieć do czynienia dopiero wtedy, gdy w konflikcie politycznym, religijnym lub ideologicznym zwycięży w Europie jedna strona, wdeptując przy tym drugą w ziemię.

Współczesna debata publiczna często sprowadza się do wdeptywania w ziemię.

A mnie właśnie tak rozumiana demokracja, przy wszystkich jej niedoskonałościach, wciąż wydaje się rozwiązaniem najbezpieczniejszym spośród tych, które mamy do dyspozycji. Nie jestem pewien, czy wyjściem z tego impasu jest przyspieszona federalizacja Unii Europejskiej. Uważam jednak, że UE jest kwintesencją tej cywilizacji europejskiej, w której – przy wszystkich możliwych szaleństwach, wynikających z przewagi którejś ideologii w danym historycznym momencie – nadal możliwe jest samouleczenie.

Elity demokratycznych społeczeństw zachodnich przez lata spotykały się na wyspie Jeffreya Epsteina na pedofilskim areopagu. Samouleczenie nie nastąpiło.

O to proszę pytać raczej historyka starożytnego Rzymu, bo ateńskie społeczeństwo było zdecydowanie bardziej egalitarne niż rzymskie. Poziom zamożności nawet najbogatszych Greków ze złotej epoki Aten był nieporównywalny z tym, na co cztery wieki później mógł już sobie pozwolić np. Lukullus. W Atenach też były elity, zdarzały się skandale obyczajowe. Ale choć sami Ateńczycy martwili się zjawiskiem alienacji elit, nie da się tego porównać do ekscesów stawiających się ponad prawem właścicieli globalnych fortun oraz potężnych polityków i celebrytów.

W Atenach nikt nie mógł w jawny sposób odrzucić wspólnych wartości i reguł. Nawet gardzący nimi ostentacyjnie Alkibiades słono zapłacił za swoje – na dzisiejszą miarę skromne – ekstrawagancje, jak rzekome parodiowanie świętych misteriów eleuzyńskich podczas biesiad.



ARCHIWUM PRYWATNE

MAREK WĘCOWSKI jest historykiem starożytności i filologiem klasycznym. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Specjalizuje się w badaniach dziejów Grecji.

Nawet elity musiały się liczyć z ostracyzmem.

Uważam, że ten mechanizm jest wciąż źle interpretowany. Ostracyzm istotnie pełnił funkcję wentyla bezpieczeństwa, bo świadomość, że każdego można wygnać z miasta bez sądu, działała trzeźwiąco na polityków.

Przede wszystkim wymuszał jednak współpracę na elitach, które co roku musiały zadbać, żeby do ostracyzmu nie doszło. A żeby się to udało, politycy przez cały rok musieli współpracować, szukać kompromisów. Paradoksalnie ostracyzm zdarzał się właśnie wtedy, kiedy pojawiał się gracz bezkompromisowy, który nie potrzebował sojuszników i po prostu chciał pozbyć się wrogów z kraju.

Gdy Pan mówi o ostracyzmie – wypisywaniu na kawałkach potłuczonych naczyń imion polityków, którzy zdaniem obywatela mieli opuścić miasto – mnie przed oczyma stają wpisy z X, czyli dawnego Twittera. Elon Musk powtarza, że musi tam panować taka sama swoboda wypowiedzi, jaką mieli starożytni Ateńczycy.

Różnica jest taka, że ostracyzm wydarzał się raz na kilka lat. W teatrze osoby publiczne lżono w sposób wręcz okrutny, ale widzowie rozumieli, że uczestniczą w pewnej konwencji. Znamienne zresztą, że w 440 r. p.n.e. w Atenach prawdopodobnie wprowadzono przepisy, które m.in. zabraniały w teatrze przywoływania konkretnych ludzi z imienia. Stało się to zapewne w momencie, kiedy Ateńczycy poczuli się zagrożeni podczas bardzo trudnej dla nich wojny z Samos, ale tę cenzurę szybko zniesiono. To pokazuje, że Grecy nie traktowali wolności słowa doktrynersko.

Platformy społecznościowe nie są teatrem. Siedzą nam w głowach niemal całą dobę.

Zabijając debatę publiczną, plemienność szkodzi też demokracji?

Może szkodzić. Dostrzegam np. coraz silniejszą pokusę dywersyfikacji poziomu praw obywatelskich. W Wielkiej Brytanii trwają debaty nad zasadnością automatycznego pozbawiania obywatelstwa i wydalania osób urodzonych w Zjednoczonym Królestwie za działalność terrorystyczną.

Nie mam na myśli np. Danii, która zaostrza politykę migracyjną. Mówię o państwie demokratycznym, które rozważa, co robić z własnymi obywatelami, zarówno tymi, którzy dopuścili się przestępstw i wykroczeń, jak i ogółem tych, którzy są postrzegani jako zagrożenie z racji ich odmienności kulturowej czy wyznaniowej. Sama „obcość" staje się podstawą dla podejrzeń. Nie zawsze zresztą bezzasadnie.

Ateny miały metojków, „współmieszkańców" niższej kategorii. Żyli z obywatelami, ale nie decydowali o losie państwa.

Chociaż czuję się demokratą i liberałem, jako historyk muszę dopuścić do mojego rozumowania możliwość, że tego typu poglądy są reakcją na to, co się dzieje z naszym światem. Może nietrafioną, ale naturalną. Muszę też pytać o skutki. Czy nierówności, które wydawały się dotąd wyłącznie kwestią statusu materialnego, wykształcenia czy kapitału kulturowego, przybiorą nową formę?

Mam wrażenie, że to się już dzieje i że na naszych oczach powoli kształtuje się nowy typ demokracji, która już nie zakłada, że wszyscy są równi.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

Fragment dialogu melijskiego z **„WOJNY PELOPONESKIEJ"** w przekładzie Kazimierza Kumanieckiego.

eprasa.pl f21820d830

WIARA

DLACZEGO ODCHODZĄ

Alicja swój akt apostazji opublikowała w internecie. Joanna uważa, że z Kościoła została wypchnięta. Formalne odejścia, publiczne czy dokonywane po cichu, są zwykle aktem kończącym długi i powolny proces.

ADRIAN BURTAN

Znalezienie aktualnych danych o apostazji, czyli formalnym odejściu z Kościoła, nie jest proste. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego podawał oficjalne liczby jedynie do 2010 roku (459 apostatów), tłumacząc późniejszy brak statystyk „niewielką skalą zjawiska". Luki te próbują wypełniać oddolne inicjatywy, jak projekt „Mapa apostazji" czy serwis apostazja.eu, z którego od 2020 r. pobrano kilka tysięcy wzorów dokumentów potrzebnych do formalnego wystąpienia z Kościoła. Oczywiście nie każdy, kto pobiera oświadczenie, ostatecznie składa akt apostazji, ale dane te pokazują, że „skala zjawiska" może być dużo większa.

Sama apostazja to jednak bardziej złożone zjawisko niż rezygnacja z praktyk religijnych. W Kodeksie Prawa Kanonicznego określana jest jako „całkowite porzucenie wiary chrześcijańskiej". W istocie dotyka więc samego rdzenia wiary, a nie tylko uczestnictwa w obrzędach.

O przyczyny sekularyzacji pytam prof. Katarzynę Zielińską, socjolożkę religii z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Twierdzi, że na zmiany nałożyły się bodźce kulturowe i ekonomiczne, ale swoje zrobiła też pandemia. – Religijność w Polsce jest w dużej mierze rytualistyczna, oparta na powtarzalności. Pandemia przerwała ten rytm. Wiele osób po lockdownie nie wróciło do Kościoła – mówi.

Jej zdaniem ostatnie, gwałtowniejsze spadki religijności wynikają jednak z lokalnych czynników: bratania się Kościoła z politykami, skandali pedofilskich, braku systemowych starań na rzecz walki z nadużyciami. – Tu chodzi o sposób, w jaki hierarchowie Kościoła katolickiego na te skandale reagowali. A raczej, jak nie reagowali – mówi prof. Zielińska.

Ta bierność zniechęcała część katolików. Takich jak Alicję.

Za dużo myśli

Alicja Bazan jeszcze kilka lat temu wierzyła. Wychowała się w praktykującej rodzinie z Krakowa, należała do wspólnot młodzieżowych, jeździła na rekolekcje, pełniła rolę animatorki na kościelnych wyjazdach.

W pewnym momencie zaczęło coś jej jednak zgrzytać. – Coraz więcej rzeczy w nauczaniu społecznym Kościoła zaczęło mi się nie zgadzać z tym, co wiedziałam o świecie i człowieku, relacjach, emocjach, godności – wspomina.

Poszła więc porozmawiać z księdzem. Liczyła na zrozumienie i rozmowę, która coś jej rozjaśni, ale niewiele z niej wynikło. Mimo to wmawiała sobie, że nie ma rozterek, że da się to jakoś zagłuszyć. – To nie jest tak, że nie próbowałam walczyć o wiarę – tłumaczy. – Próbowałam, bo zrezygnowanie z czegoś, czemu poświęciło się dużą część życia, nie jest łatwe.

W duszpasterstwie i od duchownych słyszała jednak, że „za dużo myśli". – Raczej oczekiwano ode mnie, że po prostu zgodzę się z nauczaniem Kościoła, bez dyskusji – dodaje. Z coraz większą też niechęcią patrzyła na zachowania czołowych hierarchów, na ich podejście do mniejszości seksualnych, ksenofobiczne wypowiedzi, utrudnianie rozliczeń przestępstw seksualnych duchownych. Pyta: – Dlaczego kiedy jeden czy drugi biskup wypowiada się agresywnie o innych, pozostali nie potrafią się sprzeciwić?

Religijny coming out

Po pierwszych poważniejszych wątpliwościach wróciła na rok do Kościoła, miała stałego spowiednika, przyjmowała sakramenty. – Próbowałam sama się przekonać, ale to, co słyszałam na kazaniach, nie trafiało do mnie – opowiada.

Czy od razu pomyślała o apostazji? Nie, bo, jak zaznacza, z odejściem wiąże się dużo trudnych emocji. Jej dodatkowo towarzyszyły objawy depresyjne. Odchodziła trzykrotnie. Za ostatnim razem już skutecznie. – Na koniec 2024 r. przygotowałam listę rzeczy do zrobienia na 2025. Jednym z punktów było dokonanie apostazji – wspomina.

Odchodzenie wiąże się z formalną procedurą: złożeniem aktu woli i wizytą u proboszcza. Jak wspomina spotkanie z księdzem? – Byłam przygotowana na to, że rozmowa może nie przebiegać miło. Spotkałam się jednak z życzliwością. W parafii mojego chrztu ksiądz był uprzejmy, spokojnie ze mną rozmawiał, próbował nawet przekonać do zmiany decyzji, ale w sposób delikatny, z szacunkiem. W parafii mojego zamieszkania wszystko odbyło się bardzo szybko, bez rozmowy, w zasadzie czysto formalnie.

SLORENZO DI COLA / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl f21820d830



Karnawał w Wenecji, 1 lutego 2026 r.

Wizyta trwała może dwie i pół minuty: podpisaliśmy dokumenty i to wszystko – opowiada.

Pytam ją, czy nie jest jej żal. W końcu dużą część swojego młodzieńczego życia poświęciła wierze. – Nie, czuję dużą ulgę i satysfakcję, że w końcu to zrobiłam. Że przestałam funkcjonować „pomiędzy", a jestem już poza, dokładnie tam, gdzie chciałam być – mówi.

Zaraz po apostazji Alicja udostępniła w swoich mediach społecznościowych dokument o woli wystąpienia z Kościoła. Religijny *coming out*.

Żałoba po Kościele

– To decyzja, z której jestem dumna – odpowiada. – Dopóki nie zaczniemy przełamywać tematów tabu i otwarcie o nich dyskutować, to one nadal będą tabu. Wiele osób chciałoby podjąć jakiś krok, ale milczy, bo boi się społecznej oceny albo ma wrażenie, że są z tym zupełnie same. Tymczasem wcale tak nie jest.

Takich osób jak Alicja jest więcej. Jedna z grup na Facebooku o apostazji, na którą trafiłem, posiada ponad 20 tys. uczestników. Wielu z nich o apostazji nie chce mówić swoim znajomym czy rodzinie. Boją się odrzucenia, oceniania. Zwłaszcza że w Polsce religia nadal mocno osadzona jest w tradycji.

Alicja: – Wiele osób chodzi do kościoła bardziej z przyzwyczajenia, z potrzeby przynależności albo ze względu na presję społeczną, niż z głębokiej wiary. Niektórzy apostazję odbierają bardzo emocjonalnie, jakby była czymś wymierzonym przeciwko Polsce, rodzinie czy kulturze. Zdarza się, że bagatelizują tę decyzję, argumentują w stylu: „bo im się nie chce chodzić do kościoła" albo „nie chcą wrzucać na tacę". A przecież to zazwyczaj bardzo trudny, długi proces, który wiąże się z poczuciem żałoby, rozczarowaniem, zmaganiem się z wątpliwościami.

Prorocki krzyk

Powodem odejść nie jest jedynie konflikt z instytucją Kościoła. Wiarę traci się dziś z wielu powodów: pod wpływem lektur, nowych doświadczeń quasiduchowych, rozczarowania życiem religijnym albo osobistych kryzysów, takich jak choroba czy śmierć bliskiej osoby. Dla niektórych religia z czasem staje się po prostu obojętna, zwłaszcza gdy udział w obrzędach nie łączy się z realnym zrozumieniem ich sensu. Apostazja może być przypieczętowaniem odejścia, które dokonało się już ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ wcześniej, po cichu, bez wyraźnego przełomu.

Ks. Dariusz Piórkowski, jezuita, uważa, że doświadczanie wiary bardzo się zmieniło. A duchowni nie są w stanie znaleźć przekonującego języka, by o niej opowiedzieć.

– Wiele osób zostało w Kościele zranionych przez duchownych i to jest fakt. Ale zadajmy sobie też pytanie, co my jako księża robiliśmy, by budować w ludziach żywe doświadczenie duchowe? Dawniej nikt nie pytał, po co ma iść na mszę. Dzisiaj świadomość przeżywania religii jest inna, ludzie pytają: dlaczego mam to robić? Jeśli nie znajdują odpowiedzi i nie widzą, że coś realnie zmienia się w ich życiu, to odchodzą. W tym sensie apostazja jest dla Kościoła krzykiem, prorockim znakiem czasu – mówi.

Wspominam ks. Piórkowskiemu historię Alicji. Pytam, czym grozi nieumiejętność słuchania i tłumaczenia wiary w sposób, który nie ucisza wątpliwości. – Parę tygodni temu było u mnie kilka par narzeczonych przygotowujących się do małżeństwa. Mieli wątpliwości związane z etyką seksualną. To, co możemy zrobić jako księża, to wysłuchać, czy nam się to podoba, czy nie. Nie muszę znać odpowiedzi na wszystkie pytania, ale powinienem do nich podejść ze zrozumieniem i empatią. Tego dzisiaj nam, księżom, brakuje – przyznaje.

Jednocześnie jezuita zaznacza, że wielu chciałoby widzieć w Kościele doskonały świat. Tymczasem, jak przyznaje, tak nie jest i nie będzie. – Co nie oznacza, że nie mamy nic robić ze złem, które w kościelnych murach się dzieje. Ludzie są tu ranieni, bez wsparcia przyspieszają decyzję o odejściu. Musimy jednak też pracować nad budowaniem autentycznego doświadczenia wiary. Pokazywać, że Kościół nie jest idealny, ale mimo to jest wspierający i wysłuchujący.

Jak w domu

Wysłuchania w trudnych momentach nie znalazła w Kościele Joanna Banach. Drży jej głos, gdy dzieli się swoją historią. Apostazji dokonała cztery lata temu. Dorastała w dysfunkcyjnej rodzinie. Ojciec był alkoholikiem, matka, jak mówi, miała cechy narcystyczne. Dzieciństwo miała więc trudne, szkoła też jej nie oszczędzała. – Byłam gruba, zezowata, mieszkałam w biednej dzielnicy Poznania, totalnie nie pasowałam do otoczenia – tak pamięta tamten okres.



ARCHIWUM PRYWATNE

ALICJA BAZAN:

To nie tak, że nie próbowałam walczyć o swoją wiarę. Próbowałam, bo zrezygnowanie z czegoś, czemu poświęciło się dużą część życia, nie jest łatwe.



ARCHIWUM PRYWATNE

JOANNA BANACH:

Najwięcej hejtu spadło na mnie od ludzi z mojej wspólnoty. Nikt nie przyszedł porozmawiać. Z czasem pojawiła się myśl, że Kościół nie jest już moim miejscem.

Matka, osoba religijna i rozmodlona, uczyniła z Kościoła centrum życia. Ojciec wręcz przeciwnie, ale dla świętego spokoju chodził z nią na msze. Joanna więc od dziecka zaczęła szukać swojego miejsca w Kościele. Znalazła je w ruchach i wspólnotach młodzieżowych. I pierwszy raz poczuła – miała wtedy piętnaście lat – że jest gdzieś w pełni akceptowana.

– Pamiętam jedną ze spowiedzi, podczas której usłyszałam, że Bóg kocha mnie taką, jaka jestem. Ksiądz zaprosił mnie do wspólnoty neokatechumenalnej. Poszłam tam i zaczęłam grać na gitarze, zostałam kantorką, czyli prowadziłam śpiewy. To była ważna rola – wspomina.

Od ludzi ze wspólnoty dostawała dużo pozytywnego odzewu: że jest fajna, potrzebna, że robi coś dobrego. Wreszcie nie musiała stać z boku, była widziana i doceniana. Po przeprowadzce do innej dzielnicy zaangażowała się dodatkowo w działalność zespołu młodzieżowego. Czuła się jak w domu. Nie wszystko jej się w Kościele podobało. Nie zgadzała się na wykluczanie części grup społecznych czy podejście do aborcji. W tym czasie poznała niewierzącego męża, z którym wzięła ślub kościelny i miała dwie córki. Początkowo próbowała go nawracać, później odpuściła.

Rozmowa z córką

Poważny zgrzyt pojawił się, gdy wspólnota oczekiwała, by jej mąż również do niej dołączył. Odmówił, a Joanna nie chciała go zmuszać. Wspólnocie to się nie spodobało, a Joanna pierwszy raz przestała czuć pełną akceptację grupy.

Po kolejnej przeprowadzce wstąpiła do wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym i dołączyła do Caritasu. Zajęła się też prowadzeniem biura parafialnego. Wtedy usłyszała diagnozę – tętniak mózgu. Musiała przez to zrezygnować z pracy zawodowej (była policjantką). Miała powikłania, przeszła intensywną rehabilitację. Mimo to dalej działała w Kościele, grała na gitarze i ukulele, śpiewała w zespole, ogarniała życie parafii. To było coś, co ją budowało i dodawało sił.

Kolejny kryzys przyniosła rozmowa z córką, również zaangażowaną w Odnowę. Podczas jazdy samochodem usłyszała od niej: „Mamo, pociągają mnie kobiety, nie wiem, co mam z tym zrobić...

eprasa.pl f21820d830

Oni każą mi odejść, bo jestem dziwna, inna".

Joannie serce się zatrzymało. Pomyślała: czy moje dziecko jest nienormalne? Co mam z tym zrobić?

Zaczęła czytać o homoseksualności. W środku czuła jednak ogromny sprzeciw. Nie chciała krzywdzić własnego dziecka. Poszła do proboszcza i zapytała, jak może pomóc córce. On odpowiedział spokojnie: kochaj ją taką, jaka jest. – Byłam mu naprawdę wdzięczna za te słowa. Bo słuchając wtedy ludzi ze wspólnoty, pewnie próbowałabym ją zmieniać – wspomina.

Wypchnięta ze wspólnoty

Dlatego wspierała córkę. Chodziły razem na parady równości w Poznaniu, towarzyszyła jej w pierwszym zakochaniu w dziewczynie. Zaczęła to pokazywać publicznie. Publikowała zdjęcia z parad, wpisy na Facebooku. Spotkało się to z krytyką. Opowiada: – Pamiętam, że najwięcej hejtu spadło wtedy na mnie właśnie od ludzi z mojej wspólnoty. Nikt nie przyszedł porozmawiać, wszystko działo się w mediach społecznościowych.

Potem konsekwencje przeniosły się poza internet. Najpierw proboszcz odsunął Joannę od biura parafialnego. – Tak musiał, ludzie tego od niego wymagali, rada parafialna naciskała, pytali go: jak możesz ją dalej trzymać?

Następnie na spotkanie zaprosiła ją wspólnota. Dwie kobiety oznajmiły, że powinna się „otrząsnąć". – Wytknęły mi, że ćwiczę jogę, chodzę na parady równości, promuję pogląd, że homoseksualizm jest normalny. Zaznaczyły, że nie chcą, bym dalej grała w zespole i prowadziła śpiewy. To był cios nie do opisania. Coś, co kochałam i co było moim życiem, nagle zostało mi odebrane – mówi.

Wróciła do domu i przez trzy dni nie wstawała z łóżka. To doświadczenie doprowadziło ją do stanu depresyjnego i rozpoczęcia psychoterapii. – Z czasem pojawiła się myśl, że Kościół nie jest już moim miejscem. Że to wszystko, czego naucza wspólnota, nijak ma się do Ewangelii. Jezus mówił, że wszyscy jesteśmy kochani takimi, jacy jesteśmy. Ale w Kościele wygląda to inaczej.

Z czasem ludzie zaczęli się od niej odsuwać. – Do dzisiaj trwają przy mnie trzy osoby – oznajmia. Stopniowo przestała chodzić do kościoła i odeszła ze wspólnot. Ludzie ją pytali: po co ci apostazja? A ona wiedziała, że nie chce tego zrobić po cichu. Zainteresowała się tym, jak wygląda procedura formalnego odejścia. Proces przebiegł bezproblemowo. Ksiądz na koniec zapytał, czy jest pewna tej decyzji, i zapewnił, że może w każdej chwili wrócić.

Najtrudniejsza była reakcja matki: „Co ty zrobiłaś? Jesteś opętana" – grzmiała. Po pierwszym bólu spowodowanym opuszczeniem instytucji przyszła żałoba, a po niej złość. Joanna wylewała wtedy na Kościół wszystkie swoje emocje, ale to też minęło. Teraz uważa, że apostazja była najlepszą decyzją.

– Czasem pojawia się ból, szczególnie wtedy, gdy czytam historie podobne do mojej. Albo kiedy widzę, że jakiś ksiądz, który robił wiele dobrego, odszedł, bo kościelne ramy okazały się dla niego zbyt ciasne – mówi.

Zbiorowa wina

Według prof. Zielińskiej kluczowe do budowania dialogu wiernych z Kościołem są trzy obszary. Po pierwsze, troska o wspólnotę. Duchowni muszą zacząć budować relacje, pokazać, że walczą z patologiami, włączać świeckich. Po drugie, Kościół musi rozliczyć nadużycia seksualne. W Irlandii czy Stanach Zjednoczonych brak właściwej reakcji na skandale prowadził do poważnego kryzysu i masowego odchodzenia wiernych. Wreszcie konieczny jest rozdział z władzą świecką. – Kościół katolicki w Polsce przez lata był rozpieszczany, zarówno przez polityków, jak i wiernych. Teraz to się powoli zmienia i w tym widzę szansę na jego zmianę – mówi prof. Zielińska.

Ks. Piórkowski dodaje, że konieczne jest zrozumienie, nie tylko przez duchownych, ale też świeckich członków wspólnoty. Bo, jak podkreśla, Kościoła nie powinno ograniczać się wyłącznie do biskupów czy proboszczów. – Nie możemy piętnować tych, którzy zdecydowali się odejść, bo wtedy umywamy ręce i zdajemy się nie rozumieć, że odpowiedzialność ponosimy jako całość – mówi.

Za każdą historią odejścia kryją się odmienne motywy. Ludzie odchodzą z Kościoła również nieformalnie i bez deklaracji. Czego nie widać od razu w statystykach, ale co odbija się w dłuższej perspektywie na kondycji Kościoła. Żeby zahamować ten proces, duchowni muszą nauczyć się słuchać i zadbać nie tylko o zaangażowanych, ale przede wszystkim o wątpiących, błądzących czy tych, którzy czują się zranieni. Bez wrażliwości na te problemy sekularyzacja będzie tylko przyspieszać. © ADRIAN BURTAN

POŻEGNANIE

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnéj,
Wokoło lecą szmaty zapalone;
Goreją, nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, ma być zatracone.

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? Czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie?...

Wyrazy głębokiego współczucia naszej drogiej koleżance

Monice Żmudzińskiej-Hann

z powodu nagłej śmierci

Jej męża Wojtka

Pozostanie na zawsze w naszych sercach i pamięci
jako wrocławski działacz opozycji demokratycznej,
a nade wszystko serdeczny i oddany kolega.

Przyjaciele z Ruchu Wolność i Pokój

eprasa.pl f21820d830

Już otwarte

KS. RAFAŁ SZCZUROWSKI, DYREKTOR ARCHIWUM KURII METROPOLITALNEJ W KRAKOWIE:

ROZMOWA | Dokumenty archiwalne to zawsze opowieść o życiu ludzi. Możemy tu odnaleźć zarówno ich pobożność, jak i błędy, które popełniali.



ANNA GOC: Oprowadzi mnie Ksiądz?

KS. DR RAFAŁ SZCZUROWSKI: Wejdźmy najpierw do czytelni. Nie jest duża, stanowisk dla badaczy i naukowców jest zaledwie kilka.

Część naszych zbiorów, jak choćby materiały z okresu staropolskiego, jest w dużej mierze zdigitalizowana, można je przeglądać, nie wychodząc z domu.

Co jest za tymi drzwiami?

Magazyn, możemy do niego zajrzeć. Są tu dokumenty, które spływają do kurii. Kościół, jak każda instytucja, wypracowuje i gromadzi ich sporo i mamy pod tym względem wielowiekową tradycję. W naszym archiwum są dokumenty kancelarii biskupa, sądu kościelnego. Akta wizytacji duszpasterskich, kongregacji dekanalnych, teczki personalne księży. Na tym regale protokoły i indeksy spraw, które wpływały do kurii i zostały zarejestrowane.

Weźmy 1960/1961. Proszę, jakaś parafia prosi o zezwolenie na mszę w wieczornej porze. Musimy pamiętać, że to czasy przedsoborowe, przed reformą liturgii, stąd prośba o pozwolenie na wieczorne nabożeństwo.

A tu prośba od ks. Józefa Tischnera.

Tak, o przedłużenie pozwolenia na spowiadanie.

Czyli jest tu cały materiał, który mówi o życiu Kościoła krakowskiego od końca XIV wieku po teraźniejszość. Archiwum to zawsze opowieść o życiu ludzi. „Historia to człowiek w czasie" – jak mawiał historyk Marc Bloch. I tak ostatecznie jest, że to jest zawsze opowieść o ludziach, nawet jeśli patrzymy na nich z perspektywy instytucji – sądu, kancelarii biskupiej, kurii. Dzięki archiwum możemy zobaczyć, w jakich czasach żyli i jak te czasy na nich oddziaływały. Odnaleźć zarówno ich pobożność, jak i błędy, które popełniali.

Archiwum – decyzją abp. Marka Jędraszewskiego – było przez ostatnie dwa lata zamknięte. Jak się Ksiądz odniesie do informacji podanych przez „Gazetę Wyborczą", że w tym czasie część materiałów, m.in. dotycząca ludzi właśnie – kardynałów Sapiehy i Wojtyły – „pod hasłem »reorganizacji«" mogła zostać usunięta?

Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Czy te doniesienia medialne można sprawdzić tu, w archiwum?

Każdy dokument, który trafia do archiwum kurii, zostaje odnotowany. Posługując się indeksami, możemy sprawdzić, czy nie mamy pustych indeksów, co by oznaczało, że materiały zniknęły – zostały zniszczone lub przeniesione.

Czy to będzie sprawdzane?

Jeśli czegoś brakuje, będziemy z pracownikami archiwum ustalać, co się z tymi rzeczami stało. Ale na teraz nie mamy wiedzy, by jakiejkolwiek istotne dokumenty zostały wyniesione, zniszczone czy przeniesione w inne miejsce.

Czy to prawda, że dostęp do archiwum miał w tym czasie tylko ówczesny kanclerz, ks. Grzegorz Kotala?

Nie wiem. Ewidencji wejść do archiwum nie prowadzimy. W okresie, gdy archiwum było zamknięte, mogli tu wchodzić tylko jego pracownicy.

Dwoje świeckich archiwistów – jak pisze „Gazeta Wyborcza" – straciło w tym czasie pracę, a ówczesny dyrektor archiwum, ks. prof. Jacek Urban, powiedział „GW": „Poproszono mnie o oddanie kluczy. Ksiądz kanclerz Kotala dał mi odczuć, że to on teraz będzie kierował archiwum. Z takimi decyzjami się nie dyskutuje".

Trudno mi to komentować.

Jeszcze do niedawna nikt nie interesował się archiwum krakowskiej kurii. Zwykle przychodzili tutaj naukowcy, którzy zamawiali dokumenty i je badali,

eprasa.pl f21820d830



GRAŻYNA MAKARA

opisywali dzieje krakowskiego Kościoła. Dopiero zamknięcie archiwum spowodowało nawałnicę medialną.

Gdzie są przechowywane materiały, których się nie udostępnia?

Mamy kilka magazynów, a najstarsze i najważniejsze materiały przechowujemy w specjalnych komorach, do których dostęp mają tylko pracownicy archiwum. Niektóre z nich nie są udostępniane ze względu na ich wrażliwą treść, inne – by nie uległy dalszej destrukcji.

Zasady udostępniania materiałów są podobne do tych, które obowiązują w archiwach państwowych?

Archiwum kurii jest archiwum prywatnym. Działa jednak zgodnie z regułami innych archiwów, może poza IPN-em, który rządzi się swoimi prawami.

Udostępniamy publicznie dokumenty i materiały po pięćdziesięciu latach od ich powstania, a jeśli dotyczą spraw personalnych – po osiemdziesięciu. Listy po dwudziestu latach od śmierci ostatniego z korespondujących.

Ponieważ to prywatne archiwum, zawsze można zwrócić się z prośbą do ordynariusza miejsca o udostępnienie materiałów przed upływem tego czasu.

KS. DR RAFAŁ SZCZUROWSKI (ur. 1968) – doktor historii, w latach 2001-2022 wykładowca PAT w Krakowie, a następnie UPJPII w Krakowie, zajmuje się dziejami Kościoła katolickiego w okresie nowożytnym i najnowszym. Autor m.in. książek „Socjaliści w polskiej publicystyce katolickiej lat 1878-1918" (Kraków 2001), „Zaradzić potrzebom doczesnym i wiecznym. Idee oświecenia w Kościele katolickim w Polsce (do 1795 r.)" (Kraków 2014), „Pokolenie czasu upadku Rzeczpospolitej w polskich kazaniach okolicznościowych z lat 1795-1830" (Kraków 2020).

Przez szesnaście lat Biblioteka Narodowa miała korespondencję kard. Karola Wojtyły, a później papieża, i filozofki Anny Teresy Tymienieckiej. Pojawiły się pytania, dlaczego do listów miał dostęp tylko dyrektor biblioteki. Czy ksiądz też miał te wątpliwości?

Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że w naszym archiwum też jest część korespondencji kard. Wojtyły z jego przyjaciółką Anną Teresą Tymienicką. Właśnie się z nią zapoznałem.

Z jakiego okresu?

Dyskutowali wtedy o tłumaczeniu książki Wojtyły „Osoba i czyn", wymieniali informacje o kongresach filozoficznych, na które Wojtyła był wtedy zapraszany. To rozmowa naukowców, filozofów. Nie pozbawiona jednak wątków prywatnych – Wojtyła na przykład pisał o tym, że złapał grypę przed świętami wielkanocnymi.

Listy będą udostępnione?

Tak, już teraz można zwrócić się z prośbą o ich udostępnienie.

Archiwum kurii jest istotnym miejscem z jeszcze jednego powodu. Od kilku lat trwa w Polsce dyskusja o powołaniu niezależnej komisji ds. zbadania wykorzystania seksualnego dzieci i małoletnich przez księży.

Jeśli kard. Grzegorz Ryś powoła taką komisję w Krakowie, to te dokumenty, które mamy, także te, które są w dyspozycji kanclerza kurii, będą członkom komisji udostępniane i będą badane. I wtedy to ma sens, tak powinno być, że zajmuje się tym niezależny zespół, którego zadaniem jest ocena materiałów źródłowych i dotarcie do prawdy.

Ujawniona niedawno korespondencja Jana Pawła II i Anny Tymienieckiej pokazała „słabą" – jak nazwała ją sama filozofka – reakcję papieża na opisywaną przez nią w listach sprawę tuszowania pedofilii, którą zajmował się zespół śledczych dziennikarzy „The Boston Globe".

Zapewne dowiemy się więcej, gdy udostępnione będą źródła watykańskie, których kwerenda będzie możliwa za jakiś czas.

Dla niektórych badaczy to może być trudne, bo przecież istnieje pokusa, by wiedzieć już teraz, zaraz. Jednak wraz z upływem czasu nabieramy dystansu i wtedy lepiej rozumiemy, że historia człowieka to wzloty i upadki. I taka opowieść o ludziach staje się ciekawa, bo jest prawdziwa.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 456/25 toczy się postępowanie z wniosku Alexandry Mucek o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na rzecz Stanisława Pucek i Zofii Pucek na prawach wspólności majątkowej małżeńskiej własności nieruchomości składającej się z działek ewid. nr: 477 pow. 0,14 ha, 783 pow. 0,02 ha, 522 pow. 0,16 ha, 587 pow. 0,23 ha, 590 pow. 0,25ha, 662 pow. 0,43 ha, 376 pow. 0,10 ha, położonych w Pojawiu gm. Szczurowa oraz nr 458 pow. 0,61 ha, położonej w Dołędze gm. Szczurowa – powstałych z parcel katastralnych obj. zaginionymi lwh 320, 677, 554, 555, 557, 473 i lwh 1 gm. kat. Pojawie oraz zaginionym lwh 845 gm. kat. Dołęga.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane , aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie udowodnione .

eprasa.pl f21820d830



ANNIE FROST / ST. PHOEBE CENTER FOR THE DEACONESS / MATERIAŁY PRASOWE

Nowo wyświęcona diakonisa Angelic Molene i metropolita Serafim, kościół św. Nektariosa w Harare, Zimbabwe, 2 maja 2024 r

Sprawa niezamknięta

MICHAŁ RYCHERT

TEOLOGIA | Dyskusja o święceniach kobiet nie została zamknięta. Co więcej – zyskuje nową dynamikę. Raport watykańskiej komisji wprawdzie nie zmienia doktryny, ale po raz pierwszy neutralizuje tradycyjne argumenty „z płci”.

Gdy Jan Paweł II, w „Ordinatio sacerdotalis” w 1994 r., wypowiedział swoje słynne zdanie: „Mocą mojego urzędu utwierdzania braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom, oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne” (OS 4), wydawało się, że dyskusja na temat święceń kobiet została definitywnie zakończona. Nic bardziej mylnego.

Owszem, ta wypowiedź na chwilę zmroziła zainteresowanych problematyką – zamiast na meritum skupiono się nad kwestią normatywności papieskiego orzeczenia. Gdy jednak przyjęło się przeświadczenie, że nie chodzi o wypowiedź *ex cathedra*, słabość użytej w dokumencie argumentacji nadała dodatkowego impetu do dalszych poszukiwań.

OTWARTOŚĆ | Na początku grudnia 2025 r. opublikowano dokument roboczy Komisji Studiów nad Diakonatem Kobiet powołanej jeszcze przez papieża Franciszka. Na jej czele stoi kard. Giuseppe Petrocchi, który po studiach seminaryjnych uzyskał magisterium z filozofii i psychologii, a od 2018 r. był członkiem Komisji ds. Państwa Watykańskiego. Nie wiemy natomiast, kto wchodzi w skład komisji – nie znamy nazwisk członków ani kompetencji, ani płci. Choć te informacje mogłyby rzucić światło na efekt prac, zatwierdzany w drodze głosowań.

Synteza prac komisji została opublikowana tylko w języku włoskim. Leon XIV, kierując się, jak się wydaje, sugestią zawartą w uwagach końcowych dokumentu, że Kościół powinien „działać z ewangeliczną otwartością, ale także z niezbędną transparentnością dyskursu”, postanowił go upublicznić.

Trzeba na wstępie podkreślić, że dokument ten nie ma charakteru obowiązującego nauczania Kościoła, nie jest też wykładnią doktryny wiary ani nawet nie stanowi pełnego kompendium problematyki – zwraca się wręcz uwagę na jego niekompletność i fragmentaryczność. Pomimo tych ograniczeń dostarcza ciekawego materiału i warto poświęcić mu uwagę. Bo, jak się okazuje, to, co Jan Paweł II uznał za „ostateczną” wypowiedź, wcale na taką nie wygląda.

KONTYNUACJA | Zapytajmy najpierw, czy dokument rzuca nowe światło na temat diakonatu kobiet, a co za tym idzie, także na możliwości udzielania im święceń drugiego i trzeciego stopnia (prezbiteratu i episkopatu)? W syntezie zauważa się, że w toczącej się dyskusji „wiele petycji nie tylko domaga się dopuszczenia kobiet do sakramentu diakonatu, ale także argumentuje, że pozostałe stopnie święceń kapłańskich (prezbiterat i episkopat) powinny być dla nich dostępne”.

Tym, którzy widzą tu zagrożenie, przytacza się nauczanie Soboru Watykańskiego II (LG 29), z którego wynika, że święcenia diakonatu nie są *ad sacerdotium* (dla kapłaństwa), lecz *ad ministerium* (dla posługi). Niekoniecznie więc należy je traktować jako „poczekalnię” do kolejnych święceń.

Komisja kard. Petrocchiego wychodzi od krótkiego podsumowania prac pierwszej komisji (Międzynarodowej Komisji Teologicznej, „Diakonat. Ewolucja i perspektywy” pracującej w latach 1992-1997, której dokument ukazał się w 2002 r.), stwierdzając: „Biorąc pod uwagę obecny stan badań historycznych i naszą wiedzę o świadectwach biblijnych i patrystycznych, można zasadnie stwierdzić, że diakonat żeński, który rozwijał się nierównomiernie w różnych częściach Kościoła, nie był pojmowany jako prosty żeński od-

eprasa.pl f21820d830

powiednik diakonatu męskiego i wydaje się, że nie miał charakteru sakramentalnego". Za tą tezą zagłosowało 7 członków komisji, nikt nie był przeciwny, jedna osoba wstrzymała się od głosu.

Zauważa się jednak, że w dyskusji nad kwestiami doktrynalnymi badania historyczne spełniają tylko rolę pomocniczą, a nie rozstrzygającą. Wszyscy członkowie zgodzili się, że kwesta diakonatu kobiet rodzi pytania o zgodność święceń diakonatu kobiet z katolicką nauką o sakramencie święceń i że na tym etapie nie ma podstaw do ostatecznego rozstrzygnięcia (Teza 4). W efekcie członkowie komisji nie opowiadają się ani za, ani przeciw ustanowieniu w Kościele diakonatu żeńskiego, rozumianego jako pierwszy stopień święceń kapłańskich.

Brak decyzji w tej kwestii, świadomość rodzących się pytań i wątpliwości nie są bynajmniej wyrazem stagnacji, ale wręcz ogromnego postępu, jaki się w międzyczasie dokonał, zwłaszcza jeżeli przywoła się wspomniane na początku stanowisko „Ordinatio sacerdotalis". Co więcej, komisja wyraża stanowisko, że nie wyklucza się późniejszych zmian w tej materii (5B).

ZAINTERESOWANIE | Na szczególną uwagę zasługują dwie wypowiedzi syntezy. Jedna z nich dotyczy zbyt małego – zdaniem jej autorów – zainteresowania diakonatem kobiet. W ramach trwającego procesu synodalnego komisja otrzymała, w lutym 2025 r., „obszerny i istotny materiał do analizy w kwestii diakonatu kobiet", ale zaledwie od dwudziestu dwóch osób. Ten szczegół powinien co najmniej budzić zdziwienie, ponieważ temat diakonatu był obecny w wielu krajowych i kontynentalnych syntezach. Komisja skomentowała to następująco: „choć materiał jest obszerny i w niektórych przypadkach umiejętnie uargumentowany, nie można go uznać za głos Synodu, a tym bardziej Ludu Bożego jako całości". Czy za tym nie kryje się czasem kolejna próba przełożenia problemu *ad kalendas graecas?*

Nie można też ustalić, jaka była zawartość merytoryczna dostarczonych komisji materiałów ani w jakim kierunku zmierzała argumentacja. Można jedynie mieć nadzieję, że kwesta diakonatu kobiet znajdzie się w synodalnym *Instrumentum laboris*, którego publikacja powinna nastąpić w czerwcu 2028 r. i które będzie przedmiotem dyskusji oraz głosowania na Zgromadzeniu ogólnym Synodu w październiku 2028 r.

ARGUMENT Z PŁCI | Możemy się również spodziewać – to wniosek z drugiej ważnej wypowiedzi komisji – że pominięty zostanie ostatecznie tzw. argument z płci. Przypomnijmy, że jednym z elementów dotychczasowej argumentacji za wyłącznością święceń dla mężczyzn było zdanie z „Ordinatio sacerdotalis", że „Kościół uznawał zawsze za niezmienną normę sposób postępowania swojego Pana, który wybrał dwunastu mężczyzn" (OS 2).

Na ten fakt historyczny nakładano symbolikę Chrystusa Oblubieńca, w którego imieniu (*in personam Christi*) działa wyświęcony, jak i Kościoła jako Oblubienicy. Czytelność tej symboliki, jak twierdzą przeciwnicy święceń kobiet, domaga się, by „w imieniu Chrystusa" występowali tylko mężczyźni.

Tyle że ten, jak się wydaje silny, argument z płci został przez komisję zneutralizowany: głosowało za nim 5 członków komisji, tyle samo było przeciw. Teza poddana pod głosowanie brzmiała następująco: „Męskość Chrystusa, a zatem i męskość tych, którzy przyjmują święcenia kapłańskie, nie jest przypadkowa, ale stanowi integralną część tożsamości sakramentalnej, zachowując boski porządek zbawienia w Chrystusie. Zmiana tej rzeczywistości nie byłaby prostą korektą posługi, ale zerwaniem z oblubieńczą symboliką zbawienia".

Warto dodać, że analiza tekstów liturgicznych podważa jednoznaczność tej symboliki. Gdy celebrans w prefacji wypowiada słowa: „abyśmy Tobie składali dziękczynienie" lub „Boże, przyjmij tę Ofiarę od nas, sług Twoich i całego ludu Twego", wypowiada się w imieniu Kościoła Oblubienicy, nie w imieniu Chrystusa. Pamiętajmy, że *lex orandi* jest ważnym argumentem, który jak dotąd nie jest brany pod uwagę w toczącej się dyskusji.

DOKTRYNA | Wynik głosowania komisji nie przeważył szali, jednakże po raz pierwszy widać, że argumentacja z płci traci na znaczeniu i została zrównoważona argumentem z godności kobiety. Można mieć nadzieję, że to olśnienie zatoczy coraz szerszy krąg i stanie się konstatacją oczywistości.

Jeszcze poważniejszym argumentem, uderzającym w argument z płci, jest formuła dogmatu chalcedońskiego (451 r.). Mówi ona, że Jezus Chrystus jest „współistotny Ojcu co do Bóstwa i współistotny nam co do człowieczeństwa" (11), bez rozróżnienia na płeć. Uniwersalny i kategoryczny charakter tego stwierdzenia to coś więcej niż stwierdzenie, że Jezus „zjednoczył się jakoś z każdym człowiekiem" (GS 22). Ten argument również był dotąd nieobecny w toczącej się dyskusji.

Wreszcie warto przypomnieć, że jedyna, jak się zdaje, wypowiedź doktrynalna Kościoła na temat sakramentu święceń pochodzi z Soboru Florenckiego (1439-1442). Mówi ona, że skutkiem, jaki sakrament kapłaństwa niesie, jest „wzrost łaski" (łac. *augmentum gratiae*). Rodzi się pytanie, czy w kobiecie nie może dokonać się wzrost łaski. Nikt nigdy nie kwestionował, że kobieta może przyjąć łaskę chrztu i że w ten sposób zostaje włączona do ciała Chrystusowego (łac. *membra Christi*, Sobór Florencki, Sesja 8, p. 14a). ↦

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem dzielimy się wiadomością, że 3 lutego odeszła

nasza Koleżanka

Anetka Krystyna Podolecka

– serce i uśmiech działu obsługi widzów Narodowego Starego Teatru.

Anetko, pozostaniesz z nami w naszych sercach,
w naszej pamięci i uśmiechu Mateusza, Kuby, Julki i Antosia.

Koledzy i koleżanki z Narodowego Starego Teatru

eprasa.pl f21820d830

↦ Dlaczego zatem nie mógłby się dokonać w niej dalszy wzrost w łasce?

Komisja stwierdza, że „poglądy te [za święceniem kobiet – MR] często stoją w sprzeczności z Tradycją Kościoła katolickiego (i prawosławnego)". Ale obawy, że święcenia kobiet uniemożliwią dialog ekumeniczny z Kościołem wschodnim, rozwiała decyzja Prawosławnego Kościoła Aleksandryjskiego, w którym w 2024 r. pierwsza kobieta przyjęła diakonat według tego samego rytu co mężczyźni. Osłabia to również argumentację środowisk konserwatywnych, że nie powinno się ulegać światowym trendom równościowym.

Oczywiście możemy się spierać, czy wyświęcenie kobiety przez Kościół Aleksandryjski to *casus*, czy precedens i początek pewnego procesu. Tak samo jak o to, czy rzeczywiście chodzi o Tradycję, czy tylko ludzkie przyzwyczajenia.

GODNOŚĆ | W 2008 r. w „Tygodniku Powszechnym" ukazał się artykuł ks. prof. Alfonsa Skowronka „Nie ma mężczyzny ani kobiety" („TP" nr 30/2008). Autor postawił w nim śmiałą wówczas tezę, wedle której „powstrzymywanie kobiet od dostępu do tej służby nie jest do utrzymania na dłuższą metę, ponieważ nie liczy się z godnością kobiety, a ponadto nie daje się przekonywająco uzasadnić danymi biblijnymi". Zajmujący się tą problematyką, skupieni na argumentach historycznych i biblijnych, albo całkowicie ignorowali, albo nie dostrzegali siły zawartej w tej wypowiedzi ks. Skowronka. Albo byli nią olśnieni.

Skoro badania biblijne, patrystyczne i historyczne nie są rozstrzygające, to co jest przeszkodą do święceń kobiet?
Chyba tylko nieuznawanie ich godności.

Artykuł wywołał dyskusję toczącą się przez kilka następnych wydań, ale do dziś mamy w Kościele problem ze zrozumieniem, że rozstrzygająca jest właśnie godność kobiety. Nie potrzeba żadnych innych uzasadnień, dowodów, własności lub cech. Rozumiał to św. Paweł, zrozumiały Kościoły reformowane i anglikański, zrozumiał świat. Natomiast dla nas, katolików, nadal nie jest jasne, czy kobieta może reprezentować Chrystusa. Chyba że jest to reprezentowanie „dla posługi", którego kobieta jest godna.

Zresztą, postulaty dotyczące kapłaństwa i diakonatu kobiet pojawiły się niedługo po zmianach, jakich Sobór Watykański II dokonał w teologii sakramentu święceń. Wtedy to Paweł VI zlecił Papieskiej Komisji Biblijnej zbadanie zagadnienia. W raporcie końcowym z 1976 r. padły stwierdzenia, że Nowy Testament nie daje podstaw do definitywnego rozwiązania sprawy święceń kobiet, i że dane biblijne nie pozwalają wykluczyć takiej możliwości. Jeżeli dane biblijne, badania patrystyczne i historyczne nie są rozstrzygające, to powraca pytanie: co jest przeszkodą w drodze do święcenia kobiet? Czy nie kwestia nieuznawania ich godności?

PYTANIA | Jakie więc wnioski płyną z lektury syntezy? Brak jednoznacznego rozstrzygnięcia może mieć jeszcze inne podłoże niż „oswajanie się" z godnością kobiet. Na przykład brak pogłębionej teologii święceń. Kapłaństwo to chyba jedyny sakrament, który w ciągu dziejów Kościoła przechodził tyle zmian, uściśleń i korekt. Przy okazji publikacji syntezy wraca więc pytanie: czy „istnieją dwa stopnie uczestnictwa w kapłaństwie Chrystusa: episkopat i prezbiterat" (zob. KKK 1554), czy też są trzy stopnie, o których mówi się w syntezie? Dlaczego Katechizm Kościoła Katolickiego mówi, że „pojęcie *sacerdos* – kapłan – oznacza obecnie [podkreślenie – MR] biskupów i prezbiterów, a nie diakonów"? A jednocześnie ten sam Katechizm mówi, że również diakonat jest udzielany za pomocą aktu sakramentalnego nazywanego „święceniami".

Nie jest to jeszcze moment, by wznieść puchar na cześć sumienia i godności kobiet, ale znak, że sprawa wcale nie jest zamknięta.

A jeśli nawet *causa finita est*, to jedynie na tym etapie historii.

© MICHAŁ RYCHERT

Pełny tekst Podsumowania Komisji Studiów nad Diakonatem Kobiet w polskim tłumaczeniu znaleźć można na stronach **www.klubtygodnika.pl**

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **KATOWICE**, czwartek, 19 lutego, godz. 18.00, sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (Plac Rady Europy 1), rozmowa ks. Piotra Brząkalika i Jarosława Makowskiego o adhortacji apostolskiej Leona XIV, „»Dilexi te« – o miłości do ubogich, wszystkich ubogich".
- **WARSZAWA**, czwartek, 19 lutego, godz. 18.00, sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro), rozmowa z udziałem Natalii Wizimirskiej i Filipa Flisowskiego, „Jak nauczanie i postawa papieży wpływa na dialog ekumeniczny?". Prowadzenie Magdalena Macińska.
- **ZŁOTÓW**, czwartek, 19 lutego, godz. 18.00, klub osiedlowy „Siódemka" (ul. Szkolna 7), rozmowa wokół książki o arcybiskupie Alfonsie Nossolu „Miałem szczęście w miłości. Radość jednania", zbioru rozmów Krzysztofa Zyzika i Krzysztofa Ogioldy. Spotkanie w ramach cyklicznych spotkań Klubu.
- **KĘDZIERZYN-KOŹLE**, czwartek, 19 lutego, godz. 18.00, Klub Kameleon (ul. Dworcowa 1a, Kędzierzyn), spotkanie z Antoniną Palarczyk – reporterką wojenną piszącą dla „Tygodnika Powszechnego". Spotkanie współorganizowane z Klubem Kameleon.

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

eprasa.pl f21820d830

O. WACŁAW

Oszajca:
A Ja wam mówię...



Kłopoty z interpretacją Biblii to nic nowego. Wystarczy przeczytać jedno z wielu kazań Jezusa, by się o tym przekonać. Jedni, słuchając Jezusa, wpadali w zachwyt, drudzy pękali ze złości, a On, zamiast ich gniew rozbrajać, dolewał oliwy do ognia. Np. nazywał ówczesnych duchownych obłudnikami, potomstwem żmii, pobielanymi grobami. Najwyraźniej nie jest z tych, którzy boją się narazić. Chcąc Go oczernić, zarzucano Mu, że się zadaje z wszelkiego rodzaju degeneratami. Rzeczywiście, do nich miał serce, obchodził się z nimi łagodnie, w przeciwieństwie do tych z „pierwszych miejsc" w synagogach i na ucztach, których oskarżał o bezduszny rytualizm, pozwalający im wyzbyć się wszelkiej odpowiedzialności za cokolwiek i kogokolwiek. Mówi wprost, że porzucili przykazania na rzecz „zasad, które są wymysłem ludzi". To znaczy uzasadniają Pismem swoje niecne działania.

W świetle tego trudno Jezusa nazywać „słodkim Zbawicielem". Gdyby rzeczywiście był On taki słodziutki dla wszystkich, nigdy nie zawisłby na krzyżu. Pewnie to miał na myśli Leon XIV, gdy mówił, że poprawna interpretacja Biblii wymaga uwzględnienia kontekstu historycznego oraz rodzaju literackiego, jakim posłużył się autor piszący daną Księgę. Czytelnik nieliczący się z tymi wymaganiami będzie interpretował Biblię w sposób fundamentalistyczny, albo „czysto duchowy", odrywający Boga od świata. Ta wypowiedź papieża, nawiązująca do konstytucji dogmatycznej „Dei verbum", może być też przydatna do ożywienia trochę już zdrętwiałego ekumenizmu i np. teologii małżeństwa oraz mariologii. Wygląda bowiem na to, że co prawda interpretujemy Biblię, ale na odwyrtkę. To znaczy na teksty biblijne patrzymy przez doktrynę. Żeby się o tym przekonać, wystarczy przyjrzeć się dwóm cytatom.

„Zbudziwszy się Józef ze snu, uczynił jak nakazał mu zwiastun Pana i przyjął żonę jego. I nie poznawał jej [nie współżył], aż urodziła syna". I drugi: „Powiedziane zostało zaś: Który by oddalił żonę jego, niech da jej dokument rozwodu. Ja zaś mówię wam, że każdy oddalający żonę jego, poza sprawą rozpusty, czyni ją scudzołożoną: i który oddaloną poślubiłby, cudzołoży". Warto się zastanowić: jak się te cytaty mają do sporów mariologicznych z protestantami i o ważność małżeństwa z prawosławnymi? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Bankructwo i zysk



Zawsze mam kłopot, kiedy w kościele proklamowana jest ta Ewangelia: opowiadanie o śmierci Jana Chrzciciela (zob. Mk 6, 14-29). Moja pierwsza reakcja mówi mi, że to stanowczo nie jest „Dobra Nowina". To zła nowina o Herodiadzie i o Salome, o uczestnikach tamtej uczty, bardzo zła o Herodzie: „Proś mnie, o co chcesz, a dam ci (...) Dam ci, o cokolwiek poprosisz, nawet połowę mojego królestwa" – mówił Herod do tancerki (Mk 6, 22-23). Jakże głęboko się mylił! Chciał jej zapłacić za taniec połową królestwa; a zapłacił całym swoim sumieniem, które jeszcze przed chwilą dawało mu znać o sobie („ilekroć posłyszał Jana, odczuwał duży niepokój, a jednak chętnie go słuchał"; w. 20). Co chciał zyskać? „Co za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?" (Mt 16, 26).

Tak. Tego dnia Herod zbankrutował! Całkowicie. A Jan? By przeczytać los Jana, trzeba pamiętać, że opowiadanie o jego śmierci zaczyna się od pytania o Jezusa: Kim jest Jezus? Herod twierdzi, że zmartwychwstałym Janem; inni mówią, że to Eliasz; jeszcze inni, że „któryś z dawnych proroków" (w. 14-16). Żeby zrozumieć los Jana, trzeba wiedzieć, kim jest Jezus! Trzeba Go znać jako paschalnego Pana – Tego, który umarł i zmartwychwstał, i ze środka swojej Paschy posyła nam Ducha Świętego. Ta wiara pozwala nam najpierw zobaczyć śmierć Jana jako narodziny. Ewangelia mówi wyraźnie, że był to dzień urodzin – Heroda, to prawda, ale w znacznie większym stopniu dzień urodzin (*dies natalis*) Jana. Jan się urodził tego dnia do życia wiecznego! Co więcej: swoim męczeństwem dał Jezusowi ostateczne świadectwo – nie tylko tego, że jest Mesjaszem, ale również tego, jakim jest Mesjaszem. Że jest Mesjaszem ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym.

Śmierć Jana ma też wymiar misyjny: jej opis poprzedza opowiadanie o wysłaniu Dwunastu na misję, a po nim następuje fragment opowiadający o ich powrocie: „zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co zdziałali i czego nauczali" (Mk 6, 30). Owoce ich misji wyrosły z posiewu krwi Jana. Stał się on jak „ziarno, które – obumarłszy – przynosi plon obfity" (por. J 12, 24). Oto jak Pan odwraca – a raczej ustanawia właściwy – porządek spraw: Herod bankrutuje, a Jan pomnaża kapitał. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl f21820d830

HISTORIA

OD GRZECHU DO CHOROBY

U progu XX w. pijaństwo przestało być na ziemiach polskich sprawą indywidualną, a stało się publiczną, narodową. Co się wtedy zdarzyło?
Jak rodzące się ruchy antyalkoholowe uzasadniały potrzebę trzeźwości?

ADAM WOŹNIAK

Był 15 października 1866 roku. Dwudziestoletnia Brygida C., z zawodu służąca, od dłuższego już czasu stała w progu, wyglądając narzeczonego imieniem Grześko. Ten wyszedł do miasta i podejrzanie długo nie wracał.

Znużona i zazdrosna, dziewczyna trzasnęła wreszcie drzwiami i poszła tam, gdzie mogli szukać pocieszenia ówcześni chłopi. W karczmie widziano ją, jak powiedzą potem świadkowie, „zdrową" i „pijaną". Taką musiał ją zastać również zbłąkany Grześko, gdy wracając do domu, również i on zahaczył o gospodę.

Świadkowie zeznali, że rozmowa zakochanych przerodziła się w kłótnię. Brygida zarzuciła chłopcu, że ma kochankę i wściekła wyszła z karczmy. W domu żaliła się na swój los, co nie przyniosło chyba ulgi, bo po chwili dziewczyna chwyciła „blaszaną kwartę" i poszła dokupić wódki.

Kilka godzin później, zupełnie już pijana, wdała się w kolejną awanturę z Grześkiem – znów zarzuciła mu zdradę. W zamian otrzymała kilka ciosów „paliczką przez plecy".

Stajenni zeznali, że wieczorem, skruszony bądź przestraszony Grześko „dopytywał się" o Brygidę i szukał jej, lecz bez skutku. Jej ciało znaleziono nad ranem. Nie nosiło śladów „zewnętrznego gwałtu". Było niemal pewne, że młoda kobieta zapiła się na śmierć.

ŚMIERTELNE ŻNIWO | Historia ta przetrwała jako jeden z wielu „przypadków sądowo-lekarskich", które chętnie publikowała branżowa prasa medyczna z drugiej połowy XIX w. („Przegląd Lekarski", wydawany od 1862 r. w Krakowie, nie sprecyzował, gdzie miała ona miejsce).

Nie trzeba długiej kwerendy, by zorientować się, że spora część takich „przypadków" dotyczyła ludzi podobnych do Brygidy – chłopek i chłopów, uzależnionych od alkoholu.

W tamtym czasie na ziemiach polskich pod zaborami gospodarka oparta na produkcji gorzałki oraz na wlewaniu jej – dosłownie lub w przenośni – włościanom do gardeł, zbierała już obfite i śmiertelne żniwo.

Nie umykało to uwadze specjalistów. Już w latach 60. XIX w., mimo skąpych danych statystycznych, lekarze i społecznicy zaczęli dostrzegać związek między spożyciem alkoholu a degeneracją społeczeństwa, zwłaszcza ludu.

Z początku w ich rozważaniach próżno by jednak szukać pozytywistycznych nowinek z Zachodu. Dominowała stara perspektywa religijno-oświeceniowa. Jeśli więc ktoś (jak autorzy „Przeglądu Lekarskiego" z 1865 r.) pochylał się nad przyczyną krótkiego życia galicyjskiego chłopa, to zwykle uznawał, iż „nadużycie gorzałki" jest mniejszym problemem niż „ciemnota i zabobon" – i nie zastanawiał się nad ekonomiczną kalkulacją strat wynikających z picia.

ODKRYCIE CHOROBY | Wprawdzie od przełomowych w tym względzie publikacji Magnusa Hussa – lekarza ze Szwecji, który w połowie XIX w. jako pierwszy doszedł do wniosku, że permanentne upijanie się to choroba – minęło już kilkanaście lat. Jednak na ziemiach polskich alkoholizm był wciąż postrzegany bardziej jako grzech niż choroba. I raczej jako sprawa prywatna niż problem, który wpływa na kondycję całej wspólnoty.

Siłą rzeczy walczyli z nim zatem głównie duchowni. Przekonywali, że pijaństwo zamyka drogę do nieba, jest przyczyną naruszenia przykazań czy też impregnuje wiejskie chaty na „promienie cywilizacji chrześcijańskiej".

W podobnym tonie wypowiadali się świeccy badacze i aktywiści. Np. krakowski poeta Władysław Anczyc zaczynał antyalkoholową pogadankę od swojskiego „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Z kolei zaznajomiony z zachodnimi nowościami inżynier Karol Falewicz wśród przyczyn alkoholizmu wymieniał także „brak religii".

Przełom – czyli unowocześnienie i laicyzacja myślenia o nadużywaniu alkoholu – nastąpił na ziemiach polskich dopiero w dwóch ostatnich dekadach wieku XIX.

„ARMIA KOMUNY" | Na ślad tego procesu można trafić, przeglądając... „Encyklopedię kościelną" z 1893 r. Pod hasłem „pijaństwo", oprócz uwag o charakterze religijnym, znajdujemy tu wzmianki o „nowoczesnym alkoholizmie", który ma być dziedzicznym „stanem chorobowym". Oraz problemem społecznym, przyczyniającym się do marnotrawstwa potencjału produkcyjnego, a nawet zwiększającym ryzyko rewolucji („armia butelki to będzie armia komuny").

Skąd ta zmiana perspektywy? Otóż w ciągu kilku dekad na ziemiach polskich

eprasa.pl f21820d830



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE X2

Objazdowa wystawa Okręgowego Związku Kas Chorych w Krakowie, okres międzywojenny.



Pochód Polskiego Towarzystwa Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość" w Warszawie, 1934 r.

popularne stały się metody statystyczne. Do świadomości elit przebiły się zaś medyczne spojrzenie na alkoholizm, teoria Darwina i inne osiągnięcia genetyki. Podążając za modą na ekonomię polityczną, publicyści co rusz przeliczali wypitą wódkę na zmarnowane dniówki, a zmarnowane dniówki uznawali za przyczynę klęsk historycznych i nadchodzących.

Słowem, w okolicy 1880 r. zaczyna się proces medykalizacji problemów społecznych i uwspólnotowienia problemów medycznych. Będzie on trwał bez zakłóceń aż do czasu, gdy obie te perspektywy skompromituje polityka III Rzeszy. Dla nowoczesnych działaczy antyalkoholowych Brygida C. nie będzie już zatem grzesznicą, lecz społecznym nieużytkiem lub – w radykalnej wersji – patogenem społecznym, którego rozmnażanie grozi epidemią.

DLA DOBRA NARODU | To, co stare, poszło zarazem w odstawkę. Na początku wieku XX autorzy broszur wprost odżegnywali się więc od „starożytnego" religijnego pojęcia indywidualnej ascezy. Wartościowa abstynencja miała być teraz ofiarą na rzecz przyszłych pokoleń, cegiełką do narodowej potęgi, a nawet krokiem ku odzyskaniu niepodległości, a nie kaprysem jednostki.

Taki był w każdym razie plan nieuleczalnie romantycznych pozytywistów, którzy zyskiwali wpływy w pierwszych dwóch dekadach XX stulecia.

Niedługo przed zakończeniem I wojny światowej Tomasz Janiszewski (późniejszy minister zdrowia II RP) przekonywał, że odpowiedzialny lekarz powinien traktować swoich pacjentów jako „cząstki zbiorowości tworzące społeczeństwo", a nie „jednostki w znaczeniu indywidualizmu".

W tym czasie krakowski neurolog i filozof medycyny Henryk Nusbaum dowodził, że po odkryciach Darwina nie można już uznawać człowieka za „listek samoistny" czy „cel sam w sobie", bo jest on istotą, która „żyje i pochłania światło po to, aby żyło i rozwijało się drzewo" (tj. naród czy ludzkość).

HULAKA NEOFITA | Choć z dzisiejszej perspektywy może wydać się to absurdalne, to ówcześni lekarze i społecznicy całkiem serio wierzyli, że ludzie będą w stanie nie pić alkoholu lub zrezygnować z reprodukcji własnych genów tylko po to, aby za 20 lat Polacy nie polegli w wojnie z narodem, który prowadzi się lepiej od nich.

Najbardziej oryginalnym wśród wyznawców podobnych idei był chyba Augustyn Wróblewski, krakowski docent chemii, znany przeciwnik Kościoła i anarchista (w młodości zesłany do Azji przez carat za działalność podziemną). W latach 1900-1913 założył on kilka pism krzewiących czystość seksualną i abstynencję od alkoholu. Angażował się też w działalność stowarzyszenia abstynenckiego „Eleuteria", założonego przez Wincentego Lutosławskiego.

Nowych członków zakonu trzeźwości chciał przyciągać nie tylko aurą światowca i buntownika, lecz także kombatancką legendą byłego hulaki. „Nie myślcie panowie – powiadał w trakcie jednej z pogadanek z młodzieżą – abym mówiąc o zepsuciu moralnym stawał przed wami jako laik". Potem bez zażenowania opowiadał o swoim młodzieńczym pijaństwie, seksie z prostytutkami, romansie z żoną przyjaciela i innych sprawach ze swego życia, o których słuchacze być może woleliby nie wiedzieć. ↦

eprasa.pl f21820d830



ARCHIWUM PAŃSTWOWE W LUBLINIE

Plakat Polskiej Ligii Przeciwalkoholowej z 1928 r.

↦ **KOSZTY PICIA** | Wygląda na to, że wokół Wróblewskiego gromadziło się więcej podobnych mu neofitów – teksty zamieszczane w jego pismach bywały bowiem skrajnie radykalne, a przy tym nieznośnie patetyczne. Abstynencję zwano tu „obowiązkiem patriotycznym", co i rusz wspominano o „sztandarze trzeźwości", a wierzących w „przyszłe życie narodu" wzywano do świeckiego rachunku sumienia. Chodziło chyba o to, aby szary Kowalski zaczął spowiadać się z picia także przed „duchem narodu".

W późniejszych latach dominować będą już działacze antyalkoholowi twardziej stąpający po ziemi (chciałoby się rzecz: trzeźwiej). Tacy, którzy skrupulatnie wyliczali koszty picia, przekonując jednocześnie, że praca włożona w produkcję alkoholu jest tak naprawdę antypracą, bo ostatecznie przyczynia się do destrukcji, a nie pomnażania kapitału (ludzkiego). Bardziej nowocześnie się nie da!

W tym miejscu można by powtórzyć, że na początku wieku XX alkoholizm stał się problemem medycznym, ekonomicznym i kolektywnym, a nie kwestią prywatną i religijną. Całe szczęście nowoczesność to zwykle *work in progress* – niedokończony projekt, deklaracja świeckości spisana w istocie na kartach Biblii.

KARA ZA OJCÓW | Tak było również w przypadku działaczy antyalkoholowych i kół abstynenckich z lat 1900-1939. Przyglądając się tekstom, które po nich pozostały, łatwo dostrzec, że – podobnie jak dzisiejsze koła z ruchu anonimowych alkoholików – nie potrafili się oni obejść bez jakiejś transcendencji, „siły wyższej", czegoś trwalszego niż człowiek, przed czym można by się rozliczyć z podjętego wyzwania.

Mimo szumnych deklaracji z myślenia działaczy nie zniknęły więc wcale metafizyczne odniesienia. W porównaniu z wiekiem XIX zmieniła się tylko ostateczna instancja – miejsce Boga zajęła wspólnota polityczna, rozumiana jako „synonim świętości" czy „pojęcie wprost religijne".

Ówczesne koła abstynenckie wykształciły też własną parareligijną eschatologię. Nagrodą dla wytrwałych w trzeźwości miało być wieczne (choć nieświadome) trwanie w nieskończonej puli genów lub geopolityczne zbawienie. Karą – kolektywna apokalipsa.

W broszurach z lat 20. XX w. często powtarzały się więc przestrogi dotyczące genetycznej „kary za picie ojców do trzeciego i czwartego pokolenia" i wyliczenia narodów, które wyginęły wskutek nadużywania alkoholu: Rzymian, Indian, Hotentotów, Trojan, Babilończyków. Z „opilstwem" wiązano też upadek carskiej Rosji i I Rzeczypospolitej, która miała zapłacić najwyższą cenę za brak troski o kondycję „rasy".

ŚWIĘCI ABSTYNENCI | Inna sprawa, że działacze antyalkoholowi potrzebowali religijnych pojęć i struktur organizacji, bo były one sprawdzone i doskonale znane potencjalnym członkom. Pewnie dlatego wiele wewnętrznych regulaminów przybierało postać trzeźwościowego Dekalogu, a coniedzielne spotkania członków – trochę jak msze lub dzisiejsze mitingi AA – miały odbywać się „wedle raz na zawsze ustalonego porządku, co wprowadza do obrad wielki ład i nastrój uroczysty".

W pewnym sensie członkowie tych wspólnot przypominali wczesnych chrześcijan – namiętnie spierano się o doktrynę, rytuały i zasady włączania nowych członków do wspólnoty. Naśladując strategie Kościoła katolickiego, organizacje abstynenckie wskazywały też swoich świętych – z jakiegoś powodu szczególnie upodobano sobie Kazimierza Jagiellończyka („święty ten młodzian życie całe pozostał abstynentem") czy Joannę D'Arc.

Czasem życie członka organizacji miało przypominać niemal życie zakonne – przebywanie w zgromadzeniu wymagało „nadzwyczajnej karności", przestrzegano, że śluby alkoholowe powinny być „wstrząsem moralnym, który może zmienić całkowicie życie".

Zdaniem wielu, w czasach II RP polskie ruchy alkoholowe znalazły się w „stadium apostolstwa", co wymagało od trzeźwiejących ludzi aktywnej „ewangelizacji", a nie tylko pasywnego niepicia.

ZANURZONE W HISTORII | Problem w tym, że najczęściej niewiele z tego wszystkiego wynikało. Idee kół abstynenckich nie imały się świadomości mas, a wzrosty lub spadki konsumpcji alkoholu w II RP związane były przede wszystkim z sytuacją gospodarczą.

W 1929 r. na łamach „Młodzieży Abstynenckiej" ukazało się znamienne sprawozdanie lokalnego działacza, który żalił się, że na ostatnim spotkaniu „publika nie dopisała, a to dlatego, że uroczystość ta była w szkole urządzona i bez alkoholu w bufecie".

Z kolei w pamiętnikach chłopów czy bezrobotnych z czasów wielkiego kryzysu ekonomicznego lat 30. abstynencja traktowana jest raczej jako wymuszona oszczędność, niż ofiara na rzecz czegokolwiek (poza własnym portfelem). Chcąc zobrazować skalę biedy, jeden z autorów wspomina, że we wsi „nie ujrzysz już, poza sekretarzem, pijanego człowieka".

Historia dawnych ruchów antyalkoholowych wydaje się przy tym dobitnym przykładem tego, jak ludzkie myślenie zanurzone jest w historii. Sto lat temu pomysł zapośredniczenia relacji pijących z własnym ciałem przez idee patriotyczne był dla wielu tak samo racjonalny, jak dziś skierowanie uzależnionego do psychologa.

Czy za sto lat nasze zaufanie do psychoterapii wyda się komuś równie kuriozalne? Na razie trudno to sobie wyobrazić. © ADAM WOŹNIAK

eprasa.pl f21820d830

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami,
nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl f21820d830





MATERIAŁY PRASOWE X3

Homo floresiensis, 60-100 tys. lat (hobbit z Flores)

Czaszka z Harbinu, 140-300 tys. lat (linia denisowian)

JAK SIĘ PORÓŻNILIŚMY

Kilkaset tysięcy lat temu rodzaj ludzki był niemal tak zróżnicowany jak w tolkienowskim Śródziemiu. Jak do tego doszło? Nie wiemy, a najnowsze badania wskazują na sprzeczne scenariusze.

ŁUKASZ KWIATEK

Najpewniejszą wiedzę o ewolucji człowieka czerpiemy z kości i genów. Znalezione części szkieletu i czaszki paleoantropolodzy oceniają pod kątem cech morfologicznych. Zakładamy, że im bardziej jeden okaz przypomina inny, tym większe było pokrewieństwo między osobnikami, po których te skamieniałości zostały. Ta najbardziej oczywista metoda ma ograniczenia, ponieważ podobieństwa fizyczne mogły pojawić się także u mniej spokrewnionych istot z przyczyn takich jak zbliżony styl życia czy podobne warunki środowiskowe.

Analizy genetyczne dostarczają pewniejszych dowodów na pokrewieństwo między dwoma osobnikami, ale materiał genetyczny nie zachowuje się dobrze w skamieniałościach. Rzadko udaje się go wyizolować z kości liczących więcej niż dziesiątki tysięcy lat, podczas gdy początki rodzaju ludzkiego sięgają 2,5-3 mln lat wstecz (to wtedy nasi przodkowie zaczęli się odróżniać od innych dwunożnych małp chodzących wówczas po tych samych terenach Afryki, co oni). Istnieje zatem długi okres naszej ewolucyjnej historii, o którym możemy wnioskować głównie po wyglądzie skamieniałości, ich wieku i rozkładzie geograficznym.

Inna rzecz, że nie potrzebujemy dużych części szkieletu, by pozyskać DNA. Czasem wystarczy szczęśliwie zachowany w zamarzniętej ziemi kawałeczek maleńkiej kosteczki, której morfologia nie powiedziałaby nam niczego o ewolucji człowieka, by na podstawie wyizolowanych stamtąd sekwencji genetycznych odkryć nieznany wcześniej gatunek.

W obu przypadkach jesteśmy uzależnieni od znalezisk – jeśli brakuje kości do badań z jakiegoś okresu lub regionu, to w naszej wiedzy na temat ewolucji człowieka pojawiają się dziury. Największa z nich zionie obecnie w samym środku naszej ewolucyjnej historii i dorobiła się nazwy „mętliku środkowego plejstocenu" (co po angielsku brzmi jak tytuł piosenki rockowej: *muddle in the middle*).

W ostatnim czasie dwie grupy paleoantropologów, po badaniach skamieniałości liczących przeszło 700 tys. lat oraz ok. miliona lat, znalezionych w dwóch różnych częściach świata, spróbowały tę dziurę nieco zasypać. Choć raczej udało im się ją pogłębić.

Trzy linie genów

Cofnijmy się najpierw o 100 tys. lat. Ludzkość wygląda wówczas trochę jak w powieściach Tolkiena – w Europie, Azji i Afryce występuje kilka różniących się od siebie populacji. W Europie, na Bliskim Wschodzie i w zachodniej Azji od kilkuset tysięcy lat dominują neandertalczycy – umięśnieni, krępi, posiadający stosunkowo krótkie ręce i duże głowy z niewielkimi czołami i potężnymi wałami nad oczodołami.

W Azji Środkowej i Wschodniej żyją denisowianie, o których do niedawna nie wiedzieliśmy zbyt wiele. Dowody na ich istnienie najpierw znaleźliśmy w materiale genetycznym wydobytym z kawałka kości palca znalezionego w Jaskini Denisowej (zawdzięczającej swoje imię XVIII-wiecznemu pustelnikowi) w górach Ałtaj w środkowej Azji.

eprasa.pl f21820d830

Dziś wiemy o nich nieco więcej, ponieważ w ostatnich latach kilka skamieniałości różnie klasyfikowanych czaszek – np. jako *H. longi* – powiązano z genami denisowian. Przyjmuje się więc, że to różne określenia na tę samą linię ewolucyjną. Były wśród nich największe znane ludzkie czaszki – dlatego wiemy, że denisowianie, jak na nasze standardy, mieli wielkie głowy.

Na wyspach Indonezji (z pewnością na Flores), a być może również na Filipinach, żyją hobbici – skarłowaciali ludzie o małych mózgach i groteskowo dużych stopach.

H. sapiens, czyli przedstawiciele naszego gatunku, 100 tys. lat temu mieszkają w Afryce i co jakiś czas wyprawiają się na Bliski Wschód i do Europy. Już wówczas są do nas fizycznie bardzo podobni. Ok. 60 tys. lat temu grupa naszych przodków wyruszy z Afryki i dość szybko zastąpi wszystkich dotychczasowych mieszkańców innych regionów, a potem dotrze tam, gdzie nigdy wcześniej nie postała ludzka stopa – do Australii i Ameryk.

O tym wszystkim (z pominięciem nadal dość tajemniczych dla nas hobbitów) wiemy sporo. Duża liczba skamieniałości młodszych niż 100 tys. lat, a także badania genetyczne dawnych oraz współczesnych populacji pozwalają zrekonstruować szlaki ludzkich migracji i spotkań przedstawicieli różnych grup, które skutkowały przepływem genów. Do dzisiaj nosimy ślady tych międzygatunkowych romansów – u Europejczyków neandertalskie dziedzictwo wynosi ok. 1-2 proc., podczas gdy Azjaci, zwłaszcza dalekowschodni, mają nawet do 4-6 proc. genów denisowian.

Problemy z naszym rozumieniem ewolucji człowieka zaczynają się wcześniej. Skąd na trzech kontynentach wzięły się różne grupy ludzi: *H. sapiens*, neandertalczycy i denisowianie? Jak i kiedy doszło do tego, że jedna populacja, złożona z przodków tych wszystkich ludzi, rozdzieliła się na przynajmniej trzy odrębne linie, które po trwającej kilkaset tysięcy lat względnej izolacji reprodukcyjnej znowu się skrzyżowały? Dlaczego niedługo potem dwie z nich nagle wygasły?

Rozpad organiczny

Cała ta historia z pewnością nie wyglądała jak w micie o Lechu, Czechu i Rusie, którzy celowo rozdzielili się i zajęli osobne terytoria. Populacja źródłowa dla *H. sapiens*, neandertalczyków i denisowian zapewne rozpadała się organicznie: stopniowo zajmowała coraz większe obszary i dzieliła się na subpopulacje, między którymi przepływ genów stawał się coraz rzadszy. Z czasem każda z tych grup dostosowywała się do nieco innych warunków środowiska, co skutkowało narastającymi różnicami w genomach i cechach fizycznych.

Prawdopodobnie nie był to jednorazowy rozpad na trzy gałęzie. Dane genetyczne sugerują, że neandertalczycy i denisowianie byli ze sobą bliżej spokrewnieni niż *H. sapiens* z każdą z tych grup. Dlatego wydaje się, że najpierw doszło do podziału na dwie linie: „naszą" oraz neandertalsko-denisowiańską – która dopiero później również się rozpadła. Przeprowadzone w ostatnich kilku latach analizy genetyczne szacowały czas tych wydarzeń, choć z dużym marginesem niepewności, na kolejno ok. 500–700 tys. lat i 380–450 tys. lat. Te analizy nie mogą być superdokładne – opierają się bowiem na przyjęciu pewnego tempa pojawiania się kolejnych mutacji genetycznych, którego nie możemy być pewni.

Większość badaczy przyjmuje, że miejscem życia dla tej źródłowej populacji *H. sapiens*, neandertalczyków i denisowian była Afryka – choć w teorii nie musiało tak być. Gdybyśmy cofnęli się o ok. 2,5 mln lat, to niemal na pewno (wczesnych) ludzi spotkamy wyłącznie w Afryce. Przynajmniej 1,8 mln lat temu człowiek (*H. erectus*) pojawia się już jednak w Eurazji. I choć wiemy, że potem z Afryki na Bliski Wschód raz po raz napływać będą kolejni przybysze (którzy zastępowali poprzednich mieszkańców lub się z nimi mieszali), co podkreśla znaczenie tego kontynentu w naszej ewolucyjnej historii, to nie ma jednoznacznych dowodów na to, że do rozejścia się tych trzeci linii ewolucyjnych nie doszło np. na Bliskim Wschodzie czy w Azji Środkowej.

Czaszka z Jabel Irhud, 300 tys. lat (wczesny Homo sapiens)



Taki scenariusz jest jednak nieco bardziej zawiły (przodkowie wszystkich trzech linii musieliby wyjść z Afryki, gdzie potem wróciliby przodkowie *H. sapiens* – by część z nich znowu opuściła Afrykę i skolonizowała resztę świata), a przy braku rozstrzygających dowodów za jakimś scenariuszem paleoantropolodzy preferują prostsze wyjaśnienia.

Problem polega jednak na tym, że otrzymujemy nieco inną historię do opowiedzenia, jeśli zamiast genom przyjrzymy się podobieństwom anatomicznym między skamieniałościami.

Co mówią kości

We wrześniu 2025 r. zespół chińskich badaczy pod kierunkiem Xiaobo Fenga, we współpracy z Chrisem Stringerem z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie opublikował wyniki analiz czaszki Yunxian 2 i jej porównań z innymi skamieniałościami. Znaleziono ją przeszło 30 lat temu, ale była w mizernym stanie, z mocno zniekształconym układem kości. Nowe badanie polegało na cyfrowej rekonstrukcji jej oryginalnego wyglądu i przyjrzeniu się stworzonemu modelowi na tle całej kolekcji innych znanych i drobiazgowo pomierzonych czaszek.

Wiek Yunxian 2 szacuje się na ok. milion lat – a więc sporo przed przyjmowanym dotąd czasem rozejścia się trzech interesujących nas linii ewolucyjnych. Mogła mieścić mózg o objętości ok. 1,15 litra, co nie wyróżnia jej na tle innych znanych europejskich, afrykańskich i azjatyckich czaszek pochodzących z tego okresu (większość z nich tradycyjnie klasyfikuje się jako *H. erectus*). W badaniach nie brano jednak pod uwagę wyłącznie wielkości mózgu – autorzy wyznaczyli przeszło 500 cech anatomicznych, pod względem których porównano Yunxian 2 ze 179 innymi czaszkami – a następnie pogrupowano te wszystkie okazy pod kątem największego podobieństwa. I wtedy zrobiło się interesująco.

Wyniki ułożyły się w trzy linie ewolucyjne – związane z *H. sapiens*, neandertalczykami i denisowianami – ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ które rozdzielają się już przeszło milion lat temu. Mówiąc precyzyjniej: według tych badań unikalne cechy anatomiczne, które z czasem wybrzmią wyraźnie w tych trzech liniach rozwojowych człowieka, zaczynają się pojawiać już tak wcześnie w naszej ewolucyjnej historii.

Co jeszcze bardziej interesujące, według tych analiz najpierw (ok. 1,3 mln lat temu) doszło do oddzielenia się linii neandertalskiej od tej prowadzącej do *H. sapiens* i do denisowian, których z kolei okres rozejścia się oszacowano na ok. milion lat temu. A to wnioski sprzeczne z tym, co sugerowały analizy genów (zarówno gdy idzie o czas, jak i kolejność rozejścia się linii ewolucyjnych).

Co więcej, ok. 950-770 tys. lat temu na północy Hiszpanii występowała populacja określana jako *H. antecessor* – a w tej samej analizie skamieniałości *H. antecessor* okazały się najbardziej przypominać skamieniałości z linii denisowian. Czyli te, które pojawiły się niemal na drugim końcu świata. To by sugerowało, że przodkowie denisowian i *H. antecessor* ok. miliona lat temu rozdzielili się na dwie grupy, z których jednej ślady odnajdujemy w Hiszpanii, a drugiej – w centralnej Azji. I dopiero potem od tej azjatyckiej linii (czyli od denisowian) oddzieliła się populacja, z której wywodzi się *Homo sapiens*.



MATERIAŁY PRASOWE

Czaszka z La Chapelle, 50-60 tys. lat (linia neandertalczyków)

Większość badaczy zakłada, że wspólny przodek *H. sapiens*, neandertalczyków i denisowian żył w Afryce. **Ale nie musiało tak być.**

Linia neandertalska miałaby oddzielić się od pozostałych populacji jeszcze wcześniej. A przecież najstarsze skamieniałości bezsprzecznie klasyfikowane jako neandertalczycy pochodzą z Hiszpanii sprzed ok. 400 tys. lat – i to dokładnie z tego samego wzgórza Atapuerca pod Burgos, na którym znaleziono skamieniałości *H. antecessor*... Czy ktoś jeszcze rozumie, co to wszystko znaczy?

Zagadka hobbitów

Do jeszcze innych wniosków na temat okresu i kolejności rozdzielania się trzech linii ewolucyjnych człowieka doszedł w styczniu tego roku kolejny zespół paleoantropologów, na czele z Jeanem-Jacques'em Hublinem. Przebadali oni skamieniałości z Grotte à Hominidés pod Casablancą w Maroku, datowane na ok. 770 tys. lat. Zaliczyli je do linii rozwojowej *H. sapiens*, od której, ich zdaniem, wcześniej oddzieliła się linia neandertalsko-denisowiańska. Z tych badań wyłania się więc scenariusz, który bardziej przypomina ten stworzony na podstawie badań genetycznych – głoszący, że denisowianie są bliżej spokrewnieni z neandertalczykami niż z nami. Choć i w przypadku tych badań do rozdzielenia się trzech interesujących nas populacji miałoby dojść wyraźnie wcześniej, niż sugeruje to genetyka.

Cała historia jeszcze bardziej się skomplikuje, gdy weźmiemy pod uwagę inne populacje człowieka zamieszkujące świat w ciągu ostatnich setek tysięcy lat – a które prawdopodobnie nie mają bezpośredniego związku z *H. sapiens*, neandertalczykami i denisowianami, choć występowały na tych samych terenach.

Jedną z nich są wspominani już hobbici, których analiza dokonana przez zespół z Chin i Christa Stringera plasuje w sporej odległości od *H. sapiens*, neandertalczyków i denisowian. Linia hobbitów mogłaby się oddzielić od „naszej" nawet 1,7 mln lat temu – mniej więcej, gdy pierwsi ludzie weszli do Eurazji. Jeszcze wcześniej, ponad 2 mln lat temu, według tych badań od reszty ludzi oddzielili się *H. naledi* – dziwaczny gatunek człowieka, o mózgach o połowę mniejszych niż nasze oraz małpich ramionach i dłoniach, który wyglądał trochę tak, jakby żałował zejścia z drzewa (albo nie całkiem zadomowił się na ziemi), znany wyłącznie z jednego miejsca na świecie – Jaskini Wschodzącej Gwiazdy w RPA – i datowany na ok. 235-335 tys. lat.

W gruncie rzeczy w historii Ziemi mogło współwystępować jeszcze więcej różnorodnych form człowieka niż w tolkienowskim Śródziemiu.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

POŻEGNANIE

W głębokim smutku zawiadamiamy, że dnia 3 lutego 2026 roku,
przeżywszy lat 81, odeszła

Ś.† P.

Genowefa Zań-Ograbek

Najukochańsza Mama, Siostra, Babcia, Ciocia i Przyjaciółka

historyk sztuki, wieloletni Konserwator Miasta Krakowa,
odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim
Orderu Odrodzenia Polski za działania na rzecz ochrony zabytków.

Dobry Człowiek o niezwykłej sile charakteru i serca.

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w piątek,
dnia 13 lutego 2026 roku o godzinie 11.00
w kaplicy na cmentarzu w Borku Fałęckim w Krakowie, po czym nastąpi
odprowadzenie ciała Zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku
o czym zawiadamiają

Córki Agata, Łucja i Joanna z Rodzinami

eprasa.pl f21820d830

ELIZA

Kącka: *Posiadamy atrakcje*



Tramwaj 16, jazda ze Stawek. Siadam z plecakiem przy oknie, na sąsiednim stawiam torbę. Zgęszcza się przy Nowolipkach, komasuję się na jednym siedzeniu. Wchodzi gość kiele sześćdziesiątki z małym plecaczkiem. Plecaczek sadza obok mnie, sam dosiada się do kobiety we wnęce sąsiedniej. Ludzi coraz więcej, popatrują niechętnie na plecaczek, ale właściciel nie reaguje. Łapię spojrzenia winiące mnie za tę grandę. Pewno moje. Wchodzi człowiek o kulach. Drgnęłam, drgnął i właściciel plecaczka. Wychyla się ku wspartemu na kulach: „Może pan usiąść na moim drugim siedzeniu". „E?". „Mój plecak tu siedzi, ale mogę puścić". „Wysiadam zaraz". Kobieta z siatką, podenerwowana: „Ja skorzystam". Plecaczkowy sceptycznie, na spowolnieniu: „Nie. Pani nie".

A i list mailowy się czasem dostanie z ofertą zastanawiającą: „Szanowna Pani, ów mail znaleźliśmy w sieci. Zakładamy że, należy on do osoby odbierającej posążek Nike. Chcemy oferować. Zaproszeni faktem że, posiada Pani język proponujemy współpracę reklamową przy naszych planach. Jesteśmy na etapie transformacji z zakładu pogrzebowego na zakład spokojnej starości. Z racji mniejszej konkurencji w regionie oraz nabytej nieruchomości. Nasza propozycja nie opiewa na duże pieniądze, lecz posiadamy atrakcje. Prosimy by napisała Pani kilka haseł zachęty do korzystania z naszych usług. Bardzo chętnie kupimy życiowy aforyzm zawierający naszą nazwę z Pani podpisem i symbolem posążka Nike. Chcielibyśmy użyć Pani profesjonalizm do większej sprzedaży i mamy nadzieję że, uruchomi Pani talent.

Proponujemy Pani napisanie na próbkę dziesięć haseł do wykorzystania w obu zakładach (pierwszy zamkniemy za dwa miesiące). Planujemy również ogłoszenie klepsydry specjalnej z zamówionym od Pani spersonalizowanym aforyzmem lub modlitwą i symbolem Nike w rogu. Poza podzieleniem się dorobkiem proponujemy Pani tygodniowy pobyt w pięknym krajobrazie, na piętrze naszej nowej nieruchomości. Na parter planujemy już rekrutować seniorów, ale dostanie Pani osobny dostęp. Uprzedzamy że, jeśli wybierze Pani kwiecień, to na części piętra będą jeszcze tablice pogrzebowe i pozostałości starego zakładu, ale jeden pokój z łazienką powinien być zupełnie sprzątnięty. Mamy nadzieję na szybką odpowiedź. Chwilowo trzymamy dla Pani tą kreatywną ofertę. Jeśli nie jest Pani ta Kącka, prosimy, by nie odpisywała Pani na tą wiadomość".

Autobus 116, jazda na Żoliborz. Dwie w moim wieku z grubsza: „Wiesz, że Asia ma już diagnozę?". „Wiem". „Odważna jest. Ja bym nie chciała wiedzieć". „Eeetam, jakbyś to miała, to byś chciała". „To? No dobrze. Spektrum jest spektrum. Nie wiem, dlaczego nie nazywać po imieniu". „Oj, czepiasz się. Bardzo ją podziwiam". „W czym?". „Daj dokończyć: ona nie potrzebowała diagnozy, by mieć odwagę. Odwagę mówienia, jak jest". „Mnie przeraża ta szczerość". „A mnie uzdrawia. Ej, to nie jest szczerość na zasadzie: «Powiem ci, co o tobie myślę, a ty to musisz przyjąć»". „To jaka?". „Ech, nie wiem, jak ci to powiedzieć: nietoksyczna. Nie tyranizuje. Po prostu: nie umie kłamać, co widzi wewnętrznie". „To szczerością można manipulować?". „Jasne, jak wszystkim. Ale oni nie potrafią". „Oni?". „Ludzie w spektrum podobni do Asi. I mojego. Oni po prostu nie potrafią kłamać". „Nie lubię wytykania ludziom kłamstw". „Nie o to chodzi. Nie potrafią nakładać masek". „No, to są bezbronni...". „Tak, to jest właśnie, wiesz, groźne i piękne".

Nazbierało się szmat, rupieci, butów z tylnych zasieków szafki, co nigdy się nie naprawią, więc czas do pszoka. Wyprawa księżycowa. Pewnie nikt tam nie jeździ, chyba że z ciężkim gruzem, zdechłą lodówką, elektronicznym truchłem wszelkiej maści. Z detalami nikt się nie wyprawia, ale jadę. Mróz, ciągnę torbę bez kółka, w niej same defekty. Tramwaj, autobus, krajobraz coraz dzikszy. Pustki, jakby ktoś raptem zaczesał bloki w grunt. Tylko ja wyskakuję na przystanku „Betoniarnia". Z trójkołówką na plecach brodzę w śniegu. Smaga i świszcze.

Dochodzę do szlabanu, wbiegam na plac. Rozglądam się. Gość w polarze i rękawicach: „Czego pani szuka?". „Pszoka". „Jest pani w pszoku". Aaa, rozglądam się. Kilka wózków, żadnych hałd, złogów, bambetli. „Wypakować?". „Daj pani". Szybko roztasował, co przyniosłam: „Wie pani co, mam swoje satysfakcje". „Że ludzie dowożą?". „Nie, nie to. Myślałem, że będę stróżem śmietnika, babrać się". „Oskar z Ulicy Sezamkowej". Śmiejemy się. „Teraz patrzę inaczej". „Pszok pojemny taki...". „Ja już stąd nie wychodzę. Jadę autobusem i myślę, co by się nadawało do pszoka. Zabrałbym babce siatkę, facetowi buty". „Haha". „Wszędzie widzę usterki". „Hehe, mieszkamy w pszoku". „Tak! – rozochocił się – tak, pszok się rozciąga...". „Na kraj". „Na kraj".

Tramwaj 11, tuż za mną rozmowa: „Pojechałbyś na ten obóz". „Nieee". „Nie potrącę ci z kieszonkowego". „Nie lubię". „Nie masz okazji do integracji". „Co was z tą integracją...". Pauza. „Mamy z tatą plany, potrzebne nam mieszkanie". „Drugie?". „Nie no, nasze, chcemy zaprosić zaprzyjaźnioną parę". „Na obóz integracyjny?". „Złośliwiec!". „Ok, będę grał. Nie będę wychodził". „Ale rozumiesz, to krępujące. Ktoś jest za ścianą...". „Jak gram, to mnie nie ma". „Niby". „Nie niby. Nie słyszę was". „Dobrze wiedzieć...". „Jestem martwy, robicie swoje. Stoi?". „Przerażasz mnie...". „To nieistotne". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl f21820d830

KULTURA

MISTRZ PODEJRZEŃ

W momentach wyczerpania rodzi się w człowieku dojrzała świadomość własnego losu. Powstają też arcydzieła w rodzaju „Buddenbrooków".

ŁUKASZ MUSIAŁ

Teoria sześciu stopni oddalenia mówi, że każdy człowiek na świecie jest połączony z innymi łańcuchem nie więcej niż sześciu znajomych. Jeżeli to prawda, od Tomasza Manna dzieli mnie zaledwie jedna osoba. Z moją babcią mieszkał bowiem po sąsiedzku wybitny krytyk literacki i tłumacz Egon Naganowski, który jako dziecko, podczas pobytu w Monachium, przypadkiem spotkał słynnego już wtedy pisarza. Stało się to dla niego przeżyciem symbolicznym, choć zrozumiałym dopiero poniewczasie.

Widywałem Naganowskiego wielokrotnie, ostatni raz rozmawialiśmy, gdy jako student poznańskiej germanistyki wybrałem się do niego po autograf. Dopiero co wyszły „Dzienniki" Manna w jego przekładzie. Nie przyznałem się, że ich lektura znudziła mnie okrutnie.

Duch

Co prawda nie byłem chyba odosobniony w tej opinii. Tomasz Mann nadal nie wyszedł wtedy z czyśćca literatury, gdzie trzyma się twórców dawniej cenionych i wpływowych, potem jednak bezceremonialnie zepchniętych na zakurzone półki nieczytanych klasyków. Pisarz do dzisiaj czeka na ostateczny werdykt historii, zmuszony słono płacić za nadzwyczajną rewerencję, z jaką go traktowano za życia, za cesarskie wręcz hołdy, które mu wówczas składano.

Rozliczne inicjatywy ostatnich lat, podejmowane choćby w związku z setną rocznicą wydania „Czarodziejskiej góry" (2024), a także sto pięćdziesiątą rocznicą urodzin Manna i siedemdziesiątą jego śmierci (2025), niewiele pod tym względem zmieniły. Wciąż dominuje poczucie, że nad tym pisarstwem unosi się duch antykwaryczny.

Dostrzeżono to zresztą dawno temu. Amerykański pisarz i krytyk Alfred Kazin odwiedził kiedyś Hannah Arendt w jej nowojorskim mieszkaniu, a kiedy podczas rozmowy przyznał się do swojej sympatii dla autora „Józefa i jego braci", poirytowana filozofka omal nie wyrzuciła go za drzwi. Dla niej pisarzem współczesnym *par excellence* był już wtedy, u progu lat czterdziestych, szerzej wciąż nieznany Franz Kafka.

Klasyk

Ale przecież entuzjastyczne przyjęcie, z jakim spotkał się powieściowy debiut Manna z roku 1901, „Buddenbrookowie", dowiodło, że zaledwie dwudziestoszścioletni wtedy autor musiał bezbłędnie trafić w nerw swojej epoki. I jednak potra-



eprasa.pl f21820d830

fił być współczesny. Pod koniec zeszłego roku ukazał się nowy polski przekład tej monumentalnej sagi, będącej historią tyleż upadku pewnej pojedynczej rodziny, ile całej formacji kulturowej, która naznaczyła wiek XIX jak żadna inna – mam oczywiście na myśli mieszczaństwo.

Tłumacz, Jerzy Koch, oddał frazę oryginału w sposób wyszukany i elegancki, zachowując doskonałe proporcje między subtelnymi rejestrami nowoczesnej polszczyzny a staroświeckością oryginalnego stylu. Nawiasem mówiąc, to znakomity przykład ogólniejszej tendencji: ponowne tłumaczenia klasyki, od pewnego czasu coraz liczniejsze, wydawane z coraz większą pieczołowitością i coraz większym rozmachem, bez wątpienia wnoszą świeży powiew w nasz pejzaż literacki.

Tak wiele u nas przecież krzątaniny wokół książek ulotnych, które jednego dnia wydają się szalenie istotne i zdobywają wszystkie możliwe nagrody, a już następnego nikt o nich nie pamięta. Tymczasem tłumacząc klasyków na nowo, uświadamiamy sobie z całą mocą, że istnieją prawdy towarzyszące nam niezmiennie od pokoleń. Nie wiem, czy istnieje utwór, który ukazuje to dobitniej niż „Buddenbrookowie". I który mimo całej swojej antykwaryczności byłby w tym znaczeniu bardziej nam współczesny.

Familia

Debiutancka powieść Manna nominalnie ukazała się co prawda w wieku XX, lecz pod każdym względem przynależała wciąż do poprzedniego stulecia, bez reszty naznaczonego kulturą mieszczańską i cenionymi przez nią wartościami. W 1929 r., gdy kapituła Nagrody Nobla uhonorowała „Buddenbrooków" najwyższym wyróżnieniem w świecie literatury, XIX stulecie wydawało się jedynie odległym wspomnieniem czasów spokoju, harmonii, dostatku.

Spuszczona z łańcucha historia (by użyć formuły Jerzego Stempowskiego) prędko nabierała rozpędu i w następnych dekadach bez litości miażdżyła świat, który dotychczas dawał poczucie bezpieczeństwa. Na horyzoncie grzmiały już konflikty o skali apokaliptycznej, o których nie ma potrzeby przypominać nikomu, kto choćby pobieżnie zaznajomił się z ponurymi dziejami XX wieku.

Ale na razie jesteśmy w „bezpiecznym" roku 1835, gdy zaczyna się akcja powieści. Mann, z finezją zdumiewającą u tak młodego autora, kreśli portret rodziny mieszczańskiej na przestrzeni czterech pokoleń, aż do roku 1877. Pierwszej generacji przewodzi Johann Buddenbrook, pracowity kupiec, dzielnie stawiający czoło przeciwnościom losu chyba przede wszystkim dlatego, że nieszczególnie zaprząta sobie nimi głowę. Po prostu odważnie idzie naprzód przez życie, wyznając niezachwianą wiarę w Boga, ład świata i swoje kupieckie szczęście.

Jego syn, konsul, rozłoży akcenty odrobinę inaczej. Jest naturą bardziej refleksyjną, romantyczną, choć nie w takim stopniu, by te cechy charakteru nadszarpywały stan interesów. Rodzina Buddenbrooków rośnie w siłę i wpływy, lecz jej horyzont intelektualny, światopoglądowy czy społeczny wciąż pozostaje bardzo ograniczony. Taktowność, wyczucie, równowaga, umiar, postawa, godność – takimi „aktywami" obracają członkowie rodu.

Film „Buddenbrookowie. Dzieje upadku rodziny", reż. Heinrich Breloer, 2008 r.



MOVIESTORE COLLECTION LTD / ALAMY / BE&W

eprasa.pl f21820d830

Synowie

↦ O ile jednak sama familia trzyma się tych zasad z siłą wciąż niezłomną, o tyle w otoczeniu społecznym zaczynają zachodzić zastanawiające zmiany. Zapowiadają je ludzie całkiem odmiennego typu, którzy tłumnie wchodzą teraz na scenę historii. To nierzadko po prostu oszuści i lichwiarze – pierwsi reprezentanci drapieżnego XIX-wiecznego kapitalizmu. Konsul Buddenbrook ma jeszcze dość sił i środków, a także wystarczająco wiele mieszczańskiej pewności siebie, by duchowo im się przeciwstawić.

Ale już jego syn, Tomasz, jest przypadkiem zupełnie innego rodzaju. I to w jego postaci skupiają się wszystkie kluczowe dla Manna kwestie epoki. O ile wcześniejsze sukcesy Buddenbrooków brały się przede wszystkim z ich niezłomnej integralności duchowej, tak charakterystycznej dla całej formacji mieszczańskiej, o tyle Tomasz zapowiada swoją postawą epokę Marksa, Nietzschego i Freuda, majaczącą już na horyzoncie. Ci trzej, jak się ich czasem określa, „mistrzowie podejrzeń" dokonają wkrótce prawdziwej rewolucji. Zwrócą bowiem uwagę na uwarunkowania, które określają ludzką świadomość i kulturę w sposób co prawda ukryty, lecz tym bardziej przemożny i tym boleśniejszy.

Dwa pierwsze pokolenia Buddenbrooków symbolizują jeszcze ludzkość „niewinną", sprzed upadku. Ani Johann, ani jego syn szczęśliwie nie mają pojęcia, co to wewnętrzne rozdarcie. Ale już w niebezpiecznie wydelikacone ręce Tomasza wpada „owoc poznania" i nie może on tego daru nie przyjąć. Z chwilą, gdy bierze do ust pierwszy kęs, spokojny strumień mieszczańskiego życia, prowadzonego od pokoleń, przeistacza się w budzące grozę morze.

Jego powierzchnia tchnie spokojem co najwyżej iluzorycznym. Pod spodem rozwierają się przeraźliwe otchłanie lęku przed życiem i zwątpienia we własne siły. Gdy takie uczucia zaczynają targać głową rodu, nie wróży to nic dobrego. Moment najwyższej dziejowej chwały Buddenbrooków (awansujących dzięki skwapliwości Tomasza do rangi najznamienitszej familii Lubeki) okazuje się początkiem ich gwałtownego upadku.

Syn Tomasza, Hanno, jest już całkowitym przeciwieństwem swoich mieszczańskich przodków. Próżno wypatrywać w nim choćby śladu ich krzepkości, w nadmiarze odznacza się za to niezwykłą subtelnością duchową. Tak, Hanno jest artystą. Co oznacza również, że przepełnia go chorowitość, lękliwość, słabość. Ponieważ dla takich jak on nie ma żadnej nadziei, umiera bardzo młodo, będąc niemal jeszcze dzieckiem, i tym samym kończy historię Buddenbrooków.

Nie istnieje powieść bardziej nam współczesna niż „Buddenbrookowie" Tomasza Manna.

Entuzjaści

Sukces powieści wynikał najpierw z otaczającej ją aury skandalu. Tomasz Mann od początku swojej drogi pisarskiej hołdował przekonaniu, że każdy dojrzały twórca literatury raczej „odnajduje" niż „wynajduje". To znaczy mniej polega na pracy wyobraźni, bardziej zaś na realnym życiu, z którego czerpie pełnymi garściami. Istotnie, w wielu bohaterach powieści szybko dostrzeżono łudzące podobieństwo do prawdziwych mieszkańców Lubeki, na dodatek wciąż żyjących. Oczywiście niemile dotkniętych tym, że młody autor bez skrupułów chłoszcze ich zjadliwą ironią. I że kreśli fałszywy obraz miasta może i pięknego, zamożnego, chlubiącego się wspaniałą kupiecką historią, lecz także boleśnie zaściankowego.

Wkrótce jednak, gdy sława „Buddenbrooków" zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i gdy oczywiste się stało, że choć „lubecka" w każdym calu, jest ta powieść przede wszystkim uniwersalną panoramą epoki, która właśnie dogorywa, ważne dla czytelników stały się zagadnienia zgoła innego rodzaju. Nie klucz towarzyski, lecz społeczny zaczął teraz intrygować najbardziej. I to on przysporzył niezwykłej wprost popularności Mannowi.

Odkąd równie młody Goethe opublikował trzynaście dekad wcześniej „Cierpienia młodego Wertera", żadna powieść napisana w języku niemieckim nie została przyjęta na całym kontynencie z takim entuzjazmem. Europejczycy uwielbiali wtedy przeglądać się w zwierciadle literatury. Zanim na dobre rozwinęła się profesjonalna socjologia, była ona dla nich pewnym rodzajem nauki społecznej. I najwyraźniej powieść „Buddenbrookowie" taką naukę w sobie zawierała.

Zawierała formuły i sensy, obowiązujące nie tylko świat przedstawiony i jego bohaterów, lecz także świat prawdziwy i prawdziwych ludzi. Wciąż delektujących się wówczas, na przełomie wieków, świadomością, że żyją w *belle époque*, lecz chyba już przeczuwających, że jest to życie na kredyt historii. I że historia niebawem zacznie się upominać o zwrot kapitału wraz z odsetkami.

Wyzwanie

Zauważył to choćby Stanisław Brzozowski w szkicu będącym jednym z najwcześniejszych polskich świadectw zainteresowania twórczością niemieckiego autora. Po czym dodał, że głównie dlatego epoki upadku są tak fascynujące dla sztuki, literatury, filozofii: dopiero wtedy przecież, w momencie zerwania ciągłości życiowej i wyczerpania dawnych zwyczajów, nawyków, poglądów, może zrodzić się w człowieku dojrzała świadomość własnego losu.

A w konsekwencji dopiero wtedy może się zrodzić u niego głęboka inteligencja artystyczna i filozoficzna. Owszem, na życie staje się już wtedy za późno, upadek jest nieunikniony. Lecz zanim on nastąpi, w tym osobliwym międzyczasie oddzielającym od siebie życie i śmierć powstają arcydzieła w rodzaju „Buddenbrooków".

Obecnie lektura takich powieści jest prawdziwym wyzwaniem. Żyjemy przecież w kulturze „instant", kulturze „tu i teraz", domagającej się maksymalnej gratyfikacji przy minimalnym nakładzie sił. I jeszcze na wszystko wymyślamy od razu jednoznaczne pojęcia, które mają nam zastąpić długotrwałą pracę umysłową, po czym szybko doprowadzić do jasnych wniosków.

Powieść Manna wymaga zupełnie innego podejścia. Nie tylko jest bardzo obszerna, lecz także „pracuje" niezwykle powoli, na subtelnych półtonach, ledwo wyczuwalnych niuansach. Współczesny czytelnik łatwo może je pomylić z brakiem wyrazistości psychologicznej i szybko popaść w nudę.

Afekty

Przyznam, że z początku, czytając nowy przekład „Buddenbrooków", również ja popełniałem ten błąd. No cóż, jestem przecież dzieckiem naszej „psychologicz-

eprasa.pl f21820d830

nej" epoki, która prawie dzień w dzień dostarcza nowych słów na określenie każdego aspektu ludzkiej osobowości, w iluzorycznym przekonaniu, że przytwierdzanie tabliczki z nazwą jest równoznaczne ze zrozumieniem.

Tymczasem akcja powieści Manna rozgrywa się w epoce przedfreudowskiej, gdy ludzie woleli milczeć o tym, o czym nie potrafili mówić. Tylko czy milcząc, istotnie nic nie wyrażali? I czy my dzisiaj, bez ustanku rozwodząc się nad naszymi uczuciami i nawet w sytuacjach codziennych używając przy tym wyrafinowanej nomenklatury psychologicznej, faktycznie wiemy o sobie dużo więcej? Nie jestem pewien. Po lekturze „Buddenbrooków" jestem pewien jeszcze mniej.

Skądinąd może to być niestety przyczyna, dla której nowy przekład tej kapitalnej powieści nie znajdzie łatwej drogi do czytelników. Każda epoka psychologiczna jest bowiem także epoką ekspresjonistyczną i współczesna sztuka dostarcza tego przykładów pod dostatkiem.

Po pierwsze, dominuje w niej obraz, nie słowo. Po drugie, karmi się ona głównie afektami i afektacjami, głośnymi, jaskrawymi, radykalnymi, często agresywnie domagającymi się uwagi dla swej rzekomej wyjątkowości. Od takiej postawy artystycznej był Mann jak najdalszy. Definiował swoją sztukę jako impresjonizm, pełne pokory „odnajdywanie" rzeczywistości migotliwej, w gruncie rzeczy niepochwytnej.

A niepochwytnej dlatego, że jej zasadniczą materią jest nie przestrzeń, lecz czas. Jego nakładające się na siebie od pokoleń osady, które próbuje się uchwycić przede wszystkim słowem, nie obrazem. Również i ta postawa miała swoje źródło w mieszczańskim etosie, którego pisarz był poniekąd spadkobiercą. Ironicznym wprawdzie, ale i wykazującym głębokie zrozumienie dla tego, co minione.

Impresjonizm „Buddenbrooków" może być dla nas, współczesnych, wyzwaniem nie lada, podobnie jak objętość tej książki, pokładającej tak wielką wiarę w moc słowa. Jednak niektóre elementy obecnego w niej etosu mieszczańskiego nie odeszły do lamusa raz na zawsze, a tylko czekały na swoją kolejną szansę. I niejako tylnymi drzwiami teraz do nas wracają, w innym przebraniu i w innych okolicznościach, lecz z tym samym przesłaniem.



ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Tomasz Mann, ok. 1895 r.

„Nie należysz do siebie samego", mówi Thomas Buddenbrook do swojego brata, Christiana. Podobnie, lata wcześniej, przekonywał swoją córkę, a siostrę Tomasza, Tonię, stary konsul: „Urodziliśmy się nie do tego, co przed naszymi krótkowzrocznymi oczami jawi się jako własne małe osobiste szczęście, nie jesteśmy bowiem istotami... istniejącymi dla samych siebie, tylko ogniwami łańcucha...".

Upadek

Można by to nazwać „ekologią czasu". Czy taka postawa znów nie znajduje współcześnie coraz większego zrozumienia? Co ciekawe, dostrzegam je szczególnie wśród ludzi młodych, zatroskanych o przyszłość świata dotkniętego obecnie tak wieloma kryzysami, lecz i świadomych, że ten świat nie wziął się znikąd. Że nie istniejemy tylko dla siebie, tu i teraz, „instant". Że jesteśmy odpowiedzialni za to, co przed nami budowali inni – odpowiedzialni także wobec naszych potomków.

To pokoleniowe poczucie odpowiedzialności za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zaskakuje tym bardziej, że przecież okres młodości co do zasady nie jest zanadto obciążony tak zwanym bagażem czasu. A jednak to właśnie obecni dwudziestokilkulatkowie często intuicyjnie głębiej zdają się pojmować tę kwestię. Są też w tym bardziej racjonalni od nas, starszych o pokolenie lub więcej, którzy myślenie w kategoriach łańcucha pokoleń pochopnie uznaliśmy za przejaw dawno przezwyciężonej mieszczańskości.

Podobnie jak młody Tomasz Mann, tak też i my żyjemy dziś – nikt temu nie zaprzeczy – w epoce zasobnej we wszelkie bogactwa. A zarazem mierzymy się, podobnie jak miało to miejsce na przełomie XIX i XX wieku, ze zjawiskami zwiastującymi przesilenie, wyczerpanie, zużycie. Podtytuł „Buddenbrooków" brzmi: „Upadek pewnej rodziny". Powieść Manna jest kroniką czasów rozkładu pisaną w epoce, gdy koła historii właśnie brały rozmach do kolejnego wielkiego obrotu. Wiele wskazuje na to, że teraz też tak się dzieje, na naszych oczach. Pisał Mann proroczo i o nas?

Przyszłość

Tylko dlaczego każdy doskonale pamięta o podtytule powieści, a nikt właściwie nie zwraca uwagi na samo jej zakończenie? Przecież nie należy ono do żadnego z „upadłych" już teraz nieodwołalnie Buddenbrooków, lecz do Sesemi Weichbrodt, przyjaciółki rodziny.

Gdy Tonia, bolejąc nad śmiercią najpierw swojego brata, a później jego syna Hanno, zaczyna tracić nawet wiarę w Boga, drobna Sesemi z całą mocą przywołuje ją do pionu. W ostatnich swoich słowach narrator nazywa tę kobietę „triumfatorką w słusznej walce" i „natchnioną prorokinią". Chyba nie popełniam nadużycia, uznając, że to słowa samego autora. I wcale nie słyszę w nich ironii, znaku rozpoznawczego mannowskiej prozy. Słyszę nadspodziewanie szczere i mocne wyznanie nadziei, że ostatecznie nic tak naprawdę nigdy się nie kończy.

Być może „Buddenbrookowie" istotnie są historią upadku i śmierci. Ale nie kończą się upadkiem i śmiercią, tylko „natchnionym proroctwem". Albo, jak kto woli, zdecydowanym wyznaniem wiary, że zawsze jest jakieś „później". Tomasz Mann, wkraczając dopiero w życie i tworząc swoje arcydzieło, wiedział, czego nie wiedziało wielu starszych, bardziej doświadczonych od niego: że czas nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. I zawsze będzie dla nas jakaś przyszłość.

Dlatego powtórzę: nie istnieje powieść bardziej nam współczesna niż „Buddenbrookowie". Która przekonując na różne sposoby, że nie należymy wyłącznie do samych siebie, bardziej by nas mogła przywrócić do pionu.

© ŁUKASZ MUSIAŁ

eprasa.pl f21820d830

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny” i odbieraj w Żabce, po sąsiedzku!



GLS. żabka

Pragniemy być jeszcze bliżej naszych Czytelników, dlatego z przyjemnością informujemy, że „Tygodnik” jest już **dostępny do odbioru w sieci sklepów Żabka** oraz innych punktach obsługiwanych przez GLS.

Co zyskujesz?

- **140 zł taniej** rocznie, niż przy zakupach w kiosku.
- Swój „Tygodnik Powszechny” **odbierasz już w środę**.
- **Darmowa dostawa** do tysięcy sklepów Żabka i innych punktów obsługiwanych przez kurierów GLS.

Wiemy, że zapachu papieru i szelestu stron nie zastąpi najlepszy ekran. Jeśli i Państwo cenią sobie tę formę lektury, zachęcamy do zamawiania naszego pisma z odbiorem po sąsiedzku.

Zamówienia prenumeraty z odbiorem w sklepach Żabka i innych punktach obsługiwanych przez GLS można dokonać **TYLKO** na naszej stronie internetowej: TygodnikPowszechny.pl

Prenumeruj Tygodnik!

TygodnikPowszechny.pl/dostawa_zabka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl f21820d830

▪ *Karolina Wójcicka,*
Z NAKAZU BOGA. IZRAELCZYCY I WOJNA W STREFIE GAZY, *Mando*



„Zazwyczaj najpiękniejsze rzeczy można zobaczyć po zachodzie słońca" – mówi autorce na pierwszych kartach książki Ariel, młody Izraelczyk. To, co faktycznie ma na myśli, szokuje: niebo rozświetla się wtedy na czerwono. Chodzi mu oczywiście o codzienne bombardowania w Strefie Gazy, które obserwuje z bratem ze znajdującego się niedaleko palestyńskiej eksklawy wzgórza Kobi.
Jego zdanie możemy poznać dzięki Karolinie Wójcickiej i jej książce „Z nakazu Boga". Choć to debiut, mamy do czynienia z niezwykle staromodną – w najlepszym tego słowa znaczeniu – pracą dziennikarską. Autorka „Dziennika Gazety Prawnej" podjęła się próby wyjaśnienia, co o trwającej ponad dwa lata wojnie sądzą Izraelczycy. Na kartach książki poznajemy słowa przedstawicieli różnych tamtejszych warstw społecznych. Wójcicka rozmawia z fanatykami – co już widzieliśmy. Ale także z będącymi w mniejszości działaczami pokojowymi. „Moim zadaniem jest przekonać Izraelczyków, że po drugiej stronie granicy rozgrywa się tragedia" – mówi jej aktywista Alon-Lee Green. Większość bohaterów tej książki jest jednak głucha na apele Greena i garstki podobnie mu myślących. Gdzieś pośrodku jest były premier Izraela Ehud Olmert, który nie żałuje swoich decyzji z czasów, gdy dowodził izraelską armią czy rządem, a dziś jest jednym z głosów krytycznych wobec polityki premiera Netanjahu w Strefie Gazy. Trudno tej książce zarzucić stronniczość czy odejście od dziennikarskich zasad na rzecz aktywizmu – co w tym temacie częste. Czytelnicy dostają narzędzia, by wyrobić sobie własne zdanie na temat wydarzeń, osób i społeczności. Wnioski te najprawdopodobniej nie będą optymistyczne, a gdyby ktoś szukał nadziei, to w tej książce znajdzie jej niewiele. Za to jeśli ktoś przez ostatnie lata zadawał sobie pytanie – jak to możliwe, że naród głoszący hasło „Nigdy więcej" jest dziś oskarżany o przeprowadzanie ludobójstwa – książka Wójcickiej może znacznie przybliżyć do zrozumienia tego stanu rzeczy.
© JAKUB SZYMCZAK

▪ *Zofia Król*, **DROGA PRZEZ ŁĄKĘ. SZEŚĆ ESEJÓW O PRZESTRZENI**, *Karakter*



„Jakie dziś słońce wpada, aż chciałoby się umyć szyby i wyjść przez nie na miasto" – pisał w wierszu „Poranek, dzień drugi" Adam Wiedemann, wyrażając chęć błyskawicznego przelania się w widzialność. Nic dziwnego: istnieć to znaczy przecież zarówno zajmować jakąś przestrzeń, jak i postrzegać ją. Pełne doświadczanie świata ma charakter dobitnie przestrzenny. Niuanse tej problematyki porusza Zofia Król w eseistycznej „Drodze przez łąkę". Punktem wyjścia jest rozpoznanie braku: w dobie kryzysu klimatycznego, alienującej techniki oraz polityki grodzenia, utraciliśmy pierwotną więź z przyrodą, która operuje szerokimi planami. Dlatego buzować ma w nas – przekonuje autorka – dotkliwa tęsknota za krajobrazami. Kwestia ta jest również metafizyczna, bo zapośredniczony przez percepcję kontakt z otoczeniem może być rozumiany jako warunek wszelkich aktów świadomości. Do centralnej kategorii widoku autorka podchodzi od strony malarskich perspektyw, papierowych i wirtualnych map oraz tekstów literackich. Za każdym razem cel jest ten sam: znieść izolację podmiotu i odnowić jego postrzeganie. Redaktorka naczelna „Dwutygodnika", z wykształcenia filozofka, bazuje tu głównie na ucieleśnionej fenomenologii Maurice'a Merleau-Ponty'ego, ale swobodnie odwołuje się też do literatury i sztuki. Lejtmotywem książki jest latający między państwami (i rozdziałami) żółty ludzik – figurka znana z Google Street View. Eseistka wybiera właśnie takie iluzoryczne podróże i w ten sposób podgląda miejsca swoich bohaterów (choćby mieszkanie Białoszewskiego czy jesion Miłobędzkiej). Pogłębione i angażujące wyobraźnię eseje z pewnością zasługują na uwagę, nawet jeśli zdarza się, że zaokrąglane są ogólnymi dość refleksjami. Potoczysta narracja pozbawiona formalizmu działa jak pociąg ze wstępu: przed „oczami" miarowo przesuwają się kolejne obrazy i idee, a przestrzeń jawi się w swoim blichtrze. Istotą książki jest też samo zaangażowanie jako strategia resuscytacyjna, wsparta na namiętności: „przekroczyć prostokąt szyby, wejść w widok, wleźć w łąkę, zostawić ślady na błotnistej drodze, znaleźć się w samym środku trójwymiaru". Trudno się takim afektem nie zarazić.
© OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI


MATERIAŁY PRASOWE

▪ *Mascha Schilinski,*
WPATRUJĄC SIĘ W SŁOŃCE,
w kinach od 6 marca

Ten film był wielkim zaskoczeniem festiwalu w Cannes. Oto dzieło nieznanej szerzej niemieckiej reżyserki wyjechało z Francji z Nagrodą Specjalną Jury. Obraz, tematycznie bliski bijącej u nas rekordy popularności książce Joanny Kuciel-Frydryszak, to historyczna saga rozpisana na cztery pokolenia kobiet żyjących w XX i XXI w. w niemieckim regionie Altmark. Czas funkcjonuje tu jak wstęga Möbiusa – splata motywy i rymuje losy bohaterek, których życie znaczą codzienne obowiązki i ciche tragedie. Wielka historia co prawda istnieje, ale zostaje poza ekranem. Kluczowym tematem jest pamięć rozumiana jako coś, co zapisuje się w ciele i przestrzeni. Wspomnienia działają niczym ból fantomowy, uruchamiając doświadczenia, które nie należą do teraźniejszości. Kolejne bohaterki próbują sprawować kontrolę nad własnym losem i ciałem, lecz ono zdaje się działać samoczynnie, poza nadzorem woli. Zdrada odbywa się nieustannie: jedna z dziewczyn złości się na rumieniec na twarzy w chwili wstydu. Inna bezskutecznie każe swojemu sercu stanąć. Także forma filmu podporządkowana jest logice pamięci. Obraz przypomina stare fotografie – nieostre, ziarniste, rozmyte ruchem. Często wraz z kamerą podglądamy wszystko przez dziurkę od klucza albo uchylone drzwi. Nie ma co ukrywać, film Schilinski to kino wymagające: naszej uwagi, otwartości i skupienia. Ale oddaje z nawiązką, pozostawiając więcej pytań niż odpowiedzi, a to dzisiaj rzadko spotykana cnota.
© MARIA DUTKIEWICZ

eprasa.pl f21820d830

Ciała unerwione

JULIA SZYMCZYKOWSKA, MALARKA:

PRACOWNIA | W swojej witalności jesteśmy jednocześnie krusi i delikatni. Tkanka żyje i pracuje. I taka jest też postać na obrazie.



JULIA SZYMCZYKOWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

Julia Szymczykowska, „Mop", olej na płótnie, 2025 r.

JACEK TARAN: Widzę, że jednak masz okna w pracowni.

JULIA SZYMCZYKOWSKA: Tak, okna w pracowni się bardzo przydają. Choć widok nie jest zbyt ciekawy – parking i nasyp kolejowy.

A jaki miałaś widok z okna w domu rodzinnym?

Bardzo tradycyjny, bo wychowałam się na wsi. Z okna było widać nasze podwórko, a dalej wieś, inne domy i gospodarstwa. Miałam pokój na poddaszu, więc perspektywa była dość szeroka, otwarta.

Pytam, bo patrząc na Twoje obrazy można odnieść wrażenie, że malowała je osoba, która nie wychodzi na zewnątrz albo nie ma okien. Wszystko dzieje się we wnętrzu, w ciele.

Tak i nie. Ciało jest dla mnie pewnym narzędziem. Posługuję się nim, żeby opowiadać o wielu innych rzeczach: o tożsamości, o tym, jak się czujemy, o stanach melancholijnych, poczuciu osamotnienia. Myślę, że dlatego w moich obrazach często pojawiają się zamknięte pomieszczenia i wrażenie braku okna – to nie konkretna przestrzeń, tylko stan wewnętrzny. Zazwyczaj jest tam jedna osoba, pozostawiona sama ze sobą.

Na wielu obrazach jesteś po prostu Ty...

Większość moich prac ma swoje korzenie w osobistych doświadczeniach. Później zostają przetworzone i sfabularyzowane. Szczególnie wyraźnie widać to w moim ostatnim cyklu. Każdy z tych obrazów wyrastał z jakiegoś doświadczenia, ale później układał się w większą opowieść. Mój cykl dyplomowy był właściwie fabułą. Napisałam do niego tekst, a obrazy są jego wizualnymi fragmentami.

Chodzi o cykl „Przełknij ślinę – zamknij oczy – zanurz głowę"?

To był tytuł wystawy, bo cały ten tekst kończył się właśnie tym zdaniem. Ono było takie „zgrzytające", miało sugerować moment zmiany, potrzebę wyjścia ze stagnacji i z zamkniętej przestrzeni. Pierwotny tytuł całego cyklu brzmiał jednak „Trzymaj wodę nad głową".

Jak go rozumieć?

W całym tym cyklu woda odgrywa kluczową rolę. Jest właściwie wszędzie. Jest dwuznaczna, bo z jednej strony pojawia się w różnych stanach skupienia lub ma zamknięty obieg, a z drugiej strony dokładnie tak samo funkcjonuje bohater tych obrazów: krąży w rutynie, w rytmie, w zamkniętych czterech ścianach, razem z tą wodą.

Tytuł podkreśla zarówno ciężar wody, jak i ciężar tego, co dzieje się w nas w danym czasie. W końcu sami w dużej mierze składamy się z wody. Ten cykl był dosłownie historią osoby zamkniętej w pomieszczeniu. Historią neurotycznych myśli, stanów lękowych, doświadczeń przebodźcowania i momentu, w którym jesteśmy w natłoku myśli i emocjonalnym przeciążeniu.

To echo doświadczenia pandemicznego?

Tak, choć uświadomiłam to sobie dopiero po czasie. Pandemia przypadała na okres mojej bardzo wczesnej dorosłości. Miałam 19-20 lat i dopiero zaczynałam mieszkać sama w Krakowie. Zamknięcie i osamotnienie było czymś zupełnie innym, niż gdybym przeżywała ten czas w domu rodzinnym.

Myślałaś wtedy o powrocie?

Wracałam do domu regularnie, ale nie na stałe. Chciałam odnaleźć się w Krakowie, doświadczyć tego czasu właśnie tutaj, mimo zamknięcia.

W Twoich pracach skóra jest niemal przezroczysta, widać żyłki, krwiobieg.

Chodzi o pokazanie tego, jacy w swojej witalności jesteśmy jednocześnie krusi i delikatni. To nie są postacie sportreto-

eprasa.pl f21820d830



JACEK TARAN

JULIA SZYMCZYKOWSKA (ur. 2000) ukończyła z wyróżnieniem Wydział Malarstwa ASP w Krakowie. Jej prace można było już oglądać w MOCAK-u, a także na wystawach w Warszawie czy Lublinie.
Na zdjęciu: w swojej pracowni. Kraków, 23 stycznia 2026 r.

wane w idealistyczny sposób. Ciało jest wieloznaczne, tkanka cały czas żyje, pracuje. I taka jest też postać, z którą mamy do czynienia na obrazie. Unerwienie sprawia, że ona coś komunikuje, nie jest tylko wizerunkiem. Dzięki niemu człowiek staje się naprawdę ludzki. Jest częścią obrazu, a nie tylko portretem.

Rozstępy, cellulit, fałdy tłuszczu. Czy to jest reakcja na to, jakim wizerunkiem ciała jesteśmy na co dzień karmieni?

Tak. Choć ostatnio trochę od tego odchodzę. Moje pierwsze poszukiwania własnej tożsamości w malarstwie były bardzo silnie związane z tym tematem. Ta wszędobylska ekspozycja ciała idealnego bardzo mi wtedy doskwierała, nawet w takim najbardziej podstawowym, intuicyjnym rozumieniu feminizmu, zwłaszcza kiedy byłam młodsza.

Dziś myślę podobnie, ale zaczynam szukać innych wątków. Wtedy jednak czułam silną potrzebę, żeby te myśli jakoś zmaterializować.

Ale jest w tym też afirmacja ciała.

Tak, zdecydowanie. Mam jednak wrażenie, że mój punkt widzenia jest trochę inny niż u ludzi niezwiązanych ze sztuką. Ja od bardzo wczesnego etapu byłam w środowisku plastycznym. Chodziłam do gimnazjum i liceum plastycznego, a potem na studia artystyczne. Dla mnie obraz niedoskonałego ciała był czymś absolutnie normalnym.

Dopiero kiedy osoby spoza tej „bańki", oglądając moje obrazy, reagowały jakimś rodzajem szoku, uświadomiłam sobie, że dla kogoś może to być rzeczywiście trudne do przyjęcia. Dla mnie nie było.

A w domu?

Dla mojej mamy to było trudne doświadczenie. Ona oczekiwała ode mnie raczej „ładnych obrazków". I do tej pory co jakiś czas pyta mnie, dlaczego maluję takie smutne rzeczy. Mimo że od dawna wie, o czym maluję, to jej pytanie regularnie wraca.

Miała poczucie, że malujesz ją?

Tak, był taki moment. Raz namalowałam obraz bazujący na zdjęciach, które jej zrobiłam. Była wtedy na mnie trochę zła. Pojawił się zarzut dotyczący skali obrazu, bo to był duży format. Myślę, że gdyby to było coś małego, pewnie łatwiej by przeszło.

A jakie było w domu podejście do ciała?

Panowała swoboda. Oczywiście bywały momenty krępujące, na przykład wtedy, gdy wychodziło się do ludzi, kiedy pojawiał się temat wizerunku. Ale w domu wszyscy czuli się dość naturalnie. Mam dwie siostry, więc nagość czy wspólne funkcjonowanie w mieszkaniu było czymś bardzo normalnym. Nie było tabu, choć istniała granica. To był moment, w którym wychodzimy do świata i zaczynamy „zakładać maski".

Patrząc na Twoje prace, zastanawiam się, czy to są wciąż osoby, czy już tylko same ciała, anonimowe formy?

To są cały czas osoby. Nie maluję ciała zupełnie bez kontekstu. Zawsze pojawia się twarz albo jakiś element, który sugeruje konkretną osobę. I choć mój staż artystyczny to w zasadzie ostatnich kilka lat, to jednak już od pewnego czasu jest to dla mnie ważne.

W ostatnich pracach to głównie Twoja twarz.

Tak, zawsze moja, ale w pewnym sensie przetworzona. Są elementy, które jednoznacznie wskazują, że to ja, ale są też zmiany i zabawy wizerunkiem, które sprawiają, że to jest jakaś inna wersja mnie. Jakby to było jedno uniwersum i wiele możliwości bycia tą samą osobą. Chodzi też o możliwość zmiany, kontroli wizerunku, o to, że na obrazie mogę być, kim chcę.

A co z takimi bohaterami Twoich prac jak mop czy zlewozmywak?

To są nasi współlokatorzy. Może nie jest łatwo się z nimi zaprzyjaźnić na co dzień, ale bardzo lubię to, że w obrębie naszych czterech ścian wszystkie te przedmioty po prostu współistnieją z nami. Podoba mi się myśl, że one dostają swoje „pięć minut" na obrazie, że przestają być tylko tłem.

Często działają na mnie jak wyrzut sumienia. Na przykład brudny mop stoi w kącie od tygodnia albo w zlewie piętrzą się naczynia, i to są rzeczy, które nieustannie przypominają o naszym istnieniu, codzienności, zaniedbaniach. To są nasze ślady, które zostają w domu i cały czas dają znać o sobie. Myślę, że właśnie dlatego, iż bywają takie nachalne, stają się intrygujące.

W tych codziennych rzeczach można też dostrzec Twoje autoportrety. Na przykład w kałuży wody na podłodze albo w odbiciu wody w misce.

To jest właśnie ten moment zderzenia z codziennością. Odbicie pokazuje konfrontację nas samych z tymi ↦

eprasa.pl f21820d830



JULIA SZYMCZYKOWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

Julia Szymczykowska, „Suszarka", olej na płótnie, 2025 r.

↦ przedmiotami. One, jak mówiłam, bywają wyrzutem sumienia i w pewnym momencie zmuszają nas do reakcji. Wołają o to, żeby coś z nimi zrobić, żeby przestały być tylko przypomnieniem o zaniedbaniu.

Kuratorka Twojej wystawy, Agnieszka Gąsiorowska, porównuje Twoje prace do niemieckiego nurtu „Nowa Rzeczowość" sprzed równych stu lat.

Bardzo podoba mi się to porównanie, sama tego nie dostrzegłam. Było to dla mnie dość zaskakujące, bo chociaż wcześniej o tym nie myślałam, okazało się, że w pewnym sensie mogę się czuć kontynuatorką tego nurtu. Uderzyło mnie, że mimo stu lat różnicy pojawiają się podobieństwa, zwłaszcza w sposobie portretowania i w spojrzeniu.

Mam jednak wrażenie, że współcześnie ogromne znaczenie ma to, kto mówi i kogo się portretuje. Łatwiej utożsamiamy się z kimś, kto tworzy autoportrety, niż z artystą, który portretuje modelki i wchodzi z nimi w relację pełną napięć. U mnie jestem tylko ja – i to znacząco odróżnia moje prace od tamtego nurtu.

Czy kontekst feministyczny jest dla Ciebie ważny?

Jestem feministką, ale nie wiem, czy mówienie o tych pracach wyłącznie w jednoznacznie feministycznym kluczu nie jest zbyt upraszczające. Myślę, że takich płaszczyzn odczytań jest znacznie więcej. To jest też opowieść o codzienności, która bywa lepka, brudna, czasem lekko obrzydliwa. O codzienności, którą chowamy za ścianą przed światem.

A jednocześnie jest ona u wielu osób bardzo podobna. I myślę, że feministyczne jest właśnie to, żeby wyjść z tym do świata i przestać ukrywać rzeczy, które kobiety mają, robią i którymi są.

Czy Twoja twórczość i to, co o niej mówisz, można odczytywać jako manifest generacyjny? Widzisz podobne postawy u innych osób ze swojego pokolenia?

Tak, zdecydowanie. Myślę, że moja generacja jest bardziej gotowa na pokazywanie siebie w gorszym stanie – bez upiększania, bez udawania, że się jest kimś innym. Nie boimy się pokazywać rzeczy niewygodnych, fotografować tego, co nieidealne, wychodzić z tym publicznie. Często robimy to wręcz na przekór, w kontrze do tego, czego się od nas oczekuje, i wydaje mi się, że to jest bardzo ciekawe i wartościowe w naszym pokoleniu.

A haft? Jak haft funkcjonuje w relacji do Twojego malarstwa?

Teraz haftu jest już mniej, ale to od niego w dużej mierze zaczynałam. Był taki moment, gdy odkryłam pewien rodzaj „unerwienia", który później stał się dla mnie bardzo pociągający w malarstwie. Splątane nitki, pozorny chaos, z którego rodzi się siła. Dziś haft jest już raczej prywatny, przestałam traktować go zawodowo. Czasem sięgam po tamborek i robię coś dla siebie. Potrzebowałam też formy twórczości, która nie byłaby moją pracą.

Haft też miał charakter manifestu feministycznego?

Pamiętam moment, kiedy próbowałam odnaleźć się w świecie sztuki i bardzo inspirowały mnie artystki, które pracowały z tak zwanymi „kobiecymi" technikami. Chciałam sprawdzić, czy to jest też dla mnie, spróbować tego połączenia. Bardzo podobało mi się zestawienie dwóch światów – malarstwa i haftu. I to też jest generacyjne. Haft przeżywa renesans. Wynika to pewnie z jego dostępności.

Nie trzeba dużych środków na start, a efekt pracy jest szybko widoczny i satysfakcjonujący. Zdecydowałam się zakończyć ten okres także dlatego, że miałam pomysły na nowe rzeczy, a haft był procesem bardzo czasochłonnym i nie dawał mi wystarczającej swobody.

A cykl „Zimno"? Mam na myśli obrazy, których tytuł zaczynał się od tego słowa.

To był chyba moment, w którym odkryłam, jak bardzo unerwienie, o którym mówiliśmy wcześniej, jest widoczne w określonych warunkach. Na przykład wtedy, gdy jest zimno. Żyłki i różne organiczne zmiany na ciele stają się szczególnie wyeksponowane. Myślę, że ten cykl był ważny, bo stał się punktem wyjścia do tego, co robię teraz. Motyw unerwienia wraca dziś w wielu innych moich obrazach.

To był kontrapunkt wobec Twoich wcześniejszych prac, gdzie ciała były bardziej masywne, zwaliste.

Wiele tych obrazów funkcjonuje w relacji „ja kontra świat". Z perspektywy jednostki świat bywa przytłaczający, jesteśmy tą bardziej kruchą stroną. I w moim uniwersum człowiek po prostu taki jest, bardzo delikatny i kruchy. Taki człowiek jest też mi najbliższy, wydaje mi się najbardziej prawdziwy.

To jest depresyjne?

Bywa. Miałam w swoim życiu takie okresy i myślę, że bezpośrednio przełożyły się na malarstwo. Ale poradziłam sobie. Zmaterializowałam ten stan. Dobrze jest czasem skonfrontować się z tym, co czujemy, żeby móc to nazwać i w ten sposób zamknąć jakiś etap.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

eprasa.pl f21820d830

Teatr wielki

JACEK WAKAR

ZA GRANICĄ | „Oracle” – nowy spektakl Łukasza Twarkowskiego, imponujący niemożliwym na polskich scenach rozmachem – łączy wielopoziomową narrację o iluzorycznej władzy człowieka nad maszynami z klasycznym melodramatem.

Łukasz Twarkowski wrócił do Rygi trzy i pół roku po „Rohtko” – spektaklu, który zbudował jego pozycję jako jednej z najważniejszych wschodzących gwiazd europejskiego teatru, a ujmując to nieco odważniej: kluczowego w nim dzisiaj wizjonera. Artysta mówi co prawda, że jego zawodowym domem jest Wilno i tamtejszy Teatr Narodowy, bo tam właśnie powstały przedstawienia, od których rozpoczęła się jego międzynarodowa kariera.

Najpierw był inspirowany nowelą Prospera Mériméego i autentycznymi miejskimi historiami „Lokis”, potem (oddzielona zrealizowanym w Hanowerze „Było sobie życie”) „Respublika” – pierwsza w karierze reżysera próba widowiska totalnego, wielogodzinnego maratonu oddziałującego na wszystkie zmysły.

Kończył go ogarniający wszystkich *rave*, który wszędzie, gdzie grana była „Respublika”, wybrzmiewał innymi znaczeniami. Twarkowski wspominał przed kilkoma miesiącami, że po raz ostatni spektakl zagrano w Tajpej na Tajwanie, gdzie cała inscenizacja wraz z finałową imprezą stała się dla dwóch tysięcy uczestników doświadczeniem wolności.

Znam wielu – i sam się do tej grupy zaliczam – którzy „Respubliki” nie zobaczyli i chyba już im się nie uda. Prace Twarkowskiego wymagają szczególnych warunków i wyjątkowych technicznych możliwości, dlatego niewiele miejsc na nie stać.

Piruety mansjonów

„Rohtko” ten stan rzeczy zmienił. Koprodukowany przez opolski Teatr Kochanowskiego i wsparty przez Instytut Adama Mickiewicza spektakl po ryskiej premierze zagrano w Opolu, dokąd zjechał kawał artystycznego świata, ale nie Polska. U nas bowiem pozostawał Twarkowski autorem raczej niszowych inscenizacji, żeniących klasyczne teksty („Akropolis” w Starym Teatrze w Krakowie) z mnogością pikseli – technologicznym przetworzeniem, tyle że wtedy jeszcze na rodzimą, a więc biedną modłę.

Albo spektakli bawiących się odważnymi interpretacjami utworów nieoczywistych, jak w „GRIMM: czarny śnieg” z Teatru Polskiego we Wrocławiu. Bardziej zaznajomieni z teatralnym światem rozpoznawali w nim asystenta Krystiana Lupy, a potem jeszcze zagranicznego agenta słynnego reżysera. Nikt jednak nie zdawał sobie sprawy, co Twarkowski czynił w teatrze poza krajem – przecież straciliśmy go z oczu.

Wtedy artysta udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że dziś nie Lupa, nawet nie Krzysztof Warlikowski – chociaż ich marki nikt nie podważa – lecz właśnie Łukasz Twarkowski wyznacza język dla teatru przyszłości. Na ogromnej scenie pokazał balet ledowych ekranów i piruety ogromnych scenicznych mansjonów, żeby równolegle poprowadzić wątki kilkorga bohaterów, w centrum umieszczając legendarnego malarza.

Przedstawienie o tym, co w sztuce jest prawdziwe, a gdzie zaczyna się falsyfikat, fenomenalnie grane przez zespół Dailes Teātris, wzmocniony m.in. przez Katarzynę Osipuk i Andrzeja Jakubczyka, szybko okrzyknięto międzynarodową sensacją. W takiej otoczce przyjechało do Opola na pokazy w ramach Boskiej Komedii w grudniu 2022 r.

Wtedy już było szaleństwo: autokary z Krakowa, wielojęzyczny tłum, nadkomplet na ogromnej widowni. „Rohtko”, wcześniej cel zagranicznych pielgrzymek teatromanów znad Wisły, teraz stał się punktem odniesienia. Reżyser sam go sobie wyznaczył, i to na niebotycznie wysokim poziomie.

To gra się samo

Multimedialne, a czasem na wskroś intymne show Twarkowskiego, grane jak świat długi i szeroki, a dzisiaj wciąż utrzymujące się na afiszu teatru w Rydze, stało się dla niego tym, czym dla Paola Sorrentino było „Wielkie piękno”. Arcydziełem założycielskim i do dziś niedoścignionym, majstersztykiem, do którego wszystkie następne prace artysty są porównywane.

Dlatego po krakowskich pokazach na Boskiej Komedii w 2024 r. zrealizowanej w Wilnie „Quanty” widzowie nie kryli zachwytu, ale ci bardziej wtajemniczeni powtarzali, że jednak „Rohtko” to to nie jest. „Quanta” operowała skalą gigantyczną, ale jednak zauważalnie mniejszą, choć w Polsce wciąż zdecydowanie niemożliwą.

Spektakl stanowił też pierwszą część trylogii naukowej. Podejmował wprost temat fizyki kwantowej, wadząc się z pojęciem ciągłości czasu. Scenę, przedstawiającą hotel Les Moires w szwajcarskich Alpach, zaludniały postaci autentyczne, z chemikiem Wernerem Morgensternem oraz filozofem i fizykiem Wernerem Heisenbergiem na czele. Morgenstern (Rytis Saladžius) pojawia się także w „Oracle”, co podkreśla ciągłość między dwiema częściami cyklu.

Tym razem znajdujemy się jednak w ośrodku Bletchley Park, gdzie trwają prace nad złamaniem kodu Enigmy, co przyczyni się do szybszego końca wojny i ocalenia tysięcy ludzkich istnień. Dlatego w centrum opowieści jest tym razem Alan Turing (Mārtiņš Meiers). Ale znajomość jego losów nie jest konieczna, by wejść głęboko w świat nowego spektaklu Twarkowskiego.

W hipnotyzującym prologu widzimy gigantyczną maszynę z okrągłymi gałkami, która zdaje się demiurgiem scenicznych zdarzeń. Jak słyszymy z offu, wszystko jest skutkiem wielkiej gry, która „gra się sama” bez jasno określonych zasad, jest celem samym w sobie, unicestwiając i odradzając uczestników. Zdaje się ona odbiciem sztucznej inteligencji, zdolnej wpływać na ludzkie losy, podpowiadać kolejne ruchy, suflować motywacje. Choć zwykle na opowieści o wszechwładzy AI pozostaję nieczuły, a widmo jej nieuchronności lekceważę, ↦

eprasa.pl f21820d830



MARKO RASS / DAILES TEĀTRIS

„Oracle", reż. Łukasz Twarkowski, Dailes Teātris w Rydze

↦ to jednak zarysowaną w „Oracle" wizję Wielkiego Mechanizmu obdarzonego niemal boskimi atrybutami przyjąłem bez zastrzeżeń.

To zasługa dramaturżki Anki Herbut (pisała też „Rohtko"; „Quantę" – Joanna Bednarczyk), a przede wszystkim samego Twarkowskiego, który z pomocą licznych kamer zwielokrotniających obrazy wrzuca nas w środek rozgrywki o nieznanym zakończeniu, każe poczuć niepewność, czy aby na pewno jesteśmy władcami swego losu. Ciarki chodzą po plecach. Bo jeśli tak nie jest, co – jak dowodzi ryskie przedstawienie – suponowano już w odległej przeszłości, to pozostajemy jedynie pionkami w grze, łatwymi do zdmuchnięcia z planszy przez potężniejsze od nas moce.

„Oracle" z wielu względów najbliższy jest największemu do tej pory osiągnięciu twórcy. Wspólna z „Rohtko" jest konwencja całości, rozpoznajemy w obsadach obu widowisk te same nazwiska, na scenie zaś znajome twarze. Jesteśmy w świecie znanym. Co nie znaczy, że oswojonym.

Falsyfikat rzeczywistości

Twarkowski wywraca bowiem szachownicę, zmienia zasady w trakcie gry, a przede wszystkim podbija stawkę, gdy idzie o znaczenie przedstawienia. W „Rohtko" pytał o prawdę w odniesieniu do sztuki, z ironią infiltrował zamknięty krąg twórców, teoretyków i krytyków.

Tym razem zderza ze sobą ludzi z różnych światów, aby zapytać już nie o sztukę, lecz o rzeczywistość. Która jest prawdziwa, a która to jedynie falsyfikat? Czy istnieją światy równoległe na wzór symultanicznie prowadzonych opowieści w „Oracle"? Najnowsze przedstawienie Twarkowskiego nie mnoży przed widzami barier nie do przejścia, dba o żywy kontakt z publicznością, a jednak stawia pytania o wymiarze, jaki w teatrze bynajmniej nie jest codziennością.

Pracuje z reżyserem wciąż ta sama, sprawdzona ekipa i ich porozumienie zdaje się jednym z kluczy do sukcesu. Fabien Lédé projektuje scenografię i ustawia światła. Svenja Gassen odpowiada za kostiumy, Paweł Sakowicz za choreografię, a Jakub Lech za wideo. Nowy w tym gronie jest kompozytor Julek Płoski, dotychczas słyszeliśmy muzykę Lubomira Grzelaka. To jednak nie jest zmiana radykalna.

W „Oracle" przenikają się plany filmowe, sceny aktorskie są na bieżąco rejestrowane przez kamery, abyśmy mogli widzieć je jednocześnie z oddali i w zbliżeniu. Twarkowskiego można postrzegać jako dziecko owładnięte siłą własnej wyobraźni, które beztrosko testuje granice powoływanego przez nią do życia świata – to obraz wdzięczny, ale nieprawdziwy i za chwilę wypiera go ten rzeczywisty: inscenizator trzyma w ręku wszystkie nici widowiska, z żelazną konsekwencją panuje nad inscenizacją, bo każda czasowa obsuwa, każde techniczne niedociągnięcie przy widowisku o takiej skali skutkuje nieuchronną katastrofą.

A jednak chcę widzieć w Łukaszu Twarkowskim twórcę, który pielęgnuje w sobie rys niepoprawnego romantyka, dokarmia wewnętrzne dziecko, teatralną maszynerię traktuje zaś jako posłuszną sobie zabawkę, co z kolei umożliwia mu wchodzenie na coraz wyższe poziomy gry. Tak go w jakimś stopniu postrzegam, a jednocześnie wychodzę z „Oracle" z przeświadczeniem, że to kolejny przypadek, kiedy artysta osiąga rzadką w teatrze równowagę. Ogląda się ten ogromny spektakl z onieśmieleniem dla jego skali, raz za razem zadając sobie pytanie, jak to w ogóle jest możliwe. Równocześnie, po scenicznej burzy, kołowrocie obrazów i dźwię-

eprasa.pl f21820d830

ków przychodzą chwile wyciszenia, kiedy konfrontujemy się z tym wszystkim, o czym mówi przedstawienie. I nikt nam tego nie ułatwia.

„Oracle" zręcznie łączy popkulturę z wyrafinowaniem. „*You are my destiny*", śpiewa Mina, a postacie ruszają do tańca. Filmowe epizody z Bletchley Park mają sznyt dawnego brytyjskiego kina wojennego. Wspaniałe są równolegle rozegrane sceny dwóch par w tej samej chwili przeżywających początek i koniec miłości. Właśnie łączenie przeciwstawnych żywiołów robi u Twarkowskiego największe wrażenie.

Całość naładowana jest nowoczesną technologią, ale „Oracle" – a wcześniej „Rohtko" – nie wstydzą się garściami czerpać z konwencji klasycznego melodramatu. W wielkiej przestrzeni Dailes rodzi się teatr do spodu intymny, oparty wyłącznie na spotkaniu dwojga ludzi i obserwowaniu zmieniającej się między nimi relacji. Wtedy sam się przyłapuję na czystym wzruszeniu, zdaje mi się, że pulsująca muzyka bije w rytmie ludzkiego serca.

■■■

Twarkowski ma kalendarz wypełniony na lata. Głównym producentem ostatniej, tym razem francuskojęzycznej części trylogii naukowej będzie Comédie de Genève, wcześniej ma powstać ponoć mniejszy spektakl w Münchner Kammerspiele.

Mimo to chyba nie wszystkim w Polsce z jego sukcesem jest po drodze, skoro dostrzega się w nim jedynie designera. Mniejsza z nimi, Twarkowski jest już z innego porządku. W imieniu coraz bardziej licznego fanklubu, który wyrusza z Polski na kolejne spektakle tam, gdzie akurat może dotrzeć (część grupy spotkałem ostatnio w Rydze), życzyłbym sobie tylko, by zaglądał do Polski, choćby na festiwale. Oby tak było. Wróble ćwierkają, że z „Oracle" szanse są duże. © JACEK WAKAR

ORACLE – *tekst Anka Herbut, reż. Łukasz Twarkowski, scenografia Fabien Lédé. Najbliższe spektakle w Dailes Teātris w Rydze 23-25 kwietnia 2026 r. (z napisami w jęz. angielskim).*

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej



„TP" 6/2026

700 czytelników

Filia nr 30 Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Łopacińskiego w Lublinie jest jedną z czterdziestu placówek tej instytucji w mieście. Usytuowana na osiedlu Czechów (są tu jeszcze dwie filie), cieszy się dużym zainteresowaniem czytelników. Od lat przeważającą ich część stanowią seniorzy, nieźle jest też z czytelnikami w średnim wieku. Zawsze można liczyć na dzieci do lat 12, trudniej pozyskać młodzież (13-19 lat). Czytelników naszej filii przyciąga nie tylko książka, ale także sztuka, co jest zasługą działającej w bibliotece Galerii 31. Sąsiedztwo biblioteki i galerii owocuje rozmaitymi działaniami artystycznymi: wystawami, wernisażami, warsztatami. Czy przekłada się to na czytelnictwo? Mamy nadzieję, że tak. Wielokrotnie byłyśmy świadkami, że czytelnik zaglądał z ciekawością do galerii, a goście wernisaży zapisywali się do biblioteki. W tej sytuacji bogata oferta książek z historii sztuki w naszej filii jest dodatkowym atutem. Artystyczny profil przejawia się m.in. w zwracaniu szczególnej uwagi na szatę graficzną przy wyborze literatury dziecięcej. Dzieci, dzięki rodzicom, sięgają po klasykę („Mikołajek", „Muminki") i komiksy. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się książki wydawane w cyklach („Basia", „Magiczne drzewo") oraz detektywistyczne, adresowane oczywiście do młodego czytelnika (M. Widmark, J.-C. Mourlevat, J. Nesbø). Dorośli najczęściej poszukują literatury obyczajowej, kryminałów, reportaży, biografii – w tym modnych ostatnio biografii artystów. W Filii nr 30 nie narzekamy na brak czytelników (tylko w styczniu odwiedziło nas blisko 700) i nie obawiamy się, że spadnie zainteresowanie książką. Przeciwnie: uważamy, że ma się ona coraz lepiej.

EWA SENDEJEWICZ, MAGDALENA SZCZUCHNIAK

Książki poprawiają humor

W Gminnej Bibliotece Publicznej w Rudzińcu odnotowaliśmy ponad sześcioprocentowy wzrost liczby aktywnie wypożyczających czytelników. Pokazuje to, że mimo powszechnych opinii o spadku czytelnictwa w naszej gminie literatura wciąż ma swoje miejsce. Najliczniejszą grupę czytelników nadal stanowią kobiety, jednak coraz częściej po książki sięgają również panowie. Zauważalny jest także wzrost zainteresowania wśród najmłodszych. Rodzice coraz świadomiej wprowadzają dzieci w świat literatury, regularnie odwiedzając bibliotekę i angażując je w ogólnopolską akcję „Mała książka, wielki człowiek". Wśród dorosłych największą popularnością cieszy się literatura obyczajowa oraz sensacyjna – zwłaszcza kryminały i thrillery. W minionym roku szczególnie chętnie wybierano książki Macieja Siembiedy, Piotra Kościelnego, Marcela Mossa, Wojciecha Chmielarza i Grzegorza Budnika. Dużym zainteresowaniem cieszyły się również powieści Magdaleny Majcher, Sabiny Waszut i Karoliny Wilczyńskiej. Coraz większą sympatię zdobywa także komedia kryminalna – gatunek, który przez lata pozostawał niedoceniany. W tej kategorii czytelnicy najczęściej sięgali po książki Marty Obuch oraz Jacka Ostrowskiego. Bardzo dobre opinie zbierają również publikacje Wydawnictwa Czarne, zwłaszcza reportaże i książki podróżnicze, które wyróżniają się rzetelnością i wysoką jakością. Wśród autorów zagranicznych niezmiennie króluje Harlan Coben. Prawdziwym fenomenem ubiegłego roku okazała się natomiast seria „Arystokratka" Evžena Bočka – humorystyczne perypetie bohaterów poprawiały nastrój czytelnikom, którzy cierpliwie oczekiwali na kolejne tomy. Jesteśmy niewielką, gminną biblioteką działającą na bardzo rozległym terenie liczącym nieco ponad 10 tys. mieszkańców. Tym bardziej cieszy nas fakt, że dzięki uważnemu wsłuchiwaniu się w potrzeby odbiorców i starannemu doborowi księgozbioru możemy obserwować stały wzrost liczby czytelników. To dla nas sygnał, że oferta biblioteki trafia w gusta mieszkańców, a korzystanie z naszych usług daje im satysfakcję.

SYLWIA WELIK Dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Rudzińcu

eprasa.pl f21820d830

Non stop film



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Jak radzić sobie z potrzebą sprawiedliwości w państwie autorytarnym? I jak ocalić człowieczeństwo w starciu z systemem, który za nic ma ludzkie życie?

Kiedy jury ubiegłorocznego festiwalu w Cannes nagrodziło Złotą Palmą film Jafara Panahiego, oczywiście nie mogło wiedzieć, jak bardzo historia Islamskiej Republiki Iranu za chwilę przyspieszy. Wobec masakr dokonywanych ostatnio przez władze na protestujących obywatelach „To był zwykły przypadek" może wydawać się dziełem cokolwiek spóźnionym. Bo jak tu rozkminiać moralne niepokoje w stylu Asghara Farhadiego, gdy na ulicach wrze i piętrzą się worki z ciałami?

Tymczasem irański reżyser, który mając dwie nominacje do Oscara, promuje właśnie swój film za oceanem, zapowiada powrót do kraju, nawet ryzykując kolejne uwięzienie. Prawdopodobnie powstanie z tego następny tytuł i jego temperatura będzie wyższa, a forma drapieżniejsza.

Ten, który zaraz wejdzie do naszych kin, można jednak uznać za wybiegający w przyszłość, zadaje bowiem nieśmiertelne pytanie: jak radzić sobie z traumą i potrzebą sprawiedliwości w państwie autorytarnym? No i jak ocalić swoje człowieczeństwo w starciu z systemem, który za nic ma ludzkie życie?

Tym razem opowiedziana przez Panahiego historia czerpie z więziennych doświadczeń – jego i współwięźniów (jeden ze scenarzystów, Mehdi Mahmoudian, właśnie znów trafił do aresztu). Nawiązuje do wcześniejszych zrywów irańskiego społeczeństwa, kiedy to tysiące Irańczyków i Iranek wyszło na ulice po zabiciu przez policję studentki Mahsy Amini. Dlatego blizny, te fizyczne i te psychiczne, są tutaj ciągle świeże.

Wie coś o tym mechanik samochodowy Vahid (Vahid Mobasseri), który rozpoznaje w swym kliencie niedawnego oprawcę Eghbala (Ebrahim Azizi). Więźniowe nazywali go „Kuternogą", bo stracił kończynę, walcząc w Syrii, i odgłosy utykania, bardziej niż jego głos, zapisały się w pamięci torturowanej ofiary.

Porywa więc Vahid domniemanego kata i wywozi na pustynię. Lecz nie mając całkowitej pewności, czy to rzeczywiście on (przesłuchiwanym zasłaniano oczy), zbiera kilkuosobową grupę innych ekswięźniów w celu dokonania identyfikacji – i własnoręcznej egzekucji.

Trzymają go przez cały dzień w bagażniku furgonetki, spierając się, co dalej z tym fantem zrobić, i nagle na telefon Eghbala dzwoni jego kilkuletnia córeczka. Bohaterowie dowiadują się, że ciężarna żona „kata" właśnie straciła przytomność. Pojawia się nowy dylemat: czy mimo wszystko należałoby jej pomóc? I czy w ogóle godzi się sięgać po brutalne metody stosowane przez oprawców? Zwłaszcza gdy nadal istnieją wątpliwości co do rzeczywistej tożsamości jednego z nich.

Bohaterami Panahiego rządzi pamięć (wybiórcza, w dużej mierze zmysłowa) i zarazem głęboka niepamięć. Jedni chcieliby wrócić do normalności i zapomnieć o więziennym horrorze, inni wręcz przeciwnie – noszą w sobie rany tak głębokie, że nie sposób odciąć się od przeszłości. Ani tym bardziej wybaczyć sprawcom czy stracić teraz okazję do prywatnej zemsty. To ludzie okaleczeni przez system, jak prosty Vahid z obitymi nerkami albo funkcjonujący na prochach Hamid (Mohamad Ali Elyasmehr), najbardziej zacietrzewiony w pragnieniu odwetu. Ale są także kobiety, które prócz „klasycznych" tortur doświadczały przemocy seksualnej, czasem podszytej religijną perwersją.

Jedna z nich, Goli (Hadis Pakbaten), zostaje wkręcona w samosąd podczas swojej przedślubnej sesji fotograficznej, druga zaś, stojąca za obiektywem Shiva (Mariam Afshari), jest byłą dziennikarką i ma wyraźnie lekceważący stosunek donakazu zasłaniania włosów. Albowiem Teheran w filmie „To był zwykły przypadek" wydaje się nieco innym miejscem niż kilka lat wcześniej. Ciągle rządzi surowe prawo obyczajowe (co widać w scenie szpitalnej) i korupcja (patrz: rozmowa z policją), lecz choć panuje atmosfera wzajemnej nieufności i strachu, Panahi dostrzega zmiany w ludziach.

Nie przypadkiem Shiva staje się tutaj postacią podmiotową i sprawczą – przy-

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl f21820d830



MATERIAŁY PRASOWE

TO BYŁ ZWYKŁY PRZYPADEK *(„Un simple accident") – reż. Jafar Panahi. Prod. Francja/Iran/Luksemburg 2025. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 20 lutego. Wcześniej pokazy przedpremierowe.*

Jafar Panahi to najczęściej nagradzany współczesny reżyser irański, uznawany przez tamtejszy reżym za jednego z największych wrogów. Twórca takich tytułów, jak „Biały balonik" (1995), „Na spalonym" (2006) czy „Taxi-Teheran" (2015), był kilkakrotnie więziony, lecz nadal nielegalnie kręcił filmy. W 2023 roku udało mu się wyjechać z Iranu, ale ciąży na nim kolejny, wydany zaocznie wyrok.

Powyżej: kadr z filmu „To był zwykły przypadek"

pomnijmy, że to właśnie młode Iranki wybudziły społeczeństwo kilka lat temu. I mimo że „To był zwykły przypadek" zdaje się kłaść główny nacisk na kwestie natury etycznej, czuje się w bohaterach jakiś nowy duch odwagi. Podszytej gniewem i traumą, ale przynajmniej niektórzy z nich spróbują przezwyciężać wszechobecny lęk gestem nie tylko desperackim.

Motyw konfrontacji ofiary z dawnym oprawcą dobrze znamy z kina, chociażby z „Pasażerki" Andrzeja Munka czy „Śmierci i dziewczyny" Romana Polańskiego. Film Panahiego rozpoczyna się rodzinną scenką i przypadkowym zabiciem psa, a kończy brawurową sceną na najwyższym diapazonie emocji, z próbą odwrócenia ról i dwuznacznym epilogiem.

„Czy jesteśmy przygotowani, żeby zrobić to, co należy, po upadku reżimu?" – zastanawiał się reżyser w wywiadzie dla magazynu „Variety", ale było to w październiku, czyli zanim rządowe siły bezpieczeństwa zaczęły masowo zabijać Irańczyków. Pytanie jednak musi pozostać aktualne, niezależnie od tego, kiedy ten upadek nastąpi i ile jeszcze ofiar za sobą pociągnie.

Także inni opozycyjni reżyserzy irańscy, choć bez nadmiernego optymizmu, przeczuwają ten upadek w swoich filmach, na przykład Mohammad Rasoulof, autor „Nasienia świętej figi", czy Behtash Sanaeeha i Maryam Moghaddam, twórcy „Mojego ulubionego ciasta". Oni również pracowali w ukryciu, łamiąc zakazy nie tylko cenzuralne i narażając się na srogie represje.

Panahi to twórca, który mając wieloletni szlaban na pracę w zawodzie, kręci swój nielegalny film poniekąd non stop: siedząc w niesławnym więzieniu Envin, przebywając w teherańskim areszcie domowym, bądź kierując taksówką, w której ongiś był zmuszony zarabiać na życie. Przy „Niedźwiedzie nie istnieją" (2022) nawigował zdalnie planem filmowym w Turcji, sam przebywając w przygranicznej wiosce irańskiej z zakazem opuszczania kraju.

A to wszystko dzięki wielkiej determinacji oraz wsparciu – i finansowemu, i politycznemu – ze strony europejskiego środowiska filmowego. I choć „To był zwykły przypadek" nie jest jego filmem najlepszym (nie ma tu wyrafinowanych gier z rzeczywistością, a oscarowy scenariusz ucieka od życiowego i politycznego konkretu w subtelne, typowo „irańskie" metafory), doceniam jego absurdalny humor, psychologiczne komplikacje oraz niepokój o przyszłość pomieszany z przebłyskami wiary. Nie tyle w rychły upadek systemu, ile w samych Irańczyków. ©

Lektor:
Mądrość powściągliwa



▪ *Albert Camus,* **NOTATNIKI. MAJ 1935 – GRUDZIEŃ 1959**, *przełożyli i przypisami opatrzyli Krzysztof Umiński, Tomasz Swoboda, Jan Maria Kłoczowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025, ss. 814.*

Ponad osiemset stron – i co tu wybrać w krótkiej nocie? Bo to nie jest dziennik, czego autor, jak zauważa Tomasz Swoboda, był świadomy. Ani nieskrępowane wyznanie. Jak pisze Swoboda, „jest w Camusie jakaś fundamentalna wstydliwość, czy może raczej poczucie przyzwoitości, coś na kształt klasycystycznej zasady bienséance, zakazującej pokazywania rzeczy niestosownych, a w tym wypadku – publicznego obnażania się, także w tekście, nawet tak intymnym jak quasi-dziennik". W dobie publikowania nieokiełznanych, czasem budzących zażenowanie wynurzeń to raczej rzadkość.

Kto jednak Camusa ceni, będzie miał co czytać. Choćby dlatego, że wejrzy – kolejnymi fleszami – w jego pisarski warsztat, w pracę nad powieściami, dramatami i esejami. Albo nad teatralną adaptacją „Biesów"; uwagi o postaci i dziele Dostojewskiego bardzo są godne uwagi! Albo znajdzie zwięźle sformułowane powody rozejścia się pisarza z przyjaciółmi z lewicy i jednoznaczny osąd stalinizmu, co w tużpowojennej Francji było grzechem niemal śmiertelnym... Albo świetne wypisy z lektur; polecam zwłaszcza uwagi na temat Hermana Melville'a, do którego prozy autor „Dżumy" często wracał.

Czytać i cytować. „Ilekroć słyszę przemówienie polityczne lub czytam tych, którzy nami rządzą, tylekroć przeraża mnie, że od lat w ich głosach nie słyszę nic ludzkiego. Są to zawsze te same słowa powtarzające te same kłamstwa. A to, że ludzie się na to godzą i że gniew ludu wciąż nie zgniótł tych marionetek, traktuję jako dowód na to, że dla ludzi ich rząd nie ma znaczenia; że pewną sferę swojego życia traktują w całości jako grę, tak, grę, i tak samo swoje rzekomo elementarne interesy" (zanotowano w 1937 roku, a brzmi jakby aktualnie...). „Potrzeba, by mieć rację, znamię pospolitego umysłu". „Myśliciel dokonuje postępu, opóźniając wnioski, nawet jeśli wydają mu się oczywiste". „Czy istnieje tragiczny dyletantyzm?". „Naturalność nie jest cnotą wrodzoną: jest wartością nabytą". „W sprawach wielkich należy postępować wedle zasad. W małych wystarczy miłosierdzie".

I na koniec porada. „Wiekowa angielska dama, która popełnia samobójstwo. W swoim dzienniku od miesięcy zapisywała to jedno zdanie: – Dziś nikt mnie nie odwiedził". Przemyślcie to! ©℗

eprasa.pl f21820d830

PAWEŁ

Bravo:
Carbonara files



A co gdyby twoja babcia miała wąsy i nazywała się, dajmy na to, Iwan? Po pagonach poznać, że w *zwanii lejtnanta*. Wyobraźmy sobie, że profesor z wydziału historii niepośledniego uniwersytetu próbuje ci wmówić, że oto ten babciny czy wręcz staropolski żurek pojawił się na naszych ziemiach dopiero tuż po wojnie, pod wpływem obecności Armii Czerwonej, która wiozła ze sobą na eszelonach worki żytniej mąki.

Narażam was na ten przykry eksperyment myślowy tylko dlatego, że jesteśmy bezpieczni – źródeł pisanych na obecność żurku choćby i 200 lat temu mamy mnóstwo. Włosi jednak nie uniknęli podobnej w duchu operacji na otwartym żołądku w przypadku carbonary, co wam tu raz czy drugi referowałem ze złośliwą satysfakcją, więc tylko przypomnijmy główne punkty.

Tok rozumowania był taki: potrawa musiała powstać nie wcześniej niż w połowie lat 40., bowiem pierwszy przepis pojawił się drukiem w roku 1952 – i do tego na ziemi obcej, bo równolegle w przewodniku po Chicago i w gazecie publikowanej w Lille (co nie dziwi, bo tamtejszy węgiel fedrowali nie tylko Ślązacy, ale i liczne brygady Włochów). Z drugiej strony półwysep gościł – *nolens volens* – żołnierzy amerykańskich, którzy wchodzili z tubylcami oraz tubylczyniami w ożywione kontakty barterowe, nabywając różne fawory w zamian za racje żywnościowe zawierające jajka w proszku i suszony boczek.

W umysłach ukształtowanych na szkolnej opowieści jak w mętnej zupie praoceanów powstało kiedyś przypadkiem życie, musiał się więc pojawić domysł, że pewnego wieczora roku 1944 czy nieco później, w rzymskiej trattorii nieopodal koszar grom z jasnego nieba czy raczej ciemnej kuchennej powały połączył te pierwiastki w całość. A ta natychmiast „zażarła", bo okazała się genialna.

Hipoteza ta, nosząca piętno biedy i odcisk obcego, podkutego buta, z trudem i pomału się przyjęła jako wiedza nieprzyjemna, ale „naukowa", co nie przeszkadzało fanatykom tożsamościowym urządzać dalej awantury o to, jaki przepis jest jedyny i prawdziwy, tak jakby go wyczytali z fryzu na łuku Hadriana albo wykradli z archiwów watykańskich. Nie, to drugie nie wchodzi w grę, bo to prawdopodobnie jedyna szczelna instytucja w Rzymie. I po co było się tak umartwiać, po co ta pedagogika wstydu?

Wielkie bum po ostatniej partii *Epstein files* to jest nic w porównaniu z tym, co się rozpętało po odkryciu sprzed tygodnia, że w pewnej gazecie indonezyjskiej z 1939 r. drukowanej po niderlandzku mamy reportaż o „Rzymskim śnie nocy letniej", zawierający plastyczny opis rozmaitych atrakcji, w tym ulicznej biesiady na placu przed kościołem NMP na Zatybrzu, gdzie jedna z dwóch knajp słynie ze *spaghetti alla carbonara*.



PETER EASTLAND / ALAMY / BE&W

Brak opisu, ale nazwa jest, obok innych mających długi rodowód jak *amatriciana* czy krowi ogon po pastersku. Jankescy żołnierze niczego nie wnieśli od siebie, co najwyżej przyczynili się do ekspansji carbonary, która Anglosasom wychowanym na jajkach na bekonie musiała się wydawać szczególnie smaczna. Rozliczne tomy analiz wędrują na śmietnik, a ich autorzy kombinują jak koń pod górkę, co dalej. Będę wam pilnie referował.

Wróćmy na moment do kolonialnej gazety. Wysłanniczka z Dżakarty opowiada, jak to ów plac – szczególnie nam bliski, bazylika na Zatybrzu była kościołem tytularnym trzech polskich prymasów! – co roku zapełnia się coraz większą liczbą stolików, a pozostałe miejsce zagarniają samochody. Dziś samochodów już nie ma, ale całe Zatybrze wygląda jak jedna ciągła uliczna karczma. Rzymianie w oczach autorki tworzą kolorową ciżbę, zanikają różnice klasowe. Przy stołach obok siebie robotnicy i urzędnicy, praczki i panie z towarzystwa, „nawet kardynał Pizzardo z pobliskiego pałacu, gdyby nie mogąc zasnąć, zszedł między stoliki, nie wzbudziłby dużej sensacji".

Tu już pani popłynęła (poza tym w pałacu św. Kaliksta mieszczą się urzędy kurii i ów potężny kardynał, zausznik obu Piusów, tam tylko pracował), ale rozgardiasz tej dzielnicy miał moc łączenia przy stole ponad podziałami. Wnoszę to choćby po genialnych dwóch scenach z „Rzymu" Felliniego.

Tej z lat 30., gdzie rozgadany tłum biesiaduje przy stołach niemal wprost na torach tramwajowych i dowiadujemy się,

eprasa.pl f21820d830



Ulica w Rzymie, luty 2022 r.

czym jest *pajata* – jelita mlecznego cielęcia gotowane wraz z treścią. Najbiedniejsza kuchnia resztkowa może być po swojemu sybarycka. I tej drugiej scenie z lat 70., kiedy na placu intelektualiści i bohema perorują przy kolacji, a tuż obok policja pałuje hippisów, którzy obsiedli pokojowo fontannę.

W tej scenie pojawia się amerykański pisarz i dramaturg Gore Vidal – Fellini poznał go, gdy ten pracował w Cinecittà nad „Ben Hurem", a potem praktycznie zamieszkał we Włoszech. Mówi mniej więcej coś takiego: „Mieszkam tu, bo Rzym to miasto iluzji, nieprzypadkiem to tu ma siedzibę rząd, Kościół i kino – wszystkie trzy tworzą iluzje. To miasto nieraz upadło i powstało, jest więc najlepszym miejscem, by spokojnie czekać na następny koniec świata".

Ten sam Vidal jeszcze 15 lat temu, gdy głośno było o chwilowym zatrzymaniu Romana Polańskiego w związku z dawnym zarzutem o gwałt na 13-latce, w jednym z wywiadów wyrażał się lekceważąco i pogardliwie o ofierze – w tym samym tonie „nie rozumiem tej histerii", jaki znamy ze świeżo ujawnionego maila innego weterana intelektualisty z tego samego pokolenia. Oj, światy rzeczywiście się szybko po sobie kończą i kto wie, co nam jutro zostanie wypomniane. Może trzeba posłuchać Anny Magnani, która nagabywana pod koniec filmu, by powiedziała coś mądrego o Rzymie, mówi: „Federi', idź spać".

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Makaron z mascarpone

Po techniczne i historyczne rozważania o tym, jak zrobić właściwą carbonarę, odsyłam was do naszego archiwum – albo do książki „Kuchnia Dantego" moich przyjaciół, nie ma chyba po polsku bardziej wyczerpującego traktatu na ten temat. Dziś spróbujmy pewien bardzo zimowy makaron o podobnej konsystencji, z tym że z racji użycia mascarpone znacznie bardziej „północny", a ściślej lombardzki, bo to w tym regionie powstał serek, rozpowszechniony szerzej dopiero kilkudziesiąt lat temu.

SKŁADNIKI:
400 g spaghetti 2 żółtka 200 g mascarpone 30 g masła ▪ gałka muszkatołowa ▪ pieprz ▪ parmezan ▪ (alternatywnie: cytryna i koperek)

W dużej misce mieszamy delikatnie mascarpone (koniecznie w temperaturze pokojowej) z żółtkami, doprawiamy gałką muszkatołową i solą. Warto ten krem nieco jeszcze rozrzedzić dwiema-trzema łyżkami wody, w której równolegle się gotuje makaron. Ale uwaga! Przed dodaniem wystudźmy ją przez moment. Miskę z gotowym kremem trzymamy w ciepłym miejscu, np. obok kuchenki. Kiedy makaron będzie al dente, przekładamy go na patelnię z masłem, dobrze mieszamy na wolnym ogniu przez minutkę i przerzucamy do miski z kremem. Tym razem mieszamy intensywnie, dodajemy parmezan i pieprz i przekładamy do talerzy, które koniecznie wcześniej mocno rozgrzaliśmy. Znam też inny wariant tego dania: zamiast gałki dodajemy skórkę startą z jednej cytryny, a do gotowego kremu dolewamy łyżkę soku z tejże cytryny. Na wydaniu wtedy pieprz należy zastąpić świeżo siekanym koperkiem. ©℗



MISTERAUTO / ADOBE STOCK

eprasa.pl f21820d830



ED BUZIAK / STOCKIMO / ALAMY STOCK / BE&W

eprasa.pl f21820d830

ZMYSŁY

TUŻ OBOK LIDLA

Paryż, jak wiadomo, jest miastem miłości. I ofiarą własnego sukcesu, bo w miejscach z czołówki „najbardziej romantycznych" z reguły nie sposób przedrzeć się przez gąszcz kijków do selfie. Zwłaszcza w walentynki.

DOROTA MALINA Z PARYŻA

W najnowszym filmie Agnieszki Holland przewodniczka oprowadzająca turystów po muzeum Kafki w Pradze podaje ciekawostkę: stosunek liczby stron napisanych przez Franza do liczby stron napisanych o nim i jego książkach wynosi jeden do dziesięciu milionów. Myślę, że Paryż przebija Kafkę – miastu o powierzchni stu pięciu kilometrów kwadratowych poświęcono już tyle tekstów, że gdyby ułożyć kartki jedna na drugiej, to (jak w tytule powieści Adama Gopnika „Paris to the Moon"), można by sięgnąć Księżyca.

Paris, Paryż, Pariggi, Parijs, Párizs – prawie każdy język ma na francuską stolicę własny egzonim, a prawie każdy, kto tu przyjeżdża, ma o Paryżu własną opowieść. Wszyscy zgodnie twierdzą, że to miasto-świat, nieskończenie bogaty tygiel kultur, palimpsest kolejnych epok i koncepcji urbanistycznych, którego nie sposób ogarnąć w całości. Stąd specjalizacja, subiektywizacja, wybiórczość i *freestyle* – można się pogubić. Dlatego jako żarłoczna czytelniczka wszelkich parisianów postaram się naszkicować poręczną mapę przewodników i publikacji.

BEZ TŁUMU I KOLEJEK

MUSÉE DE LA VIE ROMANTIQUE VS HALLE SAINT-PIERRE
W zestawieniach pojawia się chyba tylko ze względu na nazwę. Na próżno szukać tam serduszek czy ckliwych wierszy – znajdujący się w dzielnicy 9. dom holenderskiego malarza Ary'ego Scheffera zawiera pamiątki po nim i odwiedzającej go czasem Georges Sand. Ekspozycja stała, szczerze mówiąc, trochę trąci myszką. Większym powodzeniem cieszy się kawiarnia w ogrodzie, gdzie można uraczyć się pyszną kawą i smakołykami z franczyzy Rose Bakery. Tylko że w lutym ogród wygląda raczej smętnie, a konsumpcja na zewnątrz grozi przeziębieniem.
DUŻO CIEKAWIEJ zrobić sobie piętnastominutowy spacerek przez Plac Pigalle i usiąść na kawę w Halle Saint-Pierre. W wielkiej przeszklonej hali targowej w stylu Baltarda dziś mieści się muzeum sztuki prymitywnej, naiwnej i „oustiderskiej", wspaniała księgarnia (*obok na zdjęciu*) oraz kawiarnio-restauracja z ciastkami w witrynce.

„Guide du Routard": analogowo

Paryż, choć mitologizowany i owiany aurą pewnego *je ne sais quoi*, koniec końców też jest miastem. Wypada więc zacząć od klasycznych przewodników, takich, które zawierają podstawowe fakty, propozycje tras na trzydniową wycieczkę i kultowych restauracji, które zwykle już w dniu premiery książki są zamknięte, zmieniły właściciela albo straciły gwiazdkę Michelina.

Dla francuskojęzycznych sztandarową pozycję stanowi „Guide du Routard" – staroświecki, bez obrazków, wydrukowany na cienkim gazetowym papierze, za to aktualizowany co roku i rzetelny do bólu. Jakby z poprzedniej epoki, bo każdy „Routard" zaczyna się od informacji praktycznych (kto dziś dzwoni do biura informacji kolejowej?) i sążnistego wstępu o historii miasta, jego kulturze i obyczajach.

Turysta dostaje też listę lektur, zarówno opracowań naukowych, jak i osadzonych w Paryżu powieści, komiksów i filmów. Potem następuje dwadzieścia rozdziałów, po jednym na każdą dzielnicę. Ogólny wstęp, polecane hotele, jadłodajnie z podziałem na tanie, średnie i drogie, wreszcie wyczerpujący i dokładny opis miejsc wartych odwiedzenia.

Autorzy „Routarda" podają też wiele ciekawostek (w podwórzu tej kamienicy po lewej stronie jest studnia, z której pił koń Napoleona) i bonusów (za okazaniem niniejszego przewodnika kawa po obiedzie gratis). Z lekkim „Routardem" w ręce spokojnie można schować telefon i zwiedzać Paryż analogowo: dzięki szczegółowym opisom, przydatnym mapkom i sprawdzonym rekomendacjom podróżnik znajdzie to, na co raczej nie trafią wielbiciele Tripadvisora, unikając przy tym turystycznych pułapek.

Michelin: śladem gwiazdek

Historycznym konkurentem „Routarda" jest „Michelin" – przewodniki, które początkowo miały pomagać kierowcom znajdować stacje paliw oraz przyzwoite posiłki, zaczęto uzupełniać o informacje na temat miejsc, dla których warto zjechać z autostrady. I tak obok czerwonych „Guide Michelin" dla ↦

eprasa.pl f21820d830

↦ automobilistów pojawiły się te zielone, krajoznawcze (pierwszy w roku 1939).

Osobiście niezbyt lubię to motoryzacyjne dziedzictwo wydajności i optymalizacji: „Micheliny" proponują gotowe trasy spacerów i, jak w przypadku restauracji, system gwiazdek (miejsce warte zobaczenia, warte nadłożenia drogi). Z przekory natychmiast mam ochotę zboczyć z trasy i pomijać trzygwiazdkowce. Plusem przewodników „Michelin" jest natomiast to, że zostały przetłumaczone na języki obce, w tym na polski.

Oczywiście nie samym „Michelinem" polskie przewodniki stoją – przekładów z francuskiego i angielskiego oraz wydawnictw rodzimych jest w księgarniach zatrzęsienie. Podejrzewam, że autorzy w większości zżynają z „Routarda. Nie będę jednak krzyczeć *„j'accuse"*, bo choć od wielu lat żarłocznie czytam każdą książkę o Paryżu, która wpadnie mi w ręce, na pewno nie znam wszystkich pozycji. Ich mnogość w antykwariatach skłania do smutnego wniosku, że może w dobie internetu i sztucznej inteligencji przewodniki są staroświeckie jak przecinek?

Bronią się na pewno przewodniki erudycyjne, opowieści o geograficznym wycinku Paryża, w którym jak w soczewce uważny obserwator dostrzegł hologram całości. Do tej kategorii zaliczam „Rue de Seine. Biografię paryskiej ulicy" Renaty Gorczyńskiej, która opisała niesamowitych mieszkańców rue de Seine i ich niebanalne losy (w pierwszym wydaniu książka nosiła tytuł „Skandale minionego życia") oraz „The Only Street in Paris: Life on the Rue des Martyrs" Elaine Sciolino.

Była szefowa paryskiego biura „New York Timesa" złapała kultową rue des Martyrs w momencie, kiedy dawna ulica handlowa z najstarszą w mieście rzeźnią zamienia się w enklawę drogich butików z kolorowymi ciasteczkami. Sciolino jest też autorką książki o Sekwanie i o Luwrze, choć trudno orzec, czy Sekwana i Luwr to miejsca, czy raczej tematy rzeki.

Parigramme: dla jaroszy i kawoszy

O ile podstawowe fakty i rekomendacje łatwo da się sprawdzić w sieci, o tyle przewodnik znawcy danego, zwłaszcza niszowego, tematu nadal pozostaje w cenie. Paryskiego ślimaka można bowiem ciąć geograficznie, na dzielnice, ale dużo ciekawsza jest dysekcja tematyczna.

Większość dużych wydawnictw (Lonely Planet, Routard) ma wersję „Paryż z dziećmi", czasem też „Paryż dla zakochanych", ale prawdziwym czempionem gatunku jest wydawnictwo Parigramme. Niewielkie kolorowe książeczki zawierają tematyczne spisy miejsc: „Paryż Guillaume'a Apollinaire'a", „Paryż za darmo"; „Paryż na zielonej trawce"; „Brunche i podwieczorki w Paryżu".

Dzięki tym (i wielu podobnym, bo pomysł jest namiętnie powielany) przewodnikom francuską stolicę zwiedzać można śladami Prousta i Pereca, podziwiać tylko architekturę współczesną albo wyłącznie relikty średniowiecza; odwiedzać urocze tradycyjne sklepiki albo modne lumpeksy. Są przewodniki dla seniorów i dla kinomanów, dla jaroszy i dla kawoszy, dla rodzin z dziećmi i dla tych, którzy „cenią spokój".

Oczywiście oprócz serii istnieją też publikacje indywidualne autorstwa specjalistów w danej dziedzinie. Moje ulubione to: „Paryż wpław", czyli przewodnik po miejskich pływalniach sióstr Colombe i Marine Schneck oraz „Gdzie siusiać w Paryżu"



YOAN VALAT / EPA / PAP



BERNHARD WINKELMANN / / MATERIAŁY PRASOWE RESTAURACJI ARPÈGE



VITAARTBR / ADOBE STOCK

eprasa.pl f21820d830

Cécile Briand (rozkosznie śmieszny, ale niezwykle przydatny bestseller, który doczekał się drugiego wydania). Obydwa dostępne tylko po francusku, z czego akurat się cieszę, bo uważam, że w paryskich toaletach i na basenach już i tak panuje za duży tłok.

Tematów jest bez liku, ale ze względu na etykietki doczepiane Paryżowi (stolica mody i gastronomii) pewne dziedziny dominują. Pewnie dlatego nawet polscy czytelnicy mogą przeczytać „Paryż na talerzu" pod redakcją François Régis-Gaudry'ego czy „Bądź paryżanką, gdziekolwiek jesteś" autorstwa czterech francuskich celebrytek – przewodnik nie tyle po mieście, co po esencji „paryskości" (w skrócie: dyskretny makijaż + proste, ale kosztowne ciuchy + dyskretny urok burżuazji) oraz jej rodzimą wersję „Jak być paryżanką w Polsce" Natalii Hołowni.

Nową i prężnie rozwijającą się kategorią są przewodniki śladami seriali – „Paryż Amelii" czy „Paryż Emily" to już klasyki (w tej piekarni kupowała croissanta, a tu całowała się z Gabrielem) oraz Paryż „instagrammable", czyli miejsca, zwykle drogie, zatłoczone i przereklamowane, które każdy szanujący się influencer ma w swoim feedzie.

Spacer bez przewodnika

Instagram niechybnie konotuje ze sławą, a przynajmniej z celebryctwem, co otwiera kategorię przewodników znanych osób, którą na własny użytek nazywam halikami („tu byłem"). Jako że wszystko już było i wszystkiego jest za dużo, trzeba dokonać wyboru. A żeby ludzie ten wybór kupili (dosłownie lub w przenośni), cicerone musi być albo wybitnym koneserem albo osobą wpływową, której gusta nam imponują. Tego typu publikacje często bywają papierową wersją bloga czy profilu na Instagramie, o czym wydawca zwykle dumnie informuje na okładce.

Oczywiście przemawia przeze mnie zazdrość, bo sama mieszkam w Paryżu i mam swoje ulubione miejsca, ale ponieważ nie jestem ani wybitną specjalistką, ani osobą szczególnie wpływową, żadne wydawnictwo nie kupuje mojego pomysłu na książkę o prawdziwym paryskim życiu (mam nawet tytuł: „Paryż non-fiction").

Pocieszam się, że prawdziwi znawcy Paryża, osoby, które, jak wiem skądinąd, naprawdę znają to miasto wzdłuż, wszerz i w głąb, nigdy nie porwały się na przewodniki, więc ja tym bardziej nie powinnam. Wybitna tłumaczka Maryna Ochab, pisarki Anna Arno czy Ewa Bieńkowska nie wydają książek z gatunku „Paryż. Przewodnik definitywny". Ograniczają się do szkiców, esejów i popularyzacji „paryskich" autorów.

Wątki paryskie można bowiem śledzić również w dziale beletrystyka. Perec i jego „Próba wyczerpania miejsca paryskiego" (nietłumaczone na polski), powieści Victora Hugo, Ernesta Hemingwaya, Patrica Modiano, proza Josepha Rotha czy eseje Abbotta J. Lieblinga „Między posiłkami. Apetyt na Paryż" to tylko kilka kropelek z przepastnego morza książek z tagiem „Paryż". Zamiast gotowych spacerów serialowej Emily można samemu opracować sobie trasę śladami Palomy z „Elegancji jeża", komisarza Maigreta czy Julii Child.

Bo czy przewodnik po Paryżu to faktycznie zawsze dobry pomysł? Może zamiast zaliczać dziesięć najwspanialszych kawiarni albo biegać po mieście śladami Marii Curie, warto po prostu sobie pospacerować? Oraz, jak radził Adam Zagajewski, po prostu uważnie się rozglądać:

Lubię chodzić na długie spacery paryskimi ulicami
i patrzeć na moich bliźnich, ożywionych zazdrością,
pożądaniem lub gniewem; obserwować srebrną monetę,
która przechodzi z dłoni do dłoni i powoli traci
swój okrągły kształt (zaciera się profil cesarza).

© DOROTA MALINA

BEZ TŁUMU I KOLEJEK

WZGÓRZE MONTMARTRE VS „COEUR DE PARIS"

Schody przed białą jak beza bazyliką Najświętszego Serca, skąd rozciąga się wspaniały widok na całe miasto, to miejsce owszem, romantyczne, ale tak zatłoczone, że zamiast żony przez przypadek można pocałować kogoś innego. To samo dotyczy figurującego we wszystkich rankingach pobliskiego muru „Je t'aime", na którym deklaracja miłości widnieje w 250 językach.

SPRYTNY TURYSTA zjedzie z utartego szlaku i zamiast wspinać się na wzgórze, w dzielnicy Montmartre wybierze się pod ogromne neonowe serce francusko-portugalskiej artystki Joany Vasconcelos. „Coeur de Paris" (*serce Paryża, obok na zdjęciu*) znajduje się na północnym krańcu miasta, tuż obok Lidla. Takiego zdjęcia z Francji nie przywiezie żaden znajomy.

WIEŻA EIFFLA VS RESTAURACJA ARPÈGE

Jak się oświadczać, to tylko tam – radzą przewodniki. Restauracja na drugim piętrze wieży ma dwie gwiazdki Michelina, wspaniały widok i menu degustacyjne już od 300 euro. Niestety, ponieważ nie jesteśmy Emily, o rezerwacji na 14 lutego nie ma nawet co marzyć.

TYM, KTÓRZY CHCĄ DOŚWIADCZYĆ wysokiej gastronomii bliżej ziemi (dosłownie, bo szef kuchni Alain Passard korzysta wyłącznie z plonów z własnego ogrodu), poleca się trzygwiazdkową wegańską (!) restaurację Arpège (*obok na zdjęciu*). Menu degustacyjne kosztuje co prawda 420 euro, ale doświadczenie jest naprawdę niezapomniane.

PONT DES ARTS VS PLAC DAUPHINE

Przewodniki radzą zakochanym spacer nad Sekwaną i zawieszenie kłódki (nielegalne, ale kto zakochanemu zabroni) na którymś z mostów, najlepiej Pont des Arts. Owszem, widoki są piękne, a rytuał miły, ale kto był w Paryżu zimą, ten wie, że od wody najbardziej ciągnie. A z fioletowym nosem nikt nie wygląda dobrze.

SPRYTNY TURYSTA pójdzie raczj śladem komisarza Maigreta i schroni się na sąsiadującym z rzeką Placu Dauphine (*obok na zdjęciu*). Trójkątny plac, ze względu na kształt nazywany łonem Paryża, jest romantyczną i stosunkowo mało uczęszczaną enklawą w samym sercu miasta, na Île de la Cité. Nie brak tu kawiarenek i restauracji, gdzie można przysiąść na lampkę wina czy gorącą czekoladę. Albo na stek z frytkami (nie wszystkim zakochanie odbiera apetyt).

eprasa.pl f21820d830

TOMASZ

Stawiszyński:
Epstein i scena pierwotna



Publikacja 3,5 miliona stron dokumentów z archiwum Jeffreya Epsteina jest bez wątpienia także wielkim eksperymentem społecznym. W czasach mediów społecznościowych, botów, rozproszenia uwagi i zacierania się granic między rzeczywistością a nierzeczywistością wpuszczanie czegoś takiego do infosfery wiąże się z wieloma ryzykami. Publikacji nie towarzyszy bowiem żadna syntetyczna, krytyczna analiza. Żaden ekstrakt, w którym rozróżnieniu podlegałyby rzeczy poważne i mniej poważne, zweryfikowane i posiadające status spekulacji czy plotki.

Na rzetelną analizę tych dokumentów, na ustalenie, co w nich jest twardym dowodem, co poszlaką, a co ewidentną nieprawdą, będziemy musieli zapewne poczekać. Cała ta historia nie oddziaływałaby jednak na powszechną wyobraźnię tak intensywnie, gdyby to, co już w niej od dawna pewne i wiadome, nie padało na podatny grunt.

A co jest w niej od dawna pewne i wiadome? Że Epstein był seksualnym drapieżnikiem, działającym otwarcie i bez żadnego kamuflażu. Że wraz ze swoją partnerką Ghislaine Maxwell usidlał, zwodził i eksploatował młode, w tym nieletnie kobiety. Że stręczył ofiary niektórym bogatym i wpływowym znajomym i przyjaciołom, a oni chętnie z tych „uciech" korzystali. Że w tym kręgu znajdowała się wierchuszka osób z pierwszych stron gazet – polityków, biznesmenów, aktorów, medialnych potentatów i intelektualistów. Że ludzie ci wiedzieli, z kim mają do czynienia. Że Epstein funkcjonował wewnątrz międzynarodowego środowiska możnych i wpływowych, którym doradzał finansowo i robił z nimi interesy. Że występował jako mecenas sztuki i hojny sponsor. I że przez lata nikt nie uznawał go za *persona non grata*, lecz dokładnie na odwrót.

Ujawniony mail, w którym miliarder Richard Branson sugeruje Epsteinowi, w jaki sposób może poprawić swój publiczny wizerunek, skupia w sobie niemal wszystkie powyższe składniki. Poproś Billa Gatesa, pisze Branson, żeby publicznie podkreślił, jakim byłeś świetnym doradcą i zaznaczył, że, owszem, popełniłeś kiedyś błąd i przespałeś się z siedemnastolatką, ale poniosłeś za to karę, zmądrzałeś, a teraz, jako człowiek samotny, szukasz po prostu kobiecego towarzystwa. I dodaje: „kiedy tylko będziesz w okolicy, z przyjemnością znowu się spotkam, o ile tylko przywieziesz swój harem". Tamten zaś odpisuje, że dziękuje za poradę i zaprasza z kolei do siebie, na swoją prywatną wyspę, na której przez tydzień będzie również przebywał Thorbjørn Jagland, były premier Norwegii, były sekretarz generalny Rady Europy i... ówczesny przewodniczący Komitetu Noblowskiego. Dodajmy, że ta korespondencja odbywa się w 2013 r. A więc cztery lata po tym, jak Epstein opuścił więzienie po odsiedzeniu 13 miesięcy za nakłanianie i pozyskiwanie nieletnich do prostytucji, a także rok po publicznym wystąpieniu Virginii Giuffre, która była ofiarą Epsteina i eksksięcia Andrzeja.

Istotnie, robi to wrażenie. Branson i Gates pomagający Epsteinowi przezwyciężyć „kryzys wizerunkowy", dowcipy o „haremie", a do tego wszystkiego jeszcze szef Komitetu Noblowskiego spędzający czas na owianej mroczną sławą wyspie. Niezależnie od tego, kto jest dokładnie czemu winny, kto co zrobił, a czego nie zrobił oraz ile wiedział lub nie wiedział – widzimy tu klasyczną „scenę pierwotną" z greckich mitów, chrześcijańskich nauk o pokusach i grzechu, buddyjskich ostrzeżeń przed lgnięciem do toksycznych iluzji oraz filozoficznych i psychoanalitycznych rozważań o potędze instynktów i nieświadomości.

Jak widać – są one wciąż aktualne. Przemieszanie władzy, seksu, braku zahamowań moralnych, bezlitosnego eksploatowania biedniejszych i słabszych, poczucie bezkarności, zamykanie oczu na to, co jest pod samym nosem, a do tego wszystkiego – monstrualna hipokryzja. Działanie w ukryciu, które stoi w sprzeczności z wypowiadanymi publicznie słowami, deklaracjami, z całą dostępną na zewnątrz, wypracowaną na potrzeby tłumu mimikrą.

I wcale nie trzeba tu wielkiej, oplatającej całą kulę ziemską konspiracji rodem z Pizzagate. Nie trzeba spisku reptilian. Prawda jest znacznie bardziej wstrząsająca i znacznie bardziej banalna niż fantazyjne teorie spiskowe, które jednak na jej nieobrobionym gruncie będą teraz rosnąć.

Jestem pewien, że dalekosiężne efekty ujawnienia tej sprawy będą odpowiednikiem krajobrazu po eksplozji jądrowej. Nie tylko z powodu tego, co w tych aktach faktycznie jest – a jest wystarczająco, żeby ostatecznie domknąć proces demontażu zachodniego, liberalnego projektu – lecz także z powodu tego, czego w nich nie ma, a co wywiedzie z nich puszczony na społecznościowo-wirtualny żywioł zbiorowy umysł. Tu i tam umiejętnie pobudzany i kierunkowany przez speców od propagandy, którzy świetnie rozumieją, z jak potężną, sięgającą najgłębszych lęków i fantazji historią mamy tu do czynienia.

Czy przy okazji z planszy zostanie zmieciony także Donald Trump, którego obecność w kręgu Epsteina jest dobrze udokumentowana? A jeśli tak, kto przyjdzie po nim? I kto najbardziej skorzysta na tej wielkiej, dokonanej niestety na własne życzenie, kompromitacji zachodniego establishmentu? Są to oczywiście pytania otwarte, na które nie da się dziś odpowiedzieć, niemniej już teraz widać, że przed nami wyjątkowo ciekawy rok. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl f21820d830

BEKSIŃSKI

na CYTADELI WARSZAWSKIEJ

nieznane oblicza Mistrza



REKLAMA

„Jedna z najważniejszych ekspozycji twórczości Zdzisława Beksińskiego”

WYSTAWA PRZEDŁUŻONA DO 15 MARCA!

40 obrazów dotąd nieprezentowanych w Warszawie
oraz multimedialna opowieść o wyobraźni bez granic



MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

patronat honorowy Prezydenta miasta stołecznego Warszawy

BILETY:
beksinskinacytadeli.pl

eprasa.pl f21820d830

Albatros travel



Złoty Trójkąt Indii

Odkryj największe skarby Indii: fort Amber w Jaipur, zachwycający Taj Mahal w Agrze, stolicę New Delhi, a także rezerwat tygrysów bengalskich w P.N. Ranthambore.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. **Dz. 2** Przylot do Delhi. Przejazd autokarem do Jaipur. Czas na odpoczynek i kolacja powitalna. **Dz. 3** Jaipur. Fort Amber, królewskie pałace i lokalne bazary. **Dz. 4** Jaipur – Park Narodowy Ranthambore. Tradycje rzemieślnicze i relaks. **Dz. 5** Ranthambore – Agra. Safari na tygrysy i śladami Wielkich Mogołów. **Dz. 6** Agra. Fort i Taj Mahal. **Dz. 7** Agra – Delhi. Zwiedzanie Nowego i Starego Delhi, w tym Brama Indii i świątynia Sikhów. **Dz. 8** Wylot z New Delhi. Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy
24/04, 22/05 2026

od **5.598,-**

NOWOŚĆ



Północna Walia i Liverpool

Odkryj naturalne piękno północnej Walii oraz kulturowe dziedzictwo Liverpoolu z historią słynnego zespołu The Beatles podczas wyjątkowej podróży po mniej znanych zakątkach Wielkiej Brytanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Manchesteru i przejazd do Liverpoolu. **Dz. 2** Dalsze zwiedzanie Liverpoolu nie tylko śladami Beatlesów. Po południu czas do własnej dyspozycji. **Dz. 3** Walia: wizyta w nadmorskiej miejscowości Portmeirion i portowym Porthmadog oraz zakwaterowanie w zamku Ruthin. **Dz. 4** Rejs po rzece Dee, przejazd zabytkowym pociągiem z Llangollen i Park Narodowy Snowdonia. **Dz. 5** Średniowieczne zamki Conwy i Caernarfon oraz urokliwe miasteczko Betws-y-Coed. **Dz. 6** Wizyta w mieście Wrexham i wylot z Manchesteru do Polski.

6 dni | Wylot z Warszawy
30/09 2026

od **6.998,-**



Malta – śladami rycerzy maltańskich

Poczuj romantyczną atmosferę na śródziemnomorskiej wyspie Malta, korzystaj z uroków wyspy i odkryj jedne z najstarszych i najbardziej imponujących skarbów dziedzictwa kulturowego na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Valletty. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta Valletta wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO z wizytą w katedrze św. Jana oraz rejs do Birgu. **Dz. 3** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do megalitycznej świątyni Hagar Qim, Błękitnej Groty i wioski rybackiej Marsaxlokk. **Dz. 4** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do miasta Mdina, lokalne maltańskie rzemiosło i ogrody San Anton. **Dz. 5** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Mosty i wizyta w centrum rzemiosła Ta' Quali Crafts Village. **Dz. 6** Czas wolny lub wycieczka fakultatywna na wyspę Gozo. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Lot powrotny do Warszawy.

8 dni
Wyloty z Warszawy lub Krakowa
01/04*, 13/09, 21/10 2026 (hotel 4*)
18/04 2026 (hotel 3*)

od **6.298,-**

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP01**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f21820d830